





100

100

100

100



SEKRET PANA CZURYŁY.



SEKRET PANA CZURYŁY

HISTORIA

JESZCZE JEDNEGO REZYDENTA

wedle podań współczesnych opowiedziana

PRZEZ

I. J. Kraszewskiego.

3.3/3

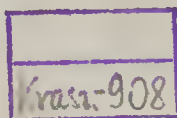


WARSZAWA.

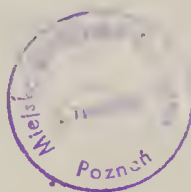
Nakładem Michała Glücksberga księgarza,

ulica Nowy-Świat Nr. 55.

—
1877.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Декабря 1876 года.



Warszawa Druk. S. Orgelbranda Synów, Bednarska Nr. 20.

Wszystkim powszechnie wiadomo, że ród Czuryłów na Rusi prastary jest, zatem i rozrodzony wielce. Już w dawnych baśniach u prostego ludu jakiś Czuryło dowodzi. — A byli u nas Czuryłowie bardzo możni na Podolu, bo i w Kijowskim, ale jakoś poschodzili marnie, że niewiedzieć gdzie się to podziało. *Hebent sua fata gentes*. Otóż dostało mi się za moich młodych lat — stare to dzieje — niewiem czy nie ostatniego z tego rodu znać, co się był zabłąkał do nas na Litwę.

Było to w Kurzeliszkach u zacnych moich familiantów, Podkomorstwa Mingajłów, w Słonimskim. Żył jeszcze naówczas Podkomorzy stary, pan Kazimierz, którego rodziła Puciatówna; ale już niedołęga, biedaczek, brodę był zapuścił, a gdy ze swojej izby do nas się wysuwał, to go pod dwie ręce prowadzić było trzeba. Żona jegomości, z kniaziowskiego Puciatów domu, Domicella, jakoś pod te czasy właśnie wkrótce zmarła. Gospodarzył zaś w Kurzeliszkach jedyny syn Podkomorzego, którego też tym tytułem honorowano, pan Szczepan Mingajło, stateczny i zacny człek, już także nie młody, bo miał lat pod pięćdziesiąt. Ten wziął był *primo voto* Jurewiczównę, zmarłą bezpotomnie, po krótkim pożyciu, a potem się ożenił z Zabęką. Syn już ich

chłopak był pod wąsem, a dla panny Izabelli za mężem się ogładano.

W ich to domu bawił pan Sebastian Czuryło, o którym mowa. Jam podówczas w sąsiedztwie z Sapieżyńskich dóbr folwark trzymał,—kawaler i myśliwy, więcej, mogę powiedzieć, w Kurzeliszkach niż koło gospodarstwa przesiadywałem.

Widywałem więc niemal codziennie Czuryłę, który od niepamiętnych czasów rezydował u Podkomorstwa. Mówiono, że jeszcze za czasów starego pana Kazimierza, przybył raz konno z tłómczkiem za siodłem przytroczonym do Kurzeliszek,—po drodze, wpraszając się na nocleg, jak to było naówczas we zwyczaju, bo szlachcie rzadko w karczmie się lokował, gdy dwór był blisko.

Stary Podkomorzy, człowiek był wielce gościnny, mało co z domu się ruszał, bo już wówczas na nogi zapadał i tusza mu niepomierne zawadzała,—rad więc był każdemu, co do dworu zajrzał, bo gawędzić lubił, a pod czas i w maryasza zagrać, choć na zdrowaśki, za dusze zmarłe. Czuryło był i później jeszcze, gdym ja go widywał, człek piękny, krzepki, wzrostu słusznego, zręczny trzymał się prosto, głowa do góry. Twarz miał pucołowatą, krągłą, rumianą, wąs twardy postrzyżony, czoło odkryte, oczy małe ale bystre. Piękny nie był: ale mu rozumnie z oczów patrzało. Kto wiele naówczas ludzi widywał z województw różnych, ten nie uwierzy, że w Czuryle wnet było można poznać Rusina. Już to nasz Litwin inaczej całe wygląda, a Mazur też ma coś swego, że już nie mówię o Pińczuku.

Więc gdy przybył do Kurzeliszek pod wieczór, a zameldował się staremu Podkomorzemu jako Czuryło,—ten, co napamięć znał wszystkie rody i koli-

gacye, począł mu różnych Czuryłów przypominać i dopytali się jakiejs dziesiątej bodaj wody po kisielu, że między Mingajłami a Czuryłami, miała być starodawna koligacya. Unas, za mej pamięci—można powiedzieć, nie znalazłeś dwóch rodzin w Koronie, którychby jakaś nitka nie łączyła. Więc tem kordyalniej Podkomorzy przyjął szlachcica, konia kazał dobrze napaść, nie pośladami ale czystym owsem; dali mu stancję we dworze na górcie, bo to lato było. Cały wieczór gawęda szła, jakby nie przadł na kołowrotku. Czuryło był obywatel swiata, znał wszystkich, bywał wszędzie, — od słowa rzecz chwytak: miło z nim było pobajdurzyć. Chciał Podkomorzy się tego wieczora dowiedzieć od niego dokąd i zaczem jechał, ale z tego mu się wywinął.

— At—rzekł—człek się tam włóczy po świecie, z kąta w kąt. Każda Teresa—ma swe interesa.

Naciskał go Mingajło, ale nic nie wycisnął—dał też pokój.

Chciał go pożegnać dla dalszej drogi Czuryło, bo miał chłódkiem jechać rano, ale Podkomorzy ani mówić mu o tem nie dał.

— Ani myśl —rzekł mu—jutro, zobaczemy. Kto wie czy do rana pluchy nie będziemy mieli, bo się chmury ściągają. Co masz w karczmie gdzie u żyda stać, albo na deszczu moknąć, lepiej się strzymać.

Tak się i stało. Podkomorzy, gospodarz doskonały, na niebie czytał jak w książce. W nocy burza przyszła z grzmotami, a deszcz jak wziął łać, nieprzyjaciela by z domu nie wygnał za wrota.

Czuryło został. Wyjaśniło się pod wieczór drugiego dnia, i zabierał się jechać, ale go Podkomorzy-na nieboszczka, która żyła podówczas jeszcze, wi-

dząc, że się mąż zabawia z nim dobrze i że gość miły a ułkady — nie puściła.

— Zostałeś waszmość dla mojego męża dzień — rzekła — toczy mi się krzywda stała, żebym ja sobie u niego dzionka nie wyprosiła.

Czuryło tedy znowu został.

Kurzeliszki graniczyły z kluczem, który do Hetmana Ogińskiego należał, i była odwieczna kwestya — dyferencya na granicy w sianożęciach. Prawdą a Bogiem, moczary, na których szuwały rosły, nikomu nie były przydatne. Na wiosnę nawet bydła tam wypędzić nie było można, bo zapadało a grzęzło — później, jeśli co koszone, to chyba na podściół.

A no — rok w rok kurzeliska gromada, z ludźmi hetmańskimi formalny bój staczała, kto siano pokosi i kopiec zabierze.

Wypadek chciał, że tego drugiego dnia, gdy Czuryło został dla pani Podkomorzynej, popołudniu, dali znać do dworu, iż hetmańscy na dyferencyę wpadli.

Podkomorzy płazem tego nie puszczał, już dla tego, że hetmańscy ludzie byli i że to prepotencyą pachniało. Sam na koń siąść nie mógł, a no co żyło pchnął. — Bić a niedawać.

Czuryło, choć obcy, choć mu tam do tego nie było, uprosił się razem z ekonomem na wyprawę, dosiadł swojego konia i pojechał. Już tam tego dobrze nie wiem, jak batalia poszła, ale przy Kurzeliszkach wiktorya została, a Czuryło z takim animuszem się brał do hetmańskich chłopów, że ich siła natłukł. sam tylko raz od jednego po łbie oberwawszy kijem, ale szpetnie. Przez delikatność tylko powiadam, że kijem — bo należałoby rzec — drągiem. Tylko taka twarda natura Rusina mogła

strzymać, że się z konia nie zwałił — ale gdy do dworu powrócił, pół twarzy mu zsiniało i opuchło, że jednego oka całe prawie widać nie było

A no—śmiał się z tego.

Podkomorzyna, która się znała na lekach, natychmiast wina z rozmarynem kazała nagrzać i płatki mu przykładano. Rozumie się, że pókiby się nie wylizał, o wyjeździe mowy nie było. Stary go tak pokochał za to rycerskie znalezienie się, iż mu tegoż dnia pistolet turecki bogato oprawny, który na bandolecie naszano—podał.

Przez tych kilka dni, panowie i ludzie, dwór i oficyaliści nawykli do Czuryły; z wszystkimi się pokumał, przystał do serca wszystkim, i—jak się stało, nie wiem, dosyć, że niby to się gdzieś ciągle wybierając, został u podkomorstwa, jakby na wieki wieków.

Tylko, że na górze zimą było niedogodnie, dano mu stancyjkę w oficynie. Koń też, do którego on chodził codziennie z wizytą, na ludzi się nie spnszczał—miał się jak najlepiej.

Nie miał właściwie Czuryło obowiązku żadnego, oprócz regularnego stawienia się do śniadania, obiadu i wieczerzy, a gdy Podkomorzemu fantazya przysła, do maryasza. Z tego zaś nieoszacowanym był, że nigdy się od niczego nie wynawiał, a wszędzie się sprawił dobrze.

Podkomorzy go „przyjacielem“ nazywał. Inni, że to i we zwyczaju było i dogodniej tytułem jakimś zwać, domagali się od niego koniecznie, aby choć patronymiczny im dał i pozwolił się nazywać Strukezaszycem. Więc, bywało, zaprosić kogo potrzeba, jedzie Czuryło; poczesne słowo zawieść — nie kto inny tylko on. Gdy pilna robota bywała

w polu, przy tłokach postać u żeńców; podatek odwoził, do miasta za sprawunkami jeździł, a nigdy nie spróżnował.

Podkomorzy o nim mawiał: „Nieoszacowany człek, takiego i za tysiące niedostać; a na obwinienie palca nic nie chce wziąć, o nic się nigdy nie przymówi, byle koniowi owies był i siano.

Miał Czuryło naówczas sławnego deresza, szerokiego, grubokościstego konia, wałowato wyglądającego, nie gorącego to prawda, ale na długą metę, choćby o głodzie, byle go napoił—równego mu nie znano.

Dawano mu za niego bajeczne pieniądze—tylko ramionami ruszał. Na tym dereszu najczęściej, bywało, mil pięć bez popasu, raz w drodze go napoiwszy, machał kłnsem, a koń nawet nie spotniał.

Polubiwszy Czuryłę Podkomorzy tedy rad był o nim wiedzieć coś więcej—zdało mu się, że z czasem, zwolna szlachcic się z tem wygada. Ale minął rok i dwa—nie puścił pary. Ile razy go kto zagadnął, zamydlił, on ręką machnął, mruknął, uśmiechnął się—i nie powiedział nic. Gdy go badając poddawano mu — a może to, a może tamto — potakiwał wszystkiemu, nie wysliznęło mu się nic. Dostyc, że po kilku leciech pobytu w Kurzeliszkach, tyle o nim wiedziano co pierwszego dnia.

Wszyscy jednak obserwowali, że jakieś tajemnice miał, że z sekretem się jakimś krył — którego nikt się nie mógł do badać.

Czasami się sam jeden w izbie zamykał i dziurkę od klucza papierem zatykał. Co robił—ani podpatrzeć było, ani podsłuchać. Wypraszał się na dni kilka za interesami, czasem dwa, trzy razy w rok,

jechał—dokąd: nie mówił nigdy, i wróciwszy unikał nawet opowiadania w którą stronę jeździł.

Niepospolicie to wszystkich ciekawymi czyniło. Podkomorzy po przyjacielsku niejedną raz przemówił doń, żeby też się zwierzyć czas było, lecz za całą odpowiedź otrzymywał:

— Co to tam ciekawego w naszych szlacheckich biedach, to tam mówić niema o czem.

I tak się ciągnęło, a choć już i nie próbowano za język go chwycić—ludzie się, kaduk wie czego, domysłali, jak to pospolicie bywa.

Gdy się pobyt w Kurzeliszkach zaciągnął, a Czuryło się tam stał tak potrzebnym, że stąpić prawie bez pana Strukczaszyca nie było podobna. Podkomorzy, człek delikatny, widząc, że około szlachcica krucho i niedostatnio, na Nowy Rok, na święta próbował go obdarzać. Grosz człowiekowi zawsze niezbędny, choćby człek wszystkie wygody miał, a no w kieszeni grosz musi być—gdyby nie na co innego to dla jałmużny.

Myślał Mingajło, że paręset złotych mu się zda, aż od nich, jak oparzony, Czuryło, zaczerwieniwszy się jak burak, odskoczył, prosząc i błagając, aby mu tego despektu nie czyniono. Musiał go więc przeprosić i pasem obdarzył, który dwa razy więcej był wart, a do przyjęcia go zmusił. — Ze wszystkiego widać było, iż Czuryło nie miał zapasów, oszczędnym się okazywał nadzwyczajnie, nigdy sobie nie nie pozwolił. Gdy buty przyszyć musiał kazać, sam do szewca z niemi jeździł i targował się do upadłego. Przecie od nikogo nie potrzebował nic; chodził czysto, porządnie, a czasem nawet, gdy na święta się ubrał, wyglądał elegancko.

I w tem też tkwiła tajemnica jakaś. Przy starej

Podkomorzynie bawiła naówczas daleka krewna Zabęckich, panna Marcella Pudlińska, dojrzałych lat, ale piękna co się zowie, i że rodzice jej niegdyś się mieli niezgorzej, wychowana troskliwie, bó i na szpince grywała i śpiewała. i po francuzku mówiła, i na pokojach prezentowała się niepospolicie. Zaczyna była osoba, lecz jakoś nieszczęśliwa, iż mimo tych wszystkich przymiotów za męż się wydać nie mogła, a było to pono jej najusilniejszym pragnieniem. Nie była już wymagającą od kawalerów,—byle szlachectwo i głowa.

Kochało się w niej co niemiara zwłaszcza paniczów,—a no, nalekko.

Jakoś drugiego roku po zamieszkaniu Czuryły, Pan Bóg się nad nią ulitował, i brata wziął do swej chwały bezpotomnie. Spadło na pannę Marcellinę dziesięć chat, prawda nie w osobliwszej ziemi, ale zawsze i dworek i lasu kawałek i chata swoja i było z czego żyć.

Czuryło, który od przybycia grzecznym był dla panny Marceliny, zyskał jej łaskę. Lubila z nim rozmawiać, chwaliła go z rozsądku i umiarkowania, a rzadkiego statku.

Gdy ów spadek się trafił, wszyscy niemal pewni byli, że Czuryło pannę weźmie jako swoją. Wszelkie ku temu nawet było podbieństwo. Panna Marcelina bodaj nie wahała się mu dawać do zrozumienia, iż śmiało się mógł posunąć; Czuryło będąc z nią jak najlepiej, na to został głuchym. Zagadnął go Podkomorzy, obiecując dopomódz do gospodarstwa nawet, a swadźbę biorąc na siebie; Czuryło go w ramię pocałował, a głową trząśł.

— Nie mogę się ja żenić!—rzekł—nie mogę. Pe-

wna rzecz, iżbym z panną Marceiliną szczęśliwym był—ale cóż—nie mogę!

— No—dlaczegoż nie możesz? —zapytał Podkomorzy. — Czuryło się zająknął, zaciął, lecz niepowiedział nic.

Co tam z tego domysłów ciągnięto — jeden Bóg wie. Przyjaciół miał wielu Czuryło, ale i niechętni się znajdowali, bo mu łask i serca starego pana zazdroszczono—więc jedni i drudzy dziwy prawili na wiatr o Strukezaszycu.

Zkąd się brały te plotki, trudno było dojść, a no jedni mówili, że kędys żonę musiał porzucić, drudzy że kryminal jakiś gdzieś popełnił, boby się tak z sobą nie krył, gdyby czego i na sumieniu nie miał. Jedni go bardzo nieszczęśliwym, drudzy winnym i jakby pokutującym widzieli. Prawdą było, że gdy w Kurzeliskach do kościołka—bo to była parafia—zebrano się na nabożeństwo, na które bardzo gorliwie uczęszczali wszyscy, i Podkomorzy sam pilnował, by się nikt absentować nie śmiał—Czuryło, który swoje miejsce wkątku miał, pokleknawszy ze złożonemi rękami, z oczyma w obraz wlepionemi, modlił się tak, jakby mu wistocie coś na sumieniu ciążyło. W piersi się bił aż strach, a podczas nabożeństwa krzyżem legiwał i na oczach łzy dostrzedz było można. Kiwali na to ludzie głowami, choć innego czasu i wesół był—i śmiał się a bałaszkował jak najmłodszy.

Panna Marcellina, gdy się przekonała, iż z tego nic nie może być, co sobie życzyła—choć jej było markotno, nie straciła serca do Czuryły. Zdaje się, iż pochlebiała sobie, że go czasem nakłoni. Pozostali z sobą dobrze—a no—później sama się ona przekonała, że próżno czekać na niego i wyszła za Wrzo-

skiewicza, a małżeństwo było nieszczęśliwe, bo się zapisał nieborak, i wdową ją porzucił. Obyli się wszyscy z Czuryłą i obyczajami jego, przecież korciło to niemal wszystkich co tam za tajemnica w życiu jego tkwiła. Rzadka-to zaprawdę rzecz, żeby człowiek tyle lat żyjąc na jednym miejscu, niczem się i nigdy nie zdradził, z niczem nie wydał. Miał takie sposoby odpowiadania, gdy go kto nacisnął, że się jak węgorz z ręki wyslizgiwał.

Podkomorzy stary, gdy już raz się przekonał, że wołać było Czuryły nie mówić o przeszłości, umiał ją poszanować; inni mniej delikatnymi byli, lecz to się im na nic nie przydało.

Niekiedy mogło się komu zdawać, gdy mowa była o jakich stronach, a Czuryło z wielką znajomością się o nich odzywał—że to być muszą jego rodzinne; ale wnet przyszło mówić o innych, które też opisywał jakby w nich długo żył i gościł. Z tego tyle tylko wnosić się godziło, iż siła po świecie bywał. Toż samo gdy o ludziach, familiach, koligacjach mówiono, co się niemal codziennie trafiało. Czuryło prawił o nich z taką pewnością, jakby się tylko drzewy genealogicznemi zajmował. Pamięć miał nadzwyczajną. Przytem człek był skromny. U stołu z dobrej woli zawsze na szarym końcu, przy wyjściu ostatni—gdy go nie zaczępiono, milczący. Trafiło się usłużyć, to, jak pierwszego dnia, choćby guza miał oberwać, zawsze stał w pogotowiu. Czasem go i nadużywano—nie odmówił nigdy. W tych rzeczach, które naówczas szlachecicowi, pod utratą reputacyi, znać i wiedzieć a mieć w nich wprawę było potrzeba, Czuryło był expertus, jak rzadko.

Na koniach się znał, że najlepszego roztrucharza w tem przeszedł—w myśliwstwie pierwszym zaw-

sze się liczył, jakiebykolwiek ono było, że się go leśnicy starzy radzili,—czy z gończemi, czy z char-tami, czy z wabikiem, choćby z sokołem—co naów-czas mało kto praktykował—dał sobie radę. Ko-nia opatrzyć, podkurować, psa ułożyć, na ryby z o-ściami czy niewodem ruszyć—nie było nad niego.

Na gospodarstwie się też znał. jakby je prakty-kował; co powiedział z wiosny, sprawdziło się w je-sieni. Podkomorzy stary, potem młody, choć oba byli rolnicy dobrzy i ziemianie, radzili się go nie-jeden raz i nie żałowali. Co dziwniejsza, z prawem był obeznany tak, że można go było do konferencyi z jurystami wziąć — dotrzymał im placu — statuta cytował, korekturę pruską, jak niemożna lepiej. Procedurę też praktyczną znał, że się w pole żadne-mu kauzyperdzie nie dał wywieśdź. Człowiek był z tych względów w domu nieoszacowany. A choć czuć w nim było ze wszystkiego krew gorącą i tem-perament żywy, nigdy się nie unióśł. Czasem mu pot kroplisty na czoło z impresyi wielkiej wystąpił, twarz pobladła, a nim do słowa przyszło, już się umitygował—i mówił jak z partesów.

Doskonałymby go nazwać było można, gdyby nie to, że go różnemi czasy napadała ni to choroba, ni to melancholia jakas. Naówczas od ludzi uchodził, milczał, pośepnym się stawał, zadumanym, żółtkł, mizerniał, aż póki nie przemógł się i do swe-go humoru nie powrócił. Czasem kilka razy do ro-ku taka go „chandra“ napadała. Nigdy nie było można przewidzieć kiedy to przyjdzie. Naówczas żeby znać swobodniejszym być, strzelbę brał na ra-mię i ruszał w las, a niekiedy go i po kilka dni wi-dać nie było. Podkomorstwo, ludzie wielce baczni, potem go ani pytali o nic—i czynili tak jakby nie

postrzegli nawet co mu było. Wszyscy wogóle nie tylko w Kurzeliszkach, ale w sąsiedztwie tak się do Czuryły przyzwyczaili, tak on im był potrzebny, iżby się bez niego obejść nie mogli.

Gdy po trzech latach stałego pobytu u Podkomorstwa, jednego dnia pocichu się odezwał do starego, że na kilka dni odjechać musi—wszyscy się strwożyli, by go nie stracić. Podkomorzy chciał mu dać konie, aby powrotu być pewniejszym: podziękował za nie, ruszył konno, niepowiedziawszy dokąd. A że swoje juki z sobą zabrał, choć powrót przyrzekał, obawiano się że uciecze. Wrócił wszakże. Gdzie bywał, co robił—niepowiedział ani słowa. Dere-sza na dawnym miejscu postawił, do wieczery na swój stołek przyszedł i—poszło znów jak wprzód bywało. Później niejedną raz trafiło się, iż się podobnie wyrwał — a no, że go Podkomorstwo niezmiernie prosili, a i do syna się przywiązał — choć i kilka tygodni bawił, zjawiał się znówu. Gdyby z sobą czy sługę, czy furmankę brał, możnaby było coś się dowiedzieć, gdzie przebywał — ale, jakby naumyślnie, konno jechał i tak samo wracał. A że ciekawość obudzona była, ludzie śledzili go, dowiadawali się, którym gościńcem, jaką drogą jechał — i tego dojść nie było można.

Proboszczem w Kurzeliszkach był naówczas, pamiętam, ksiądz Woroszyło—kapłan zacny—a człowiek jakich mało. Prawdziwy-to był ojciec, zwłaszcza dla ubogich parafian, bo nie tylko słowem, często ich chlebem karmił. Nigdy sam nie miał nic prawie, bo wszystkiem się dzielił i rozdawał. Oszukiwali go ubodzy, odzierali go niegodnie próżniaki i opęci—dawał im z sobą czynić co chcieli, mówiąc, że woli dać temu, co nie potrzebuje, niż narazić się

na to, by potrzebującemu odmówił. Miał też to ks. Woroszyło do siebie, że był dziwnie wesołego humoru. Niekiedy poważnym był i surowym chwilowo, smutnym i kwaśnym nigdy. Wesołość zaś miał prawie dziecięcą, prostoty jakiejś pełną, dobrotliwą i łagodną; choćby z kogo pożartował, niepodobieństwo się nań było pogniewać. Czasu pospolitego, gdy do którego z parafian zajechał czy zaszedł, bo rad bardzo chadzał pieszo, zawsze z sobą przyniósł dobrą myśl. W kieszeniach, za suknią, dla dzieci nosił obrazki, dla starszych szkaplerze, a że przy plebanii miał sad owocowy doskonały, bywało, że gruszkami i jabłkami wyładowywał kieszenie. W słomianym kapeluszu, z kijem prostym, w koźlowych butach, najczęściej *per pedes apostolorum*, parafię obchodził.

Ludzie utrzymywali, iż przez światobliwość wielką od Boga miał wyproszony ten dar, że potrzeby parafian swoich—jakby przeczuwał. Rzadko po niego posyłać kto potrzebował. Szedł tak instynktem i trafiał, cudem niemal, gdzie dziecię trzeba było ochrzcić, chorego dysponować lub przyjść z pomocą. Niekiedy na łąkach widzieć go było można, gdzie się trzody pasły, między młodzieżą pastuszą, uczącego katechizmu, a razem i bawiącego się z dziatkami. Po wsiach, gdy się pokazał, ciżba ich leciała za nim.

Szkoda mówić, by pięknym był ks. Woroszyło. Twarz miał ospowatą okrutnie, całą w centki, włosy niewiele, wzrost mały, ręce długie, a, mimoto, gdy uśmiechnął się, zagadał, serca ku sobie pociągał. Przy mszy świętej, gdy spojrzalesz, to naprawdę, niekiedy pięknym się wydawał, — coś mu tę twarz

opromieniało, że się mienił, jako to o błogosławionych mawiają.

Choć po dworach pańskich i szlacheckich rzadziej go było widzieć, niż po chatach i zaściankach—a no — u Podkomorstwa z obowiązku częściej gościł. Zaraz w początkach, gdy się Czuryło tu zasiedziało, zetknęli się raz i drugi: ks. Woroszyło, który tak ludzi na wylot znał, bo miał do tego dar osobliwszy, że czuł co w kim siedziało—przystał do Strukczaszyca.

Chadzał on do niego na plebanie. Trafiało się, że chłopca do ministrantury nie stało: Czuryło i posłużyć do mszy ukłekał. Księżdz sobie i tem i—niewiem czem—skaptował. Gdy potem ludzie się tak bardzo niepokoić poczęli tym sekretem p. Czuryły, że go, na żaden żywy sposób, dojść nie mogli—ks. Woroszyło brał go w obronę.

— Ciekawość! pierwszy stopień do piekła!—mówił—cóż chcecie wiedzieć, co? Znać go, że człek dobry, a że się wam z protoplastów nie chwali—to i lepiej Dalibyscie mu pokój.

Przyjaźń i przywiązanie dziecięce niemal, które się zawiązało między proboszczem a Czuryłą, pomogło mu wielce do opędzenia się natrętnej ciekawości.—Strukezaszyc się spowiadał, do komunii św. przystępował, dosyć już było tego, aby niedowiar-ków przekonać, żeć kryminału nie miał na sumieniu, bo nie szukał konfessyonału pod laską.

Ks. Woroszyło gdzie go zobaczył, zaraz do niego szedł i chętnie się nim wysługiwał. Dawał mu polecenia różne, żartował z nim, lubił go. Gdy do dworu czasem zwabić było trzeba proboszcza, nieposłano po niego nikogo tylko Czuryłę. Ten go już pewnie przyprowadził. Wówczas gdy p. Marcellina

przypuściła atak do Strukezaszyca, chcąc go za męża mieć, a Podkomorzy się sam w to wdawszy, nie nie wskórał, dopiero ksiądz Woroszyło, sprawę połatał.

— A dajcież mu pokój— rzekł — wiem, że pannę szacuje, a że do stanu małżeńskiego nie czuje powołania, tego mu za złe mieć niemożna. Idzie za radą Pawła św.; nie przeciwiłbym się pewnie, gdyby się żenić chciał, a namawiać go—nie będę. Małżeństwa przez ludzi klejone, najczęściej niedobre bywają.

Bronił go też tak i w innych rzeczach ks. proboszcz, a nawzajem miał w nim sługę i czciciela gorącego: w ogień i wodę dla niego rzuciłby się był Czuryło. Gdy czasem, jak się to trafiało, trochę się podśmiewano z zacnego proboszcza, iż sobie niemal łyżkę od gęby dawał wydzierać nieponiom,—Strukezaszyca go pod niebiosa wynosząc, wielbił, wnet też i drudzy wtórowali.

W ks. Woroszyłe i starym Podkomorzym miał Czuryło pierwszych protektorów i obrońców. Ci go osłaniali i usta drugim zamykali.

Mimo to, na uboczu, nawet już po długim pobycie w Kurzeliszkach, gdy wszyscy się z nim obyli i oswoili—o Czuryłe prawiono niestworzone rzeczy; potworzyły się legendy, niewiedzieć jak i z kąd wyrwane, które z ust do ust przechodząc, nabierały niaby jakiegoś prawdopodobieństwa, bo się utrzymywały, niczem nie zbijane.

Mówili jedni, że jako żywo szlachcicem nie był, ale zbiegłym z sicy Zaporozkim kozakiem — drudzy, że kryminal popełniwszy krwawy od mściwej ręki sprawiedliwości ochodzić musiał— inni, że kiedyś żonę i dzieci porzucił; a nawet, że do jakiejś

szajki rozbójniczej na granicy należał, a potem go sumienie tknęło i salwował się z niej aż na Litwę. Zliczyć było trudno te baśni, z palca wyssane, a zbijać ich nie warto.

Czuryło też pewnie o nich ani wiedział i mało go one obchodziły.

Gdy stary Podkomorzy po śmierci żony, wielce ukochanej, synowi zdał gospodarstwo, sam sobie tylko *victum et amictum*, chatę, usługę i kapitałik jakiś zostawiwszy, — Czuryło, który się był nieco postarzał, zszedł z ojca na syna, i ani o tem pomyślał, ażeby się bez niego w Kurzeliszkach obejść było można. Staremu do życia prawie był potrzebny i godzinami u niego przesiadywał, a że starszek często się zdrzemnął, on na kuferku, bywało, spokojnie czeka, aż się obudzi.

Dwór w Kurzeliszkach, jak ja go za owych czasów pamiętam, bo dziś się to tam prawie po nowomodnemu zmienić musiało, jeszcze bardzo stare czasy a obyczaje przypominał. Mingajłowie byli możni bardzo, wsi do nich należało kilka, więc rezydencya dawna, choć bez żadnego lustru i wspaniałości, zaraz na oko się poważnie prezentowała. D m mieszkalny na pagórku stał, frontem ku rzeczulce zwrócony, która nieopodal za gościńcem płynęła. Strumień-to raczej był, ale zawsze pełen, zwali go tam Szczarką; dalej dwa stawy żywił i młynów dwa rocznych, a że między pagórkami się trzymał, na wiosnę mało szkody czynił.

Do dworu przybudowywali zdawien dawna, każdy jak mu było dogodnie, więc tam teraźniejszej architektury, pożał się Boże, było szukać — ale wygoda

była. Środek, najstarszy, trochę był w ziemię zapadł, przybudówki nad nim górowały, okna sobie patrzyły wedle fantazyi, ganków,—słupków, schodków było coniemiarą. Ja tam niewiem dziś — ale podczas mi się to piękne wydawało—i — porównawszy do innych szlacheckich dworów, nawet okazałe. Na tej górze, gdzie niegdyś Czuryłę postawiono, tylko latem było można wymieszkąć. Dach wysoki służył na składy, na spiżarnie, na wieszanie bielizny, a choć tego broniono, myślę, że i gołębie sobie pod nim mieszkąć dozwalały. Tuż stajnie były obszerne i wozownie na prawo, na lewo kuchnie i oficyny. Trochę w głąb stał sernik z lamusem. Wszystko to ogrodzone było porządnie, mocno, i utrzymywane czysto.

Ale, że nie bez tego, ażeby się w dziedziniec gęś, kura, albo i co czworonogiego nie werwało, a kwiaty lubiono,—pod oknami płotek brzozyowy ubezpieczał malwy, ostróżki różnokolorowe.

W ganku wielkim, bo ich było kilka, na grubych słupach drewnianych opartym, młody Podkomorzy, zaprowadził był jedną rzecz nową, której się całe sąsiedztwo dziwowało i z niej korzystało. Tu z Warszawy pono. albo i z Wrocławia, sprowadzone, wisiało barometrum, które wskazywało przemiany wszystkie, a obok termometrum, w którym czerwony płyn był jakiś, ciepło i zimno na stopnie mierzył—co było w owych czasach po wsiach rzadkością wielką i rzeczą pewnie kosztowną, acz się tego później namnożyło. Ekonom tu z wieczora przychodził i miarkował z żywego srebra na co się zanosilo

Pamiętam, że mniej on w to wierzył. i trzymał u siebie w słoju pijawki, które też naprzód *mirafice*

wiedziały co się święciło — przecież i barometrum miało swoich wyznawców.

Podkomorzy młody, choć przy dawnym obyczaju bardzo stał, ale gdy co pożytecznego na świecie wynwentowano, wnet się o to kusił. Drudzy mu to za złe mieli, bo to pieniędzy często kosztowało siłą, a potem się nie na wiele przydało — ale jego to bawiło. Gdy się goście zjechali, nieraz koło barometrum stawano, cudując się co za rzecz; śmieli się drudzy, przecież ono nieraz siano ocaliło i kopy od porośnięcia.

We środku to się tam bodaj długie czasy na sprzęt domowy składały. Nie był on wytworny. Żyliśmy zdawien dawna wszyscy jak na popasie we własnym domu, granice stały otworem, fortec a zamków mało było, wojska na obronę często nie pośpieszyliśmy zebrać w porę, bo trzeba było sejm zwoływać i prosić o podatek, więc gdy pan Hetman z własnej szkatuły, bywało i zastawiwszy się, nie zwerbował pułków, wpadł Tatarzyn, Kozak, wchodził Szwed i gospodarzył, palił a brał co chciał. Nie stroiliśmy więc domów bogato, bo to były gdyby namioty w obozowisku, i to jeszcze nieobronne. Bogactwa ruchome być musiały. Nawet po królewskich dworach na Litwie, nad piece kachlowe, proste stoły i ławy, nikt ucie nie znalazł. Co sto lat, albo częściej szedł dwór w perzynę; a uciekać z niego w lasy nie było nowiną. Sprzęt więc skromnym musiał być, by go nie żal było rzucić, a łatwo się na drugi zebrać. Tak i tu też osobliwa prostota panowała, przy wielkiej zamożności.

Stoły, stołki, ławy niepokazne, a no kobierce, makaty, srebro i mała ruchomość piękna była.

Podkomorzy stary w czystości się wielce kochał,

do której mu ludzi zrazu było bardzo trudno nałożyć, bo u nas to niepraktykowana rzecz była, w powszedni dzień a po kątach i w świątki, żeby było czysto. Jak raz jednak poszło to w przyzwyczajenie, potem już się trzymało. Z ganku była sień przestronna o dwu kominach, gdzie jesienną i zimową porą, ludzie z gośćmi przybyli mieli przytułek i ogrzanie. Tu się ich na ławach choćby pół kopy mogło usadowić.

Więc w lewo szło się do izby wielkiej gościnnej, gdzie, co dom miał lepszego, stało. Zegar i szafy gdańskie, sprzęt z Kolbuszowa, na kominie szklanne i srebrne puhary, w kącie szpinecik. Na ścianach wizerunek Chrystusa ukazującego bok skrwawiony i rozdarty, pod którym stał napis:

Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami.

Dalej, Matka Boska Bolesna. Z dawnych czasów mieściła się malowana śmierć Chodkiewicza, choć nie wysmienicie, a no dla pamięci szacowna, i parę sztychów z wyprawy Sobieskiego króla Jana, pamiętam nakoniec, Turków pod nogami gwiotącego, na którego miło było spojrzeć — bo mu z oblicza mówiło — kość z kości naszych.. A Podkomorzy, gdy się zgadało o tem, zawsze z uśmiechem dodawał:

— A no—prawda, kość z kości, bo u Marysienki był pod pantoflem, jak my wszyscy u naszych.

Ale to była facecya. dla dobrego humoru.

Z tej izby dużej mniejsze szły: jejmosci, potem Podkomorzego, sypialny obojga i apteczka, alkierze, zakomórki różne. Naprzeciw była jadalnia wielka,

choć tam niezawsze stół zastawiano, a zimą, gdy w sieniach było chłodno, w mniejszym pokoju się rodzina mieściła. Tam też naprzeciwko i kawiarnia i fraucymer, i jeden czy dwa były pokoje gościnne. Oprócz tego z drugiego ganku i od tyłów wchodziło się do przybudówek. Miejsca było dosyć i dla domowych i dla gości, gdy ich Bóg dał i na przechowanie różności. Potrzebowano go też na przysposobienie wszelkich zapasów domowych, bo dwór na wsi musiał być, jak twierdza, zaopatrzony na długie czasy. Trafiło się, że *insperate* sypnęli się goście, i to tacy, co nie na dzień ani na dwa zdaleka ciągnęli, nie godziło się aby czego doma zabrakło, musiało wszystko być. Surowe się kupiło w mieście, albo spławiło z Gdańska, a przyprawiane i adaptowane do smaku naszego, robić się musiało w domu.

Lada spiżarenką i apteczką dom się naówczas nie obszedł. Dwadzieścia i trzydzieści osób przez kilkanaście dni napoić i nakarmić, tak, by sobie wstydu nie zrobić i tego, co się dało pierwszego dnia, nazajutrz nie pokazać—niemałą było troską. Z miasta wówczas mało co gotowego szło.

Stary Podkomorzy, zostawszy u syna na gracy, jak powiadał, dawny swój pokój obszerny sobie zatrzymał, ale wniósł do niego zrobiono od tyłu, antykamerę mu dodawszy dla sługi i chłopca, i skład na rzeczy.

U Podkomorzego, w jego izbie, zacisznej, ciepłej, nieco przyciemnej, było wszystkiego pełno. Ponieważ staruszek mało się mógł ruszać, a chciał mieć to, co lubił i czego potrzebował, na oczach i pod ręką.—pokój, choć obszerny, zastawiony był i zarzucony, kąty i ściany pozakrywane. Wielu rzeczy, niemogąc już ich używać wcale, jednak się nie po-

zbywał, zawsze w tej nadziei, że może kiedyś nogi mu odejdą i jeszcze porzeźwieje. Więc na kołkach, nietykana odddawna, wisała broń myśliwska, torby i rogi, w które już zadaćby nie miał siły. Stały szable po kątach, których nie mógł przypasać; były różne przybory podróżne, acz już się i za próg nawet by był bez pomocy ludzkiej nie wybrał. Gdy mu kto co ruszyć chciał—mówił:

— Niech to sobie leży, jeszcze się to przydać może. Muzeum to było p. Podkomorzego, przez całe życie zbierane, a niemal do każdego sprzętu przywiązaną miał anegdotkę o pochodzeniu jego, nabyciu, wartości i znaczeniu. Między innemi stało na koziołku drewnianym, pokryte płótnem paradne siodło, blachami srebrnymi obite, ze strzemionami tureckimi, z rzędem turkusami sadzonym, które do dziada należało, a bodaj pod Wiedniem służyło. Gdy gość nowy przybył, a zgadało się o siodłach i siadzeniach na konia, wnet Jarmuszka chłopak przychodził, okrycie zdejmował i siodło się prezentowało, a stary, nie wstając z krzesła, historią jego pawił.

Takich pamiątek było mnóstwo, rozłożonych tu i ówdzie. Nad łóżkiem na blasze złoconej wisiał stary obraz Matki Bożkiej, z gromnicą, co bodaj kilku pokoleniom służyła, bo mocno była nadpaloną, oraz z palmą wielkanocną. Szabli kilka gąsiorków, augustówek, razem ze starym ogromnym koncerzem spoczywało w kącie. Szafa też pełna była wszelkiego zabytku, a biurko, od którego kluczyk zawsze na jedwabnym sznurku na szyi nosił stary, zawierało cenniejsze papiery i precjoza. Niekiedy, gdy był w dobrem usposobieniu, a chciał się przed kim pochwalić, otwierało się i owo biurko i potajemni-

ki, dobywały się sygnety, spinki, guzy złote i naj-
sławniejsza ze wszystkich pamiątek, stara kita
wspaniała od kołpaka, cała z rubinów złożona, z o-
gromnym okrągło szlifowanym guzem, którą z nim
razem Podkomorzy na parę tysięcy czerwonych zło-
tych cenił.

Obok tego były znowu rzeczy niemające żadne-
wartości, łachmany i rupiecie z różnych epok życia.
Kontusz posiekany na sejmiku, gdy Podkomorzy
jeszcze młodym był chłopcem, czapka przestrzelo-
na, skóra niedźwiedzia, który go pokaleczył nim
został dobity i t. p. Trudno było się przecisnąć po-
między sepetami, skórą cielęcia morskiego obijaue-
ni, i drewnianemi skrzyniami kowanemi i pudłami
wszelkiego rodzaju. Gniewał się Podkomorzy, gdy
mu kto doradzał, aby to gdzieindziej postawić ka-
zał. Dodawszy dzbanki, faszki, kufle, różne lekar-
stwa stojące po oknach i przy piecu, szkandele
i wszelkie naczynia nieruszającemu się prawie star-
cowi potrzebne,—nieznajomego człowieka w tej cia-
suocie trudno było przyjmować. Czuryło tu się już
tak znał dobrze, iż i pociemku mógł przejść, nie
niepotraciwszy. Podkomorzy na najmniejszy brzęk
i wstrząśnienie niezmiernie był drażliwy i wołał
zaraz:

— Otóż masz — już djabli wzięli! Niepokoilo go.
aby czegoś z tych drogocennych zbiorów nie utracił.
Synowi oddał majątność i wszystko, co miał ale
tknąć tych swych skarbów nie dopuszczał. Pod ko-
niec życia Mingajło mało się co już z tego pokoju
ruszał, najczęściej mu tu i jego obiad i rumianek
i kawę przynoszono.

Jednakże we dwie uroczyste, miał sobie za obo-
wiązek ubrać się — i razem zasiąść z synem, synową

i wnukami. Brał conajlepsze suknie. wdziewał buty aksamitne, opasywał się pasem sntym i kazał się prowadzić do sali. Tych dni jednak mało w roku bywało: wigilia Bożego Narodzenia, Nowy Rok, Wielko-czwartkowa wieczerza. Wielkanoc, imieniny synowej i syna. W lecie go na ganek od ogrodu w ciepłe dnie wynoszono. Czasem, gdy nogi odeszły, o dwóch kijach przechadzać się próbował. lecz nie długo. potniał bowiem z wysilenia, sam się chcąc utrzymać na nogach.

Čzuryło starzejącemu się Podkomorzemu teraz potrzebniejszy był, niż kiedykolwiek; a choć młody równie go lubił, radził się i używał, choć go i pani wielce ceniła i wnuki kochały, a były z nim poufale i serdecznie—starzec się bez niego prawie, można rzec, obejść nie mógł.

Zaledwie odszedł Strukeczaszye, już Podkomorzy na Jarmuszkę, chłopca, który nigdy się nie oddalał z przedpokoju—dzwonił, a wołał i posyłał za Czuryłą.

Okazywało się, gdy przyszedł, że mu zapomniał czegoś dopowiedzieć - o coś się go zapytać, albo go prosić, aby gdzie dotarł.

Staruszek bowiem, choć się wcale do gospodarstwa nie wdawał urzędownie, miał tę imaginacyę, że ono bez niego szło gorzej, i że nie zawadziło. gdy coś przypominał. Dozwalano mu tej satysfakcyi, iż ze swego fotelu rady i dyspozycye przesyłał, które niby spełniano.

Syn Podkomorzego i jego następcy, był. mimo wielkiego do ojca podobieństwa. już człowiekiem świeższego autoramentu. o czem najlepiej owo barometrum świadczyło. Nosił się też po francuzku, choć w domu kapotę z ochotą wdziewał; głowę

już nie golił, i włosy długie, piękną twarz jego otaczały. Wieś, chociaż lubił,—nie zaniedbywał też czasem przejechać, odświeżyć się w mieście. Towarzystwa potrzebował, gaduła był wielki i choć się niby trudnił wszystkim i nie przykrzył sobie pracą — do próżnowania żyłkę miał wielką; oboje z żoną lubili życie wygodne, wesołe i spokojne; dzieci kochali i ludzie byli zacni, ale do walczenia z przeciwnościami niestworzeni. Najmniejszy kłopot głowę im zawracał i życie zatruwał, tak, że nie wiedzieli co począć—i często stary Podkomorzy ze swojego fotela skutecznie służył radą.

Syna się już byli dochowali, chłopaka dorodnego z którym narazie jeszcze nie wiedziano co począć: czy go do wojska dać, czy w życiu obywatelskiem kierować. Córnka, panna Izabella, śliczna panienka, trochę flegmatyczna, właśnie też dorastała.

Wśród tej rodziny, postarzały już Czuryło, jakby krewny niemal, bo dla niego żadnych nie mieli tajemnic, życie pędził, można powiedzieć, szczęśliwe.

Od wielu lat jak tu przebywał; niemal przykładu nie było, ażeby albo oni z niego byli nie radzi, lub on na nich miał się żalić. Obchodzono się z nim jak z gościem, chociaż on dobrowolnie chciał być sługą. Jeżeli żądano czego od niego, to w taki sposób, że nigdy się obrazić nie mógł.

Deresz ów sławny, dawno już był zdechł, doszedłszy pięknej, jak na konia, starości, bo miał pewnie lat około trzydziestu, gdy jednego ranka znaleziono go w stajni do góry kopytami. Czuryło się spłakał nad nim i, co mu się należało, dopiłnował, aby go z podkowami i skórą, honorowym sposobem pochowano. — Podkomorzy skorzystał z tego wypadku i darował mu żrebaka w czwartym roku, także de-

resza, chociaż ten się do pierwszego nie umywał.— Szczupakowaty był, chudy, płochliwy i nieotargany jeszcze. Wziął go Czuryło na stajnię zaraz i począł się nim zajmować pilno. tak że do szóstego roku zrobił z niego doskonałego wierzchowca, choć całe innego rodzaju niż był poprzednik. Jeździec wyborny, sam pierwszy nań siadł, ułożył go, ugłaskał i do tego doszedł. że mu cugle na karku położyć mógł, a głosem nim kierował.

I to dlań była najmiłsza, jedyna zabawka, gdy się z koniem mógł popisać. Czy to jednostajne a spokojne życie, czy szczęśliwy temperament jakiś, sprawiały—dosyć, że Czuryło wcale prawie nie starzał. Przyszedł do jakiegoś punktu, na którym stał od lat wielu, nie rnszając się. Dziwili się temu wszyscy, po latach kilku znajdując go takim jakim był, i na włos niezmiennym. Nie siwiał, marszczek mu nie przybywało, zębów nie tracił. nie chorował prawie nigdy, trzymał się prosto. wzrok mu nie słabł. Prawda, że się nie pieścił, i ani chłodu ani głodu nie uląkł, ni trudu. W jego oczach postarzał niemal syn Podkomorzego, porośla młodzież. Czuryło zawiedły—wcale lat nie czuł.

Mingajłowie, ojciec i syn, choć ostatniemi czasy na partykularzu żyjąc. z wielkim światem mało mieli styczności, rodzinne stosunki zachowali znaczne. nietylko przez Puciatów, ale przez dawne małżeństwa, które ich łączyły z Radziwiłłami, Ogińskimi, Sapiehami i Pacami, a przez tych z całą Litwą i Koroną. Syn Podkomorzego starego, pan Szczepan, bywając w Wilnie dla trybunału, w Warszawie dla sejmu, podczas i w Grodnie, gdy alternata na sejm tu przyszła—stare te stosunki poodnawiał i przypominał. Ojciec nietylko że nie miał nie prze-

ciwko temu, ale radby był dla niego nanowo je zawiązać. Stało się tedy jednego razu, gdy z Grodna wrócił Szczepan, że się z tym chwalił, iż mu książę.... jeden z wysokich dygnitarzy koronnych, przypadający staremu Mingajle ciotecznym, odwiedzić go przyrzekł. Ponieważ jedna z rezydencyj książęcych, do której on rzadko zaglądał, nieopodal była od Kurzeliszek, a właśnie ów pan w tych czasach miał ją odwiedzić—zaczęto więc zaraz przygotowania czynić dla przyjęcia.

Wiedzano, że książę, który znaczną część życia za granicą przebył, do wygódek i pieszczot nawykły był bardzo. Szło o to, aby się dom szlachecki nie powstydział. Nie wstydzono się w nim staroświecczynny, lecz chciano też pokazać, że i nowe rzeczy a inwencye obce tu nie były. Szczególniej pan Szczepan miał ten punkt honoru.

Dnia tego późno z Grodna powróciwszy, z żoną i córką zaledwie się przywitał (syna w domu nie było) i do starego ojca pośpieszył. Podkomorzy właśnie w swojej izbie z Czuryłą siedział. Stary na fotelu ze stołeczkiem pod nogami, Strukeczaszye na sepecie, gdzie już wyznaczone miał miejsce. Jak tylko zahuczało, a Jarmuszka przyszedł oznajmić, że młody pan przyjechał już Podkomorzy począł dawać znaki niecierpliwości: czemu nie przychodzi. Aż drzwi się otworzyły i wbiegł p. Szczepan, śpiesząc ucałować rękę ojcowską.

Wstał i Strukeczaszye na powitanie, i radość była wielka zatem posypały się pytania: Jaka była droga, czy który z koni nie zakulał, czy się koło nie roztrzęsło, co słychać w Grodnie *de publicis*, z kim się p. Szczepan widział? i t. p.

Na wszystko to szły z kolei zaspakajające odpowiedzi, gdy wkońcu dodał przybyły:

— Wie ojciec, kto się nam tu raczył obiecać do Kurzeliszek?

— Ciekawym?

— Ni mniej więcej, tylko książę.

— A! to dopiero! — zawołał śmiejąc się stary — przypomniała sobie babka, gdy była panną! Dwa-dziesięcia lat o ciotecznym bracie nie myślał, nie napisał, nie nakazał, a tu....

Mrok był w pokoju, inaczejby obaj Mingajłowie spostrzegli, że Strukezaszyc, nazwisko księcia posłyszawszy, aż drgnął, pobladł i machinalnie, jak człowiek zakłopotany, który nie wie co z sobą ma uczynić, odzież na sobie poprawiać i kręcić się począł. Nikt jednak tego nie zauważył, a p. Szczepan mówił dalej:

— Spotkałiśmy się w Grodnie, i nie można być czulszym niż on był dla mnie. Zaklinał się, iż nie z jego winy to poszło. że do nas nie zawitał.—Prawie wszystkie te lata to zagranicą, to dla urzędu musiał siedzieć w Warszawie, że nawet swych dóbr na oczy nie widział.

— Musiał zestarzeć!—wtrącił Podkomorzy.

— Juści nie młody, ale....

— Starszy odemnie! o półtora roku—zawołał starszek—jakże wygląda?

— Chodzi i rusza się bardzo żwawo—mówił pan Szczepan.

— Chuderlawy był, skrzypiące drzewo, .no pro-szę—ciągnął dalej Podkomorzy. Kiedyż ma być?

— Może nawet bardzo prędko—rzekł Szczepan. W Grodnie jeszcze dla kilku przywilejów, które mu ekspedyować miała kancelarya, pozostał. Ztam-

tuż wprost do dóbr swych w Słonimskie przyjedzie, tak, że po drodze rozstawne posty dla niego stoją.

— A to gość! to gość!—mówił stary na wpół do siebie — prędzejem się już śmierci niż jego widzieć spodziewał. A jak go tu przyjmować, bo to gagaić!

Pan Szczepan ręką machnął.

— Jejmość moja da sobie rady, a kucharza, gdy trzeba, sprowadzą na ten raz, choć i naszego się nie powstydzimy.

— Ba! nasz! dla nas on dobry, a dla nich—to posute gęby na pulpetach królewskich, hm.

Zafrasował się widocznie stary.

— Niech ojciec będzie spokojny — dodał Szczepan—już ja w tem.

— A jest-że jeszcze moździerz przynajmniej, słowo daję — odezwał się stary — już niewiem czy go w lamusie znajdą, żeby mu na wiwat dać salwę, bo bez tego nic.

— I moździerz się znajdzie. Jakos to będzie, powtórnie całując go w rękę, dodał Szczepan— niech-no ojciec będzie spokojny.

Staruszek zamilkł frasobliwie. W tem Jarmuszka wszedł niosąc świecę z umbrelką i w progu, wedle obyczaju, odezwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Dawniej ze światłem wchodzący, zawsze z tem pozdrowieniem na próg wstępował.

Odpowiedzieli mu wszyscy. Pan Szczepan do żony pośpieszył, a stary Podkomorzy sam pozostał ze Strukezaszycem.

Chociaż syn go uspakajał. niemniej widać było że stary zatroszczył się o przyjęcie tak dawno niewidzianego ciotecznego. Patrzył oczyma osowiałe-

mi po izbie, nie spojrzawszy nawet na p. Czuryłę, i nie wiedząc, że ten także był zafrasowany, zmieszany jak nigdy. Począł staruszek mruczeć jakby sam do siebie:

— Dobrze im gadać: Jakoś to będzie! Ja tych gagatków znam! Im po szlacheckich dworach wszystko śmierdzi. Pocziwa Szczepanowa nie ma o tem wyobrażenia, jak takiego delikacika przyjmować. A nie podoba mu się w Kurzeliszkach, będzie potem przed całym światem ośmiewał, choćby cioteczno. Dostać się na ich języki, Panie Boże uchowaj nie dopuszczaj! Tu podniósł głowę stary i spojrzawszy na Czuryłę, dodał:

— Czuryło mój, kochanie, tyś stary przyjaciel domu, zlituj się, pomóż, aby tam co nie zmalowali. Ja ich znam: zaczną się śpieszyć, głowy potracą, do ostatniej godziny ściagną, łap cap, urwij, podaj; a komu będzie wstyd—to mnie i domowi. Zawszeć to ja niby głową domu

— A jakbym widział, że coś mi zmalować muszą.

Tu westchnął stary, spodziewał się na pocieszenie, że mu się z dobrem słowem odezwie Czuryło, a ten stał jak słup i milczał, patrząc na świecę.

— Co mówisz?—rzekł Podkomorzy. Strukeczaszye jeszcze nie mówił nic.

— Czuryło? słyszałeś?—powtórzył stary.

Westchnienie głębokie wyrwało się z piersi rezydenta, namyślał się jeszcze, i po dobrej chwili dopiero odezwał się niesmiało:

— To jest prawdziwie—taki dziwny skład okoliczności, proszę p. Podkomorzego, słowo daję, bardzo mi przykro—począł się jękać — ale ja właśnie muszę się oddalić!

Stary osłupiał niemal i ręce obie podniósł.

— Czuryło! kochanie! W takiej chwili, ty — opuścić nas—a toć-by było prawdziwe skaranie Boże — słowo daję, to nie może być.

— Właśnie miałem odpowiedzieć, pan Podkomorzemu—powtórzył Czuryło nieśmiało, że — nieodzwownie, gwałtownie na dni jakie dziesięć jechać muszę.

— Co tobie? dziecko ty moje! co tobie! jechać! Dokąd? Oszalałeś? Teraz, gdy my sobie bez ciebie żadną miarą rady dać nie będziemy mogli! Czuryło, zlituj się!

Strukczaszye stał jak martwy, nieśmiejąc spojrzeć na Podkomorzego. Staruszek w największem poruszeniu ręce załamywał:

— Ale — to nie może być! to nie może być! powtarzał.

Milczał Czuryło.

— Przed ćwierć godziną—ciągnął dalej Podkomorzy — mowy o wyjeździe nie było, ani słyhu. Sameś o polowaniu zagadywał. Zkądże nagle? W tem coś jest.

— Słowo daję p. Podkomorzemu, że wyjechać muszę—odezwał się Strukczaszye — słowo daję. Pan mnie zna nie od dzisiaj, żem rad służyć mu, i że. gdy mogę, sił dla nich, dobrodziejów moich, nie żałuję, a no—muszę, muszę.

Powtórzył wyraz ten po kilkakroć boleśniej coraz Czuryło, a Podkomorzy jak przybity — zmilczał. Widać na nim było głębokie strapienie. Czuryło znać ujrawszy to, wziął do serca i zbliżył się na parę kroków do staruszka.

— Niech-że mi pan tego za złe nie bierze. dodał z pokorą.

Stary trząsł się i kiwał w krześle, nic nie mówiąc,

przejęty był i niemal wzburzony. prawie gniewny: niekiedy ramionem dźwigał, uruknął coś. zżył, ręką o poręcz krzeła bił, sam z sobą rozprawiając i na Czuryłę niepatrząc.

Ten stał ciągle przed nim w błagającej postaci.

Pierwszy to raz od wielu lat, między rezydentem a starym p. Kazimierzem zaszło coś co się nieporozumieniem i nieukontentowaniem nazwać mogło. Widocznie, Podkomorzy, nawykły do usług Czuryły, wiele rachował na niego. więcej może niż na syna i synową. Nagle ten puklerz bezpieczeństwa usuwał mu się.

W takiej chwili obejść się bez człowieka, który dziesięciu mógł zastąpić, wszystkich przypilnować, myśl poddać, wreszcie w chwili stanowczej odegrać rolę marszałka dworu—Podkomorzemu się to w głowie nie mogło pomieścić. Chwilowe rozdrażnienie zmieniło się w żal i smutek. Podkomorzy w swym wieku i przy osłabieniu, do łez już bywał skłonny. Czuryło dojrzał jak swą nabrzękłą rękę przybliżył do oczów i coś otarł z powieki.

— Jać to wiem—ja ci wierzę: począł niemal płaczliwie Podkomorzy — już kiedy ty mówisz, że musisz, nie może być inaczej. Ale nie jestże to dla mnie, dla domu *calamitas, casus fatalis*, w takiej chwili ciebie utracić? I ręce załamał.

Milezeli oba, po Czuryle też widać było strapienie wielkie i smutek. Patrzył na świecę, nieśmiejąc w oczy spojrzeć Podkomorzemu i powzdychiwał.

— A! niechże mi mój dobrodziej najłaskawszy niema tego za złe, począł cicho—Bóg widzi—świad-

czę się tem, co tylko mam najświętszego, iż—muszę jechać.

Nie odpowiedział staruszek aż nierychło:

— Słuchaj. Czuryło, ty mnie znasz! Ja się w cudze sprawy nie mieszam. Czym ja kiedy ciebie pytał gdyś jechać chciał, albo ci bronił? albow cię, uchowaj Boże, szpiegował i posądzał?—nie moja to natura. Ależ, żyjemy z sobą tyle lat, beczkę soliśmy zjedli, a ty, niedobry człeczko, nie miałeś dla starego przyjaciela, i na tyle zaufania, żebyś mu się ze swych trosk i kłopotów wypowiadał. Znasz-że mnie? hm? a ja ciebie? tyle tylko, że cię wiem poczywym i dobrym przyjacielem, aleś mi się na odrobinę nie zwierzył nigdy.

Czuryło, który ręce spuściwszy, załamane je trzymał, podniósł je teraz do góry.

— Mój ojciec i dobrodzieju— zawołał — nie brak to zaufania, ani brak wdzięczności za tyle łask, których od was doświadczyłem; aliści człek radby wdu-szy pogrześć to. co mu życie zatrulo. Jabym się i do zbrodni przed wami przyznał — ale do tego, co nie mnie samego obchodzi—co drugich tyczy...

Machnął ręką—Nie gadajmy!

Z ciekawością słuchając, patrzył nań staruszek, i nie rzekł już słowa. Dopiero gdy za czapkę chwyciwszy odchodzić miał Strukeczaszy, jeszcze go zaczepił:

— Ale czyż musisz jechać?

— A! muszę! Bóg widzi! muszę! powtórzył gwałtownie. Zbliżył się do ręki starego, pocałował ją i szybkim odszedł krokiem. Jeszcze się był może za dom nie oddalił, gdy stary dzwonił na Jarmuszkę. Wszedł chłopak rozespany.

— Idź mi proś panicza, natychmiast — gorączkowo się odezwał stary.

W chwilę potem, p. Szczepan, ocierając usta bo właśnie u podwieczorku siedział, pośpieszył na ojca wezwanie. W progu był, gdy Podkomorzy począł pędko:

— Wiesz—wiesz co się to dzieje! Wszak to na taką chwilę, kiedy nam właśnie najpotrzebniejszy, tego paskudnika Czuryłę chandra napadła, i chce jechać.

— Nie wiem co mu się stało. Niema pół godziny, jak mi o polowaniu mówił. Wesół był, projekta robił. Raptem, tyc—coś go ukąsiło—kto go zrozumie?—musi jechać!

Pan Szczepan nie brał tak tego do serca wprawdzie zdalby mu się był Czuryło, ale znów rozbić się za nim ochoty nie miał.

— No, no—cóż robić—niech z Bogiem rusza—rzekł—to trudno!

— Ale co mu się stało? co mu się stało? nienaturalna jest rzecz! do niczego niepodobna! Jakby go co kolnęło pod bok. Ja tego człowieka nie rozumiem. Zkąd? co? dlaczego? nagle coś mu się stanie—i na cztery wiatry....

— To nie pierwszy raz, mój ojciec — odezwał się Szczepan.

— Ale bo nie uważałeś—mówił Podkomorzy niepokojnie.—W tem coś jest! Gdyś ty wszedł, jeszcze nic nie było; dopiero gdy o księcin mówić zacząłeś,—jakby go zimną wodą oblał. A żebyś słyszał co mi tu mówił, jakim głosem, hm.

— Przecież, rozśmiał się p. Szczepan, między nim a naszym księciem żaden stosunek istnieć nie mógł.

Sekret pana Czuryły.

To są ludzie zupełnie innego świata. Zetknąć się nawet nigdy nie mogli.

— A licha go wiel—odparł stary—ja tylko powiadam, że bez niego tu ładu nie będzie, i rady sobie nie dacie. Już, gadajcie sobie co chcecie — bez Czuryły się obejść w gorącym razie trudno.

— Nie przeczę — rzekł p. Szczepan — moja żona też na niego rachowała jak na cztery tuzy.

— Weźcież się no wy we dwoje do niego jeszcze, może będziecie szczęśliwsi. Ja go prosiłem—daremnie, a niewypowiedzianie jestem niespokojny.

— Przyjdzie na wieczerzę—odparł pan Szczepan, żonę przygotowuję, weźmie go na spytki i, spodziewam się — zatrzyma.

— A ja o tem wątpię—wątpię—dodał wzdychając stary.

Na tem przerwali. Wyszedł p. Szczepan do żony; staruszek wziął się do różańca i pacierzy wieczornych. Tymczasem rozprawiano o przyjmowaniu księcia kuzyna szeroko, i nie było końca projektom a sporom. Zszedł czas do wieczerzy, prędko, a gdy do stołu podano i krupniczek z półgęską już z wazą był przed gospodynią, Czuryło się zaś nie pokazywał, posłano po niego do oficyny. Chłopak wrócił prędko z zawiadomieniem, iż Strukczaszyca nie było, że przed chwilą juki swe na plecy sam wziął, poszedł z niemi do stajni, konia sobie sam okulbaczył i wyjechał.

Szczepan się zmarszczył, spoglądając na żonę.

— Mniejsza mi o niego—szepnął—a no stary taką ma wiarę w Czuryłę, iż mu się zawsze zdawać będzie, że my sobie bez niego nie damy rady.

— Ale cóż mu się stało? — spytała pani Szczepanova.

— Co zwykle! jakieś dziwactwo! — rzekł mąż.

Gdy się to działo we dworze, Czuryło na młodym dereszu wyjechał tyłami za stajnię, postął na drodze jakby rozmyślając chwilę i puścił się do plebanii. Kościół parafialny i dom proboszcza nieopodal był od dworu. Na plebanii się świeciło.

Zastał ks. Woroszyłę chodzącego po izbie z brewiarzem w ręku.

— Niech będzie pochwalony.

Proboszcz ręką machnął, dając znać, że wprzód modlitwę skończyć musi, jakoż poszeptał chwilę, przeżegnał się i dopiero odpowiedziałwszy na pozdrowienie, poszedł uściskać Czuryłę.

— Cóż to tak późno, kochanku? — spytał — czy uchowaj Boże, nie zaszło co we dworze? Tylko co widziałem się na drodze z p. Szczepanem.

— We dworze nie ma nic, wszystko postaremu.

— Ale, ba — nie koniecznie, rozśmiał się ks. Woroszyło — p. Szczepan jechał z wielką wiadomością! Świat do góry nogami. Dygnitarz i książę chce odwiedzić Kurzeliszki. Stary Podkomorzy bodaj tego honoru, biedaczek, nie odchorował.

Skrzywił się Czuryło.

— Ja tu właśnie do was, mój ojcze, po drodze wstąpiłem z prośbą, z tego powodu. Oto w takiej chwili, gdy możebym Podkomorstwu mógł być potrzebnym, muszę jechać! Stary się na mnie pogubiwał trochę — a ja — muszę jechać! — powtórzył Czuryło.

— A cóż ci to znowu jest — i co znaczy to — muszę jechać? — zapytał ks. Woroszyło.

Czuryło spuścił oczy — westchnął.

— Cóż to za paroksyzm znowu! powtórzył ksiądz.

— Sądźcie mnie jak chcecie — rzekł Strukezaszyc,

lecz wiercie mi, że to nie fantazyja żadna, żadne dziwactwo, ale konieczność. Właśnie dlatego tu do ojca dobrodzieja przybywam z prośbą, racie mnie wytłómaczyć. Ja tu pozostać nie mogę — nie mogę!

Mówiąc to, Czuryło miał minę tak strapioną i smutną, że ksiądz skłonny zawsze do miłosierdzia — zbliżył się doń i uściśnął go serdecznie.

— No — cóż to znowu? co? moje dziecko? począł zcichnąć; ale na to pytanie odpowiedzi nie odebrał, a gdy spojrzał na Czuryłę, zobaczył tylko pełne łez oczy. Ks. Woroszyło nie pytał więcej.

Po krótkim milczeniu — dodał — jakby już badać nie potrzebował.

— Al! to te stare wasze dzieje! Wiem, wiem.

— Muszę jechać — mój ojciec, całując go w ramię, dodał Czuryło — nie mam czego się dalej wlec, jak do Słonima — przesiedzę jaki czas w gospodzie, póki to nie minie.

— Po nocy?

— Wszystko jedno. To mówiąc, pożegnał starszka Czuryło i szybko się oddalił, prosząc, aby go we dworze bronili i tłumaczyli.

Nazajutrz też ks. Woroszyło zrana zjawił się u Podkomorzego, gdy ten jeszcze swoją „gramatkę“ ranną spożywał. Ledwie go zobaczył stary, gdy, usta mając pełne i ledwie n owić mogąc, zawołał żywo:

— Wiesz-że księżuniu, co się dzieje! oto książę sobie przypomniał, że my żyjemy, i ma zjechać do Kurzeliszek a tu, ten waryat, niegodziwv Czuryło, jakby go co piekło, wczoraj po nocy, jak złodziej, z pozwoleniem, zabrał się z manatkami i uciekł?

— Cobo jegomość mówisz — przerwał ks. Woro

szyno—a czy się to godzi! a czy to po chrześcijańsku! Wszakci to biedny człek. Z dobrej woli tego pewnie nie uczynił, a jeśli pojechał — toć chyba musiał.

Był nawet u mnie wczoraj na plebanii i prosił mnie, ażebym go tłómaczył, że tego nie czyni przez fantazyę żadną, ale dla słusznych powodów.

Trochę się Podkomorzy zinitygował, lecz nadto miał na sercu odjazd, by mu żal nie wrócił.

— Słuszne powody! Słuchacie go! począł nachmurzony, plecie! powody! jakie? Lat tyle się znamy, a przyznać się nie chce co za choróbsko nim tak rżnca. Nigdy go w żadnem złem posądzeniu nimiał — człek dla mnie był złoty, ale co o nim sądzić, po takim postępowaniu? Czysty waryat, ale bo — kto go wie co zaczął?

— Nieszczęśliwy! — dokończył poważnie ks. Woroszyło — nieszczęśliwy! Tyle wam mogę powiedzieć tylko!

— Więc wy przecież coś wiecie? zagadnął Podkomorzy.

— Ja wszystko wiem — rzekł ks. Woroszyło — ale, pod pieczęcią sakramentalną, nie powiedzieć nie mogę. Na obronę tylko człowieka sumienie mi pozwala rzec — nieszczęśliwy jest.

Podkomorzy ani śmiejąc już dopytywać zamilkł.

— Siadaj dobrodzieju! — zakończył — i powrócił do niedojedzonej „gramatki“ która z apetytem właściwym starcom, chciwie łyżką począł dobywać, aby jej i kropla nie została.

Serwetą, którą miał pod brodą zawiązaną, otarłszy się starannie, stary westchnął i nierychło począł, zwracając się do ks. Woroszyły.

— Już niech tam sobie będzie co chce — rzekł —

ale ten Czuryło klinem mi we łbie siedzi. Co ten człowiek popełnił, za co pokutuje? Z czem się kryje? nikt nie wie? Tyleśmy lat z sobą pod jednym dachem spędzili, żeby kiedy pisnął, żeby się poskarżył i żeby się z najmniejszą rzeczą zdradził!

— Widzisz jegomość dobrodziej—rzekł ks. Woroszyło—musi tedy mieć powody ważne, gdy milczenie takie zachowuje—zatem lepiej o tem nie myśleć.

— A wróciż on? bo słyszę juki zabrać, i derkę z konia—odezwał się stary.

— Gdzieżby się podział, mówił proboszcz, nie ma on pono kąta uigdzie, a lepiej mu też nie może być na całym świecie jak tu.

— Przyznam się — jegomości — dodał Podkomorzy, że, gdyby, uchowaj Boże, nie wrócił, tobym śmiercie!nie na nim zatęsknił. Nawykłem do niego jak do chleba—trudno mi się obejść. Dobry w gruncie człek, tylko te sekreta jego! te sekreta!

Od tego dnia już rozpoczęto w Kurzeliszkach przygotowania do przyjęcia jego ks. mości. W istocie kłopot z tem był nie mały. Jak tylko stanął dygnitarz w swej rezydencji, natychmiast pani Szczepanowa posłała afidowanego człowieka dowiedzieć się co książę jadał, co pijał, jak mieć lubił. Chciano go przyjąć tak, by mu tu dobrze było.

Okazała się potrzeba włoskiej czekolady na rano, win francuskich do obiadu, gdy w domu węgryń panował, a książę do burgunda był nawykłym. Posłano sztafetę do Warszawy, by co brać, przywiozła. Kucharza musiano z innego domu magnackiego wypożyczyć, Francuza, choć p. Szczepanowa z tradycyi wiedziała, że będzie ogień masłem podsycał.

Wydobyto srebra, które przez dni trzy czyszczo-
no, bo w kantynach leżąc poczerniały; z kufrów po-
wyciągano odwieczne makaty i kobierce. Co dom
miał najlepszego na okaz, wyjść musiało. Samo za-
stawienie stołu ze zwierciadłami i figurkami, które
się oddawna nie praktykowało, kłopotem było nie
małym. Srebrne wazy, choć ich użyć chciano, nie
dały się zastosować i demonstracyjnie tylko stół
przyozdabiały.

Wystąpiła oddawna niewidziana saska porcelana
z kwiatami, którą niegdyś Podkomorzy przywiózł
był z Drezna, przyczem dwa talerze i salaterka pa-
dły ofiarą. Straty tego rodzaju policzyć się nie da-
ją—było ich dosyć.

Musiła też młoda Podkomorzyna córkę prezen-
tując księciu, ubrać ją nowomodnie, a tu fryzjera
nie było, i do stroju wiele gałganków brakło. I to
trzeba było sprowadzić z Warszawy. Odwieczne
pyły, których spokoju nie nadwęgzało odda-
wua, ustąpić musiały nawet z takich miejsc, gdzie
bezpiecznie spały od lat wielu.

Chociaż książę dnia bytności oznaczyć nie chciał,
żądając, aby go jako kuzyna, wcale nie przyjmowa-
wano, przekupieni dworscy jego dali znać zawcza-
su. Stary Podkomorzy miał więc czas ubrać się,
wdziać buty aksamitne i czekać kuzyna, nie w sy-
pialni, ale w bawialni, dokąd mu fotel jego zatocz-
no. Niezwykły ruch, trochę niepokoju tak jakoś
nani wpłynęły, że nieco odżył i sił w sobie uczuł
więcej niż zwykle. Wcześniej też przygotował się
co ma mówić i jak ciotecznego przyjmować; wszyst-
ko było pod bronią we dworze, gdy poprzedzana
przez dwu konnych, karetą poszóstna przed ganek
się zatoczyła. Tu już stał pan Szczepan atentując,

a w progu pokoju sama pani. Podkomorzy z pomocą Izabelki, stojącej przy nim, dźwigał się z fotelu, aby przyjąć pana brata uroczyście.

Jakże się zdziwił, gdy ten, starszy od niego o półtora roku, wbiegł żywo i żwawo, fertycznie prawie, a choć twarz miał jak pieczone jabłko pokrajaną zmarszczkami, widać było po nim, że nawet młodego chciał udawać.

We francuzkim stroju świeżym i modnym, cały połyskujący od haftów, pachnący od woni, cudzoziemskiego coś mając w ruchach i postawie — gdy stanął przed p. Podkomorzym, ten oczom swym ledwie chciał wierzyć. Rzucili się sobie w objęcia bardzo serdecznie, i p. Kazimierz się jak bóbr spłakał. Wszystko tedy przybyły niezmiernie admirować począł, od panny Izabelli porzawszy, którą obsypał komplementami, a ta rumieniła się a pałała jakby ją zlewał ukropem.

Z kolei ręce jej i pani Szczepanowej okryte zostały pocałunkami. Uścisnął p. Szczepana. Unosił się nad rezydencją, nad wdziękiem okolicy; zazdrościł wieśniakom szczęśliwym ich swobody i rozkoszy idyllicznych, jakich zażywali — słowem, magnat był nprzejmym, miłym, słodkim na podziw.

Przy tem usposobieniu szło jak z płatka wszystko — dobrem było, doskonałem, przedziwnem cokolwiek podawano, — rozumnem i dowcipnem, co mówiono. Każde słowo starego Podkomorzego okrywał dygnitarz oklaskami, wynosząc jego rozum statysty i jasne rzeczy pojęcie. Panie zostały oczarowane, pan Szczepan się zachwycał. Zdawało się niezmiernie trudnem przyjęcie to, a okazało się tak łatwem, iż wszyscy dlań czuli wdzięczność. Podobną się tą popularnością swą, a pani Szczepano-

wa szczególnie wdzięczną mu była, że przy obiedzie jadł dobrze, z apetytem, i gęby nie ściągał.

Oświadczył zaraz, że dla rozpatrzenia się w do-
brach, których oddawna nie widział i interesów
się ich nie dotykał, zmuszonym będzie zabawić pa-
rę tygodni w okolicy—i—jeśli Podkomorstwo po-
zwola, chce ich bez żadnej ceremonii czasem karyo-
leczką na chwilę odwiedzić.

Stary Podkomorzy dziękował za tę łaskę, wszys-
cy oświadczała swą szczęśliwość. Rozmowa utrzy-
mywana przez księcia z wielką sztuką i łatwością,
nie szła ale płynęła strumieniem przezroczystym,
pełnym blasków i perełek. Podkomorzy stary słu-
chał, porwany wymową kuzyna i śmiał się do łez.
Pani Szczepanowej niektóre z anegdot i dowcipów,
wydały się wprawdzie trochę zbyt ostremi — przy
p. Izabelli, lecz musiała je przyjąć za dobre, boć
widocznie na wielkim świecie zwyczajem było za-
pewnie, mówić tak swobodnie — a moda jest królo-
wą i prawodawczynią. Do późnego wieczora trwa-
ły te odwiedziny, i nic a nic, do ostatniej chwili nie
trafiło się, coby je zatrzymało lub zamgliło. Szło do-
skonale, tak że, gdyby nawet Czuryło był na miej-
scu i kierował wszystkiem, lepiejby to wypaść nie
mogło. Gdy poszóstna karetą dygnitarza odtoczy-
ła się od ganku, a znużony nieco Podkomorzy pod
ręce się do swojego pokoju prowadzić kazał, za
którym tęsknił, uśmiechając się szedł i lekko mu
było na sercu.

Do odchodzącego już przypadła synowa, całując
go w rękę i szepejąc:

— A widzi, kochany ojciec, że się nam i bez Czury-
ły udało!

Niestety — w tej chwili właśnie może. niedosta-

tek powiernika najmocniej czuć się dawał Podkomorzemu, który tysiące myśli i postrzeżeń, byłby mógł mu przelać w swobodnej rozmowie. Westchnął za Czuryłą.

Dla państwa Szczepanowstwa została troska o następne odwiedziny, jeśliby dygnitarz, dotrzymując słowa, istotnie miał ich *incognito* nawiedzać.

Strukezaszyc zwykle, gdy się absentował niebawił długo; tym razem go nie było.

Stary niemal codzień zrana się budząc, gdy Jaruzka przychodził otwierać okiennice, pytał go regularnie.

— Nie słyszałeś? nie wrócił tam Czuryło?

I otrzymywał odpowiedź:

— Niema, panie.

W dzień, po kilka razy powtarzało się toż samo pytanie i odpowiedź taż sama, z tą różnicą, że stary coraz mocniej się niecierpliwił, a nawet trochę go kłął; nie straszniej jednak, tylko, wedle swojego zwyczaju: — Bodaj go kaczki deptały.

Čzasem mu na myśl przychodziło, że się Strukezaszycowi co złego stać mogło — i wzdychał.

Dygnitarz tymczasem przez czas jakiś niedawszy znaku życia, dotrzymał słowa jednego poobiedzia. i przybył karyolką, parą końmi, z jednym służącym. Ponieważ się go już wcale nie spodziewano, zastał panią Szczepanową nienubraną, a panuę Izabellę w negliżu takim, że się pokazać nie mogła. Szczepan był w poln; stary Podkomorzy drzemał w krzesle, okryty tylko letnim chałatem. W pierwszej chwili stał się rozruch we dworze, niedoopisania.

Wpuszczono dygnitarza do salonu, gdzie nikogo nie było, chłopca bez czapki wsadzono na konia bez uzdy, oklep, aby biegł szukać p. Szczepana; pani

Szczepanowej, która się chciała usznurować, gorset pękał z pośpiechu. Staruszek Jarmużce zadysponował już letni kontusz wojewódzki, gdy, nim zdążył go włożyć, książę się zjawił sam w jego pokoju. Podbiegł do starego, zaklinając go, aby pozostał jak był, i aby z nim, jako z krewnym żadnych ceremonij nie czyniono. Podkomorzy zapomniał w tej chwili, jaki nieład mogła mu ta wizyta zrobić, wśród jego rupieci; kazał podać krzesło z salki, posadził gościa i tu poufale rozpoczęła się rozmowa.

Książę był w złotym humorze, choć z rozmowy nie można było odgadnąć, co go tak uszczęśliwiało, gdyż, jak sam mówił, w dobrach zastał nieład największy, szkody ogromne, pozaciągane długi, nadużycia krzyczące i niemal ruinę. Ale—z tą lekko-myślnością pańską, do jakiej u nas wszyscy nawykli, wcale się nie zdawał o to troszczyć, spodziewając się wszystkiemu zaradzić. Podkomorzy od bardzo dawnego czasu nie będąc z ciotecznym w stosunkach żadnych, o rodzinie jego nie wiedział nic, a i pytać nie śmiał, bo zdała dochodziły go różne głuche wieści, które się dawały domyślać, że książę nie był bardzo szczęśliwym w domowym pożyciu. Jednakże, gdy się rozhower przedłużał, bo p. Szczepanowa ciągle się jeszcze sznurowała, a młody Podkomorzy z pola nie przybywał,—sam książę naprowadził gawędę, na stosunki swe familijne.

— Ty, mój kochany bracie—bo tak nazywał Podkomorzego, naprzemiany go tytnując kuzynem też, ty, kochany p. Kazimierzu, przynajmniej szczęśliwym jesteś z dziećmi, masz syna ożenionego, cieśszysz się wnukami, a ja....

Podkomorzy zmilczał; książę głową potrząsał

— Córce się mojej nieszczęści — dodał — za trzecim mężem, a i ten nie po tem.

Nie było się co dopytywać; książę sam po przestanku, urywanemi słowy dodał:

— Już to i nie bez jej własnej winy.... Nadto zawsze była dobrą i łatwowierną, miałem też z nią kłopotu niemało. Ale o tem, lepiej nie mówić.

Jakoż znowu się urwało: pan Podkomorzy nadto miał delikatności, ażeby się wdzierać w zaufanie księcia, który ledwie wspomniawszy córkę, posmutniał widocznie.

Znowu tedy wrócono do interesów majątkowych i tu — niezmiernie drażliwego punktu dotknął książę, który p. niekąd całą jego teraźniejszą dla rodziny i czułość i obie wizyty tłómaczył. Przyznał się, że go tu *insperate*, zaskoczyły okoliczności całę nieprzewidziane, i — gdzie się spodziewał znaleźć fundusze, trafił na długi niecierpiące zwłoki. Szło o to czyby gdzie nie można dostać paru tysięcy dukatów. Stosowało się to widocznie do szkatułki Podkomorzego, która w okolicy uchodziła za zasobną. Wsamej istocie p. Kazimierz nigdy nie był bez zapasu, lecz z zasady wolał zawsze pożyczyć szlacheicowi, nawet niezamożnemu, niż wielkiemu panu. Tu zaś zachodziła i ta jeszcze okoliczność, iż cioteczny biorąc na świstek, wcaleby się potem ani z kapitałem, ni z procentem nie śpieszył. Podkomorzy był i dobrym i uczynnym, lecz, sam oszczędny i rzadny, znał nieład, jaki panował w interesach magnatów. Musiał więc dyssymulować, choć go to wiele kosztowało.

Złożył ręce pobrzękłe, i wyraz twarzy przybrał moeno strapiiony.

— Al mój książę — zawołał — jakaż to dla mnie

boleść i szkoda! Nie dalej temu jak sześć tygodni, ostatni kapitalik oddaliśmy wojewodzie zastawem na Żuki. Nie mam w całym domu tylko to, co już nieporuszone, zapieczętowane leży na pogrzeb moj.

Książę kwaśną zrobił minę.

— Jednakże—dorzucił Podkomorzy—chcę ci służyć z duszy, niech-no Szczepan przyjedzie, będziemy szukać w okolicy; może szlacheica jakiego groszowitego znajdziemy, bo to u nas, nawet po zaściankach nie nowina.

Księżciu to już daleko mniej było dogodnem mieć do czynienia ze szlachcicem, któryby zaraz hypoteki żądał, do akt się ze skryptem wniósł i nudził o oddanie w terminie—jednak—serdecznie dziękował. Humor dobry na tem przejściu mocno szwankował, i choć Podkomorzy wysilał się na zabawianie, choć tuż przybyła. już usznurowanana p. Szczepanowa, a zanią wkrótce i mąż, choć otoczono nadzwyczajną uprzejmością dostojnego gościa—już dawna wesołość jego nie powróciła. Silił się na nią i nie mógł zdobyć. Zdaje się, że napewno już tak rachował na Podkomorzego, jakby owe dwa tysiące miał w kieszeni. Wyprowadzono gościa do salonu, gdzie wspaniały zjawił się podwieczorek, lecz le-dwie co chciał wziąć do ust. Podkomorzy, z pomocą dwu sług zwłókł się tu za nim, zasiadł, chciał zatrzymać do wieczery; książę się jednak wyrwał, dziękując za nią.

Po wyjeździe jego, konferencyę odbywszy ze Szczepanem poufną, stary posłał nazajutrz syna razem do zamożnego, znanego sobie szlachcica Kołłupajły, czyby pieniędzy nie dał, i do księcia — je-sliby się udało, z następczeniem tej pożyczki.

Kołłupajło był sknera i weredyk kwaśny. „Chce

Podkomorzy—rzekł—to mu mopanku, dam,—i nie dwa, cztery tysiące — na rękodajny prosty skrypt, a księciu jegomości, peh! peh! wiedzą sąsiedzi jak mitra siedzi, chyba na zastaw.... *Aut, aut.* W żadne skrypty się z nim nie wdam. Na przeszły św. Jerzy w Wilnie nikomu nie zapłacili procentu.... Ludzie na nich płaczą.“

Ponieważ Podkomorzy synowi dał instrukcyę stosowną, że poręki za księcia, dla nieuwłączania jego honorowi, dawać nie może — pojechał p. Szczepan, stręcząc tylko Kołłupajłę na zastaw.

Przybywszy do rezydencyi, p. Szczepan najprzód nie rychło został dopuszczonym, a to—jak się później okazało, z powodu, że stary dygnitarz, przyjmował właśnie jakąś damę, która przyjechała z Warszawy — a tej książę panu Szczepanowi prezentować nie chciał. Książę był wielce muzykalny, a pani ta, miała głos bardzo piękny, lecz, —ludzie złośliwi, mogli starego pana posądzać. Musiał więc się z tem tać, że muzyką nawet w podróży się zajmował. Gdy uareszcie, wpuszczono pana Stefana, książę go przyjął strasznie sztywnie i zimno. Wspomnienie kapitału i Kołłupajły, nie naprawiło humoru, nie wypadało mu, jak mówił, dóbr zastawiać, gdy sknera, kutwa szlachcie wiary w nim nie uiał. Poddawał jednak myśl tę kuzynowi aby sam pożyczył u Kołłupajły i jemu tem wygodził. Pan Szczepan oświadczył, iż się z tem do ojca odnieść musi. Nie proszono go nawet na obiad, czemu także pewnie owa muzyka potajemnie kultywowana stanęła na przeszkodzie.

Za powrotem syna, Podkomorzy do namysłu wziął sprawę. Radby był kuzynowi dopomódz, a nie bar-

dzo się chciał sam zaszargać. Cmokał długo i odłożył to do jutra.

Wieczorem nadszedł ks. Woroszyło, tylko w celu zabawienia staruszka, do jego pokoju, bo czuł że mu tam Czuryły brak być musi.

Przed nim, jak przed Strukezaszycem, Podkomorzy wszystko zpod serca, i co miał na wątrobie, gotów był wygadać; nie miał dlań żadnych a żadnych tajemnic. .. Wypowiadał więc mu się natychmiast z żądania księcia, z kłopotu, w jakim był, i z warunków, jakie ten twardy Kołłupajło podawał. Książd mileżał długo, głową tylko potrząsając.

— Mój panie Podkomorzy—rzekł wreszcie—gdybyś miał do wyrzucenia parę tysięcy dukatów, jużbym ci prędzej życzył je ubogim dać, niż takiemu co je jutro, z pozwoleniem, marnie wyrzuci za okno Książę tyle już stracił, tak się, słyszę, w interesach zaplątał, że go chyba Pan Bóg successyą jaką salwować może. Pan go nie uratujesz. Jutro poczuwaj grosz, pryśnie ztąd. Stary jest, a zły z siebie przykład daje.

— A to jak?—zapytał Podkomorzy.

— Całemu to światu wiadomo, że przybyła tu za nim ta włoska śpiewaczka, która mu trele i gorgi wywodzi.

Podkomorzy się cały wstrząsł. — A! nie może to być, to potwarz, półtora roku starszy odemnie! Czy sflksował!

— Być może iż nie jest przy prawych zmysłach—dodał ks. Woroszyło — a no, niech to między nami zostanie.

Strasznie się p. Kazimierz włoską tą zmartwił, pluł, mruczał, i spluwał znowu i ręką bił o krzesło, rady sobie dać niemogąc.

— Mój księżuniu—rzekł wreszcie—tylko o tem—nikomu. Któż to może wiedzieć? Lepiej tego nie znać i o tem nie mówić.

— Nawet przed Szczepanem o tem nie mówcie.

Stosunki pomiędzy Kurzeliszkami a rezydencją książęcą następnie ostygły nieco, bo Podkomorzy na swój rachunek u Kołtupajły brać pieniędzy sobie nie życzył. Ta włoszka popsuła interes, strawić jej nie mógł Podkomorzy, powtarzając że półtora roku od niego starszy, rozum-by przecie mieć powinien.

Kołtupajło był bardzo zamożny szlachcic, ale prostak i starego kroju. Chociaż go już nie zaczępiano więcej, trzeciego czy czwartego dnia siadł na kałamażkę jednokonną, którą się sam powoził i przybył do Kurzeliszek, do Podkomorzego.

Cybuli się w drodze objadł i gdy wszedł do pokoju p. Kazimierza, niewiedzieć co było poczynąć, chyba okna otwierać, bo cybula sobie, a buty dziegiem smarowane, także woń silną wydzielaly. Popuśaly był ze wszystkiemi, więc siadł przy Podkomorzym, i nie łącno się go pozbyć było.

— Cheesz hroszy, mówił trochę z ruska i zprosta ja tobi dam, mój Podkomorzy, ile dusza zapagnie a mojej kabzy stanie, ale kniaziowi nie. To, wielcy panowie. Jak będzie brał, to mnie do stołu zaprosi i posadzi przy sobie, a jak przyjdzie oddawać, u rządzey w przedpokoju będę stał i prosił się posłuchania. Ja już to widywał. Machał ręką strasznie Kołtupajło, pluł do koła, gadał dużo—i ledwie go wyciągnięto ztąd na obiad, poczem odjechał. A, choć się zaklinał, że księciu pieniędzy nie

da, zwabiono go do rezydencji: zastawę wziął i dukaty swoje wysypał.

Jeszcze potem raz książę, z pożegnaniem do Kurzeliszek przyjechał, ale wcześniej o tem wiedziano i gotowi byli na przyjęcie. Nie bawił długo, bo Podkomorzy nie mógł się zwyciężyć i przyjął go bardzo zimno, choć z wielkimi honorami. Po schwyceniu pomiędzy od Kołupajły, pilno było dygnitarzowi za granicę. Humor był już jak najlepszy, dowiep powrócił, swoboda i wielomówność. Pani Szczepanowa była nim zachwycona, stary już w tem nie smakował. Rozstali się z wielkimi protestacyami afektów, w których jednak więcej było formy niż treści.

Gdy drugiego dnia potem Podkomorzy się obudził, a Jarmuzka przyszedł okiennice otwierać, nie pytany już nawet, pośpieszył oznajmić, że Czuryło powrócił.

Stary aż się podniósł na łokeiu; oczy mu zabłyśczały.

— Idź że mi do niego w skok, i powiedz niech mi tu zaraz przychodzi, a jeśli śniadania nie jadł, to mu tu niech podadza. Ja tymczasem koronkę odmówię.

Kończył ją właśnie stary, gdy się Czuryło w progu ukazał, śpiesząc rękę Podkomorzego ucałować, który go mocno za głowę ścisnął.

— Człowiecze niewdzięczny jakiś—zawołał tyś się włóczył, a my tu za toba tęsknili. Musiałeś chyba czekawkę mieć, takeśmy cię często wspominali, bodajże ciebie—bodaj. A no. mów, gadaj gdzieś bywał, coś porabiał?

W tem spojrzawszy nań — przypomniał sobie coś stary i ręką machnął.

Sekret pana Czuryły.

— A no—prawda, ciebie o to nie pytać, to darmo, to twój sekret, a jakże się masz?

— Dziękuję, nie gorzej mi—tylkom się ja też za Kurzeliszkami zatesknił.

— Ale, ale! niedowierzająco przerwał Podkomorzy.—Gadaj zdrów. A my tu gości mieliśmy, niech ci Szczepan opowie. *Celsissimus* trzy razy nas odwiedzał.

Tu się stary skrzywił i cicho dodał, co mn na sercu leżało.

— Proszę ciebie, mój drogi, półtora roku starszy odemnie — słowo ci daję, a gadają, że jakieś lichu z sobą wozi. Czy to słychana rzecz!

Strukeczaszye nie nie mówił, posępny stał, nie mając ochoty się odzywać.

— Lepiej o tem nie mówić—Szczepan nawet nie wie—mnie ks. Woroszyło o tem szepnął. Wystaw-że sobie — ciągnął dalej Podkomorzy — ale w tem, spostrzegł że Strukeczaszye stoi i wskazał mu na sepet.

— A siadaj-że na swoim miejscu—dodał.—Com chciał mówić! Ale — wystaw sobie, niema karesu bez interesu, wszak że to jaśnie oświecony u mnie chndopachołka chciał się pożywić. Parę tysięcy dukatów potrzebował. Co powiesz? rozmyśliłem się, nie dałem. Utracynsz! Szczepan mu nastęczył Kołkupajkę,—tego co go cybulą i dziegiem tak czuć. Szlaheic mu dał, ale na zastaw. Historye, powiadam ci. Będziemy mieli gadać o czem. A jak mi tn waszeci brakło! no! bo narazie mnóstwo rzeczy przychodziło na myśl, które teraz ze starej głowy wywietrzały! Chodź, robaku — niech cię jeszcze raz uściskam.

Jakoż uścisnęli się raz wtóry—Czuryło rozczuło-

ny był, ale milczący. Jarmużka przyniósł gramatkę dla jegomości, a kawę dla Strukeczaszyca, wedle dyspozycji. Stary się z pomocą chłopca i przyjaciela podniósł z łóżka, wdział chałat ranny, zawiązał serwetę pod brodą i począł śniadać. Czuryło też kawę pił. Rozmowa jakoś nie szła, dopiero po śniadaniu, niedając odejść Strukeczaszycowi, znowu opowiadać począł o księcin Podkomorzy. Czuryło jednak ani dopytywał, ani się zdawał ciekaw i uparcie milczał. Niemal słowo w słowo rozmowę swą z ciotecznym powtórzył p. Podkomorzy, tak że i tego nawet nie pominął, co o losie swej córki jedyńaczki rozповідаł dygnitarz, iż trzeciego miała męża, a i z tym była nieszczęśliwą. Zdaje się, że musiały historye te już znudzić Czuryło, bo słysząc jak Podkomorzy się nad tuzem mężem rozszerzał — zżymnął się, wstał Strukeczaszyca — i zabrał do wyjścia.

Znowu jednak słowa nie rzekł. Spojrzał nań stary i uderzyło go to, że Czuryło czerwony był i jakby gniewny a wzruszony.

— Ty, kochanku — rzekł — chybaś się tą drogą zmęczył, coś bo mi jesteś nie swój. Al! no—to może idź spocząć—bo ja cię nudzę tym księciem.

— Pan Podkomorzy nigdy w świecie nudzić mnie nie może—odezwał się nareszcie Czuryło —ale —co mnie tam ten książę ma obchodzić! Wyszedł tedy rezydent, lecz ledwie się tu zbył opowiadania o księciu, schwyciła go po swojemu, toż samo mu opisyjąc pani Szczepanowa; przyłączył się z relacją pan Szczepan, a nawet panna Izabella. Strukeczaszyca w końcu tak to zmęczyło, że się do oficyny wyniósł prędko i niemal cały dzień z niej nie wychodził.

Po południu tego dnia przyjechał jeden z najmil-

szych Podkomorzemu sąsiadów, człek bardzo światły i światowy, poseł na kilku sejmach, człowiek wpływowy, słynący z potężnej głowy i znakomitej elokwencyi, niejaki pan Ruszko.

Rozrywano go sobie w sąsiedztwie, gdy na wieś do swoich Bałanciszek przybywał bo wiedział co się na całym świecie działo; humor miał przedni i serce złote. Podkomorzy kochał go jak syna, bo Ruszko był w wieku p. Szczepana, lub mało co od niego starszy. Prawdziwy to festyn był dla Podkomorzego, ugadać się z deputatem, który głęboko był w interessa Europy wtajemniczony, i wszystkie kombinacye polityczne znał, jak nie można lepiej. Przytem sejmowe plotki, przejścia, anegdoty sypał jak z rękawa. Każdy przyjazd pana deputata obfity na długo materyał zostawiał do gawędy.

Gdy Ruszko nadjechał i zasiadł u Podkomorzego, posłano po Strukezaszyca też dla kompanii. bo stary węgryzn występował, którego dużo nie mógł pić Podkomorzy, Szczepan też; a kogoś trzeba było co by mu placu dotrzymał.

Wzięła się tedy rozmowa wesoła, śmiechy, żarty, dykteryjki przedziwne—aż pan Kazimierz w tym ogniu odmłodził. Czuryło jednak, tyle tylko że dolewał. pił i do picia nękał, a sam dziwnie był milczący. Wśród tej gawędy o różnych rzeczach, zgadało się i o księciu. Ruszko i jego i rodzinę znał doskonale.

Pod wpływem małego kieliszeczka starego węgryzna, Podkomorzy się i z Włoszką wygadał, i z historią córki księcia—która była za trzecim mężem.

— Toć ja to — tę historię księżniczki. a dzisiejszej Wojewodzinej, doskonale znam—przerwał Ruszko — ba — i niewiem, ktoby lepiej mógł ją wie-

dzieć—na wiele rzeczy patrzałem. Ho! ho! byłoby o czem gadać.

— A, zmiłuj-że się! praw! ja jestem jak w rogu—toć przecie kolligacya, aż mi wstyd.

— Ba! podchwycił Ruszko—nie żałowałbym gęby, gdyby co dobrego było do mówienia.

— Mów co jest! myż tu między sobą — zawołał Podkomorzy, Czuryło przyjaciel i extra dyskretny — a ja, toć się ci nie wypapłę.

Ruszko lubił opowiadać—więc przysunawszy się, a lampkę ze sobą też ciągnąc — począł:

— 'To pewnie panu Podkomorzemu wiadomo, że książę, który podróżował wiele, zamłodu bardzo za granicą się z jakąś też księżniczką niemiecką, wysokiego bardzo rodu, ożenił.

— A no—tak—ale zabij mnie—nie powiem jak była z domu—rozśmiał się Podkomorzy — uigdyn jej nazwiska szwabskiego nie mógł porządnie wymówić, bo mnie dławilo. Pamiętam tylko, że na końcu było *hauzen* i *ingen*.

— Coś takiego, śmiejąc się też, ciągnął dalej Ruszko. Z tego tedy małżeństwa na świat przyszła księżniczka Izydora i dwóch synów, którzy małoletnimi pomarli. Cudo piękności była panna, i już sześć czy siedm latek mając, menueta tańczyła tak, że się zbiegano patrzeć jak na dziwo. Dwie Francuzki ją wychowywały, ale i cztery by jej utrzymać nie potrafiły. Matka, owa księżniczka Huzen-ingen, jak Podkomorzy mówisz, po wydaniu na świat drugiego syna, umarła. Francuzice więc jedynaczkę pod swą opiekę dostały. Jeszcze dzieckiem trzpiot była i szalone dziewczę, a śmiałe, na nic niezważające.

Często bywało tak, że się swym guwernantkom wykradała, niewiedzieć dokąd. Szukano jej jak szpilki w sianie, a dziewczę albo w stajni z masztalerzami, albo gdzieś w jakimś kącie na zabawie z chłopcami się znalazło. Nie sposób jej było ntrzymać. Ojciec był słaby dla niej, Francuzki nie śmiały hamować, słudzy psuli—robiła co chciała. Może to tam i bajki—ale słyszałem, że nie więcej mając jak lat piętnaście, głowę zawróciła jednemu z dworzan ojcowskich, chłopakowi młodemu, do tego stopnia, że, no—dosyć powiedzieć, iż ich rozdzielić nie było podobna. Albo mu kazała u siebie siedzieć, lub z nim bodaj po lasach sam na sam latała! Gdy już się to bardzo głośnem stało, doszło do ojca, chciał reflektować—gdzietam, o mało do awantury nie przyszło: do oczów mu skakała. Już jak się to skończyło, niewiem, a to pewna, że dworzanin za nią odpokutował, i ojciec, książę słysząc w pokoju córki znalazłszy go, dał mu w twarz—a ten potem do niego strzelił.

W tem miejscu opowiadania, zaszła przerwa. Czuryło, który słuchał z głową spuszczoną, wierząc się niespokojnie na sepecie, nagle lampką od wina wyciął w stół, porwał się i krzyknął na głos:

— Nieprawda! nie tak było!

Jakby piorun uderzył.—Wszyscy na niego oczy zwrócili. Podkomorzy słuchał, Ruszko usta i oczy otworzył szeroko. Strukeczaszye stał cały drżący, jakby w pasyą wpadł, lecz postrzegłszy jakie mowa jego uczyniła wrażenie, począł się mitygować, zsunął bezwładny niemal na sepet, ręką potarł po czoło i wpadł jakby w osłupienie.

— Co takiego?—zawołał Podkomorzy—Czuryło? co tobie? a ty to zkąd możesz wiedzieć?

Ruszek nie mógł przyjść do słowa, że mu tak gwałtownie zaprzeczono.

— Czuryło? czyś się upił? — powtórzył Podkomorzy.

Nieruchło Strukczaszy głowę podniósłszy. osowiało oczyma powlókł do koła; wargi mu się trzęsły.

— Hm—rzekł cicho —przepraszam, sam nie wiem, hę, to, wyrwało się—licho wie co?

— Przecie nie bez przyczyny, p. Strukczaszy, począł deputat—gruboś mi zaprzeczył!

— Bóg widzi—przepraszam — zawołał Czuryło. Pan deputat sam powiedziałeś, że dobrze nie wiesz.

— A pan zkąd masz lepiej wiedzieć? — zaczął Ruszek.

Czuryło potrzebował się namysleć. Zpokorniał, zbledniał nagle, zdawał się srodze żałować tego słówka, które mu się wyrwało ptaszkiem, a którego wołem napowrót wciągnąć nie było podobna.

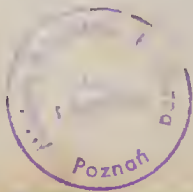
— Słyszałem—inaczej — rzekł jakby z największą trudnością wymawiając wyraz każdy, który mu w gardle zastrzęgał. Słyszałem od ludzi swojego czasu inaczej.

— No—może i znałem, tak—może i znałem tego dworzanina. Szlachciec był—a gdyby w ucho dostał, nie żyłby pewnie, książę.

Milczeli słuchający, Podkomorzy nie był kontent z Czuryły, a Ruszek pił, ale mu się czoło marszczyło.

— No—to kiedy inaczej wiesz—do krośset indyków — rzekł Podkomorzy— mów, jak to tam miało być.

Czuryło znowu z ciężkością przyszło zebrać się



na słowo. Ze zwieszoną siedział głową, ustami wydeptami cedził zwolna:

— Słyszałem — rzekł — że książę kazał na kobiercu dworzaninowi dać plagi. To — całe co innego. To nie hańbiło. Przecież nazajutrz, dworzanin — co prawda, strzelił do niego.

— No — odparł Ruzsko — widzisz mój Strukezaszycu, że znowu nie było czego w taki wpadać ferwor i mnie zaprzeczać, historia mało co różna.

— A — przepraszam — odezwał się Czuryło — gdyby policzek dostał dworzanin — musiałby go być zabić. — Musiałby zabić! — powtórzył — i gwałtownie lampką o stół uderzył, ale wnet miarkując się i jakby onieśmielony i zawstydzony, zniżywszy głos, dodał kłaniając się Ruszczce:

— Przepraszam pana deputata — ale, ale to był może znajomy mój — przyjaciel, niech się pan nie gniewa.

— Ja się wcale nie myślę gniewać! — zawołał Ruzsko swobodnie — tylko mnie to zdziwiło, że się asindziej tak porwał, bo nie było czego.

— Nie było czego! — potwierdził Podkomorzy.

Ciągle głowę trzymając spuszczoną, Czuryło dźwignął się z sepetu, potarł czoło, skłonił się pokornie Podkomorzemu i deputatowi, i chwiejącym jakimś krokiem, wśród milczenia, wyszedł za drzwi. Trwało to milczenie jeszcze kilka minut. Podkomorzy do siebie nie mógł przyjść z podziwienia nad osobliwszym, niezwykłym postępkim pana Czuryły.

— Chyba mu — rzekł wzdychając — ta para kieliszków głowę oszołomiła. — Uważałem to od roku już, że tak jak dawniej wina nie znosi. To człowiek zazwyczaj extra spokojny — i *decens*. Lat wiele

jest u mnie, nigdy mu się jeszcze nie podobnego nie wyrwało. Biedaczysko — żal mi go, bo się będzie gryźć, a no, może jak się wyszumni lub prześpi—to ta aprehensya mu przejdzie. Mów-że mój dobrodzieju dalej—bo to extra-ciekawa historia heroiny, jakich nam nie daj Boże!

— Słowem — ciągnął dalej Ruszko — słowem, że po tej owej głośnej awanturze z dworzaninem, i po owym strzale—bo i Czuryło słyszał, że był strzał pannę porwawszy ojciec znać było—*periculum in mora*, do Warszawy ją zawiózł i niewiem jak zmusił wyjść za.... księżęcia też, który już poprzednio dwie żony miał, lat przeszło czterdzieści i niegodziwą reputacyę. A no—szło o to, aby pannę oczepić. a w intercyzie zawczasu stypulowano co na przypadek rozwodu otrzymać miała. W pół roku już się rozchodzili — patrzeć na siebie nie mogąc. Książę sam o młodziuchnej żonie opowiadał monstrualne historye.

Tandem takie było małżeństwo pierwsze. Na wielkim świecie stołecznym, księżna wszystkim głowy swoją śmiałością, pięknością i dowcipem ostrym pozawracała. Kilka miesięcy szalał król.... z kolei kochał się kto żył. Piękna pani się śmiała, jeździła konno, powoziła się sama karyklem szaleniemi końmi, dawała wieczory lukullusowskie. Zakochał się naostatku drugi książę młody, charakteru zupełnie podobnego do niej i, zdaje się że ona też musiała go sobie podobać. Matka młodzienszka za nic w świecie nie chciała na to małżeństwo pozwolić—zakłęła się że od ołtarza syna odprowadzi, że zrobi awanturę.

Zdaje się, że pięknej pani Izydorze, właśnie może ta niechęć matki podbiła bębenka: wykradła męża,

zamówiła sobie ślub i razem z nowym małżonkiem wyruszyła za granicę.

Jak w wodę wpadli, ani słyszeć o nich nie było. Wzięli z sobą od Teppera i Blanka weksłów na różne miasta, na piętnaście tysięcy czerwonych złotych.

Wojewodzina matka w rozpacz, poleciała z generałem K., którego nazywano jej adjutantem, gościć syna za granicę, i nie było jej rok. Mówiono że sekretny ślub sama wzięła z towarzyszem podróży, a o synu wieści ni słychu—nie znalazła.

— Historye! jak mi Bóg miły!—wykrzyknął Podkomorzy. No, cóż dalej!

— W pół roku po powrocie księżnej matki, zjawilo się młode małżeństwo—ale—nie razem.

Naprzód przybył małżonek, bez grosza przy duszy, o pożyczonych w Wiedniu u księcia Czartoryskiego pieniądzech, i przypadłszy do matki, oświadczył jej, że żony znać nie chce, a rozwieść się z nią jest jego najwyższem pragnieniem. Co się stało między niemi, nie mówił.

Sama pani wróciła dopiero w kilka miesięcy później, w towarzystwie markiza jakiegoś, który grał rolę marszałka dworu. Jakby nigdy nie, otworzyła dom, i poczęła przyjmować i bawić się—o mężu nie wspominając. Szli tedy do rozwodu, ale rozwód się ciągnął długo bardzo, intercyzy nie było, sama jejmość twarde stawiała warunki. Koniec końcem, z pomocą ks. Młodziejowskiego, jedynego w podobnych sprawach, stanął rozwód, i oboje zostali wolnymi.

Ojcu ex-księżnej Izydory szło snadź o to wielce, aby po tych wszystkich przejściach, wydać za mąż córkę tak, aby raz spokojnie siedzieć mogła i w mał-

żeństwie wytrwać. Pracował, słyszę, nad tem mocno: najprzód, aby zbadać, czego by sobie życzyła, potem by znaleźć odpowiedniego kandydata!

— Historye! — znowu zawołał Podkomorzy — ale ją w klasztorze trzeba było zamknąć, na penitencyą.

— Gdzie zaś — najświetniejszy dom prowadziła wówczas; synowiec królewski, książęta de Ligne, co było cudzoziemców dystygowanych w Warszawie, wszystko się cisnęło do pięknej rozwódki. Prawda, że milszej kobiety wyobrazić sobie trudno. Mogła oczarować kogo chciała, bo ją nie kosztowało wcale taką być jak się jej podobało. Mieniła się rozmaicie, grała jak na teatrum taką rolę, jaka jej przypadała i sama siebie potem wyśmiewała, lub tych, co jej zawierzyli. W końcu ojciec admirując ją, przyklaskiwał z innemi i nie mówił nic. Stateczny wielce człek, lat już średnich, albo i więcej rozumny, statysta, bogacz wielki, zaczął bywać u niej na wieczorach, a właśnie owdowiał od niedawna. Podobał się jej. Zaczęła go tedy knsić, ojciec pomagał. Wzięli tak we dwa ognie pana Wojewodę, że ten, po długiem wahaniu, gdyż synowie dorośli stali na przeszkodzie i oponowali, naostatek się ożenił. Jest to tedy ten trzeci mąż, o którym książę powiada, że z nim jest nieszczęśliwą. W istocie, wziął ją krótko i surowo, a cóż to dopiero takiemu rumakowi wędzidło, co do niego nie był nawykły! Wojna nieustająca. Z jednej strony, z pozwoleniem szalona baba.

— No — i dobrze mówisz! — potwierdził Podkomorzy.

— Z drugiej, człek z takim temperamentem, że się nie gniewa nigdy, nie go do niecierpliwości nie

przyprowadzi: chłodny, mało mówny. zimny jak kamień i nieugięty jak żelazo.

— To dopiero! to dopiero!—mruzczał stary i żyją z sobą?

— A żyją—Wojewodzina, że się zrujnowała wraz z ojcem, jest nieważ na łasce męża, mąż zaś—bo to dodać trzeba, że szalenie w niej zakochały, trzyma krótko i ugły nie popuszcza. Całuje po rączkach, ale swawolić nie daje. — Chce jejmość za granicę—opuszcza on Radę Nieustającą i rusza z nią razem. Powraca ona—on krok w krok. Mówią tedy, że aż z gniewu płacze.

— A już też i zestarzeć musiała. do kaduka i nareszcie się usatkwować—dodał Podkomorzy.

— Wcale nie zestarzała — odparł Ruszko, pięknosc to taka, że jej czas nie może nadwęgężyć. Świeża, rumiana, talia śliczna, oczy jak gwiazdy.

— Widziałeś ją, deputacie?—spytał stary.

— Nie wiem ile razy. Boginią ją w Warszawie nazywają — mówił Ruszko. Nie może się na to skarżyć, żeby jej u męża na czem zbywało, opływa jak pączek w maśle, a no — dozór ścisły, i zakochany mąż jak cień za nią chodzi.

— Przyszła kręska na Matyska — odezwał się stary.

— Jeszcze niewiadomo jak się to skończy—ciągnął deputat. Są ludzie, co się chcą zakładać, że ona staremu pryśnie, ani się opatrzy i proces o rozwód wytoczy.

— Nie suponuję tego—rzekł p. Kazimierz—kiedyś przecie statek musi przyjść, mąż godny człek, a umie sobie postępować, toć się ta kozacza natura zwyciężyć musi.

— Książę mi tylko ogólnemi słowy mówił o niej—

piąte przez dziesiąte—dodał Podkomorzy, nie śmiałem go dopytywać, bardzo panu deputatowi wdzięcznym za historią, choć jej tu w domu nikomu nie powtórzę, bo kobiety o takich rzeczach nawet słyszeć nie powinny.

Na tem się skończyła rozmowa z deputatem, który na wieczerzy jeszcze pozostawszy. odjechał potem do domu. Czuryło tego dnia, choć go do stołu proszono, przyjść nie chciał. Nazajutrz rano też o zwykłej godzinie do Podkomorzego się nie zjawił, aż ten po niego Jarmużkę posłał, dowiadując się czy nie chory.

Nadszedł tedy Strukczaszy, w istocie błądy, zmęczony, nie swój, i tłómaczył się a przeproszał, że mu ten wczorajszy węgryz mocny ból głowy zrobił, i że się jeszcze po nim nie swój czuje.

— A to już rzeczywiście musiało coś być wasze-ci, mój Strukczaszy—odezwał się stary, bom cię jeszcze, jakom żyw takim jak wczoraj nie widział. Chryste Panie! Myślałem, że z deputatem przyjdzie do awantury, a nie było o co, dalipan. Szczęście żeś się asindziej zmitygował w porę.

— Najmocniej przeproszam, kochanego mojego dobrodzieja—począł Czuryło boleśnie.

— Ale—cóż tam? przeproszać niema za co—przy kieliszku—chodzi to po ludziach, tylko mi was było żal, bo impetu po winie zawsze się należy strzedz: jak nie apopleksya utnie.

— W temby znowu nic złego nie było, westchnął Strukczaszy — skończyłyby się na raz wszystkie mizerye żywota.

— Dajno pokój! asindziej-że wiesz, iż ludziom jesteś miły i potrzebny.—Żyj zdrów.

To mówiąc uściskał go Podkomorzy.

— A wczoraj, gdyś wyszedł—dokończył, nasłuchałem się dopiero z ust wiarogodnych, o tej szalenicy. Istny szatan baba, na skaranie plemienia ludzkiego chyba zesłana na ziemię. Gdym słuchał włosy mi na głowie wstawały. *Horrendum et stupendum!* Gdybym nie znał deputata jako człowieka statecznego, który nigdy nie kłamie, myślałbym, że lada plotki powtarza i swoje dodaje.

Na to wszystko i dłuższą daleko gawędę Podkomorzego, który potrzebował się wygadać, Czuryło prawie już słowa mu nie odpowiedział—siadł i jak zamurowany, słuchał. Zdawał się wstydzić za swą dawniejszą porywczosć. Następných dni wszystko znowu przyszło do dawnego porządku.

Strukezaszyca postępowanie, obyczaj, życie skromne, po upływie tylu lat mniej już obudzało ciekawości i nastroczało domysłów, nawet tajemnicze wycieczki nie zwracały uwagi

Nie pytano się go kędy bywał, co robił i po co wyjeżdżał. Przychodził, gdy w domu był, do Podkomorzego, siadał na sepecie, jak zazwyczaj, mówiono o pogodzie, donosił co się w polu działo. Podkomorzy opowiadał po raz setny te same anegdotki stare; Czuryło powtarzał nad nimi uwagi nieraz już uczynione i nagawędziwszy rozstawali się.

Szczególniej potrzebnym był ten rezydent Podkomorzemu, dla donoszenia mu o gospodarstwie, bo, choć one szło dobrze, staruszek zawsze miał to podejrzenie, że za jego czasów lepiej było i energiczniej prowadzone.—Czuryło cokolwiek mu powiedział, zawsze wniosek z tego wyciągał, że—*oni* się opuszczają. Niekiedy z krzesła swojego próbował nawet wysyłać ekonomowi dyspozycje; a gdy się dowiedział, że je wykonano, cieszył się tem i chwalił.

Bywał też Czuryło dogodnym pośrednikiem między dziećmi a ojcem, między starym a synem. W biurku Podkomorzego zawsze było trochę grosza, a w domu na nim czasem chwilowo zbywało. Czuryło się niby przypadkiem o tem dowiedziawszy, nieznacznie przebaknął coś staremu, a tak, zamiast coby go prosić uiano, Podkomorzy sam się z pomocą nastęczał.

Ponieważ panna Izabella dorastała już, a matka, wcale niepotrzebnie, troszczyła się o wydanie jej za mąż. w Kurzeliszkach tedy zaczynało się zjawiać gości coraz więcej. W sąsiedztwie mówiono o ślicznej pannie na wydaniu, której kilkakroć sto tysięcy prorokowano. Za owych czasów dwakroć posagu były już znaczną rzeczą. Więc kto przybył w okolicę z młodych ludzi, co to za panuami po świecie jeżdża, — nastęczano mu pannę Izabellę, i sąsiad zaraz z nim do Podkomorstwa ciągnął.

Pani Szczepanowa, dobra i troskliwa matka, jak z jednej strony pragnęła co najrychlej wydać córkę, tak, gdy się już coś podobnego zawiązywało, niesłychanie się stawiała podejrzliwą i trudną. Powstawały w umyśle jej nieskończone wątpliwości, trwogi, posądzania. Wywiadywaniu się o każdego kawalera nie było końca. Zwykle i do inkwizycyi w tym przedmiocie, Czuryło poufnie był używanym, a spełniał polecenia tak bacznie, troskliwie i zręcznie, że mu się Podkomorzyna nie mogła nadziękować.

Jednego razu deputat Ruszko, niespodzianie przybył w towarzystwie młodego jegomości, którego przedstawił jako swojego siostrzeńca z Rusi, był to niejaki pan Piotr Zubko. Spojrzawszy na tego towarzysza, odrazu było można poznać, że nie

bez myśli tn przyjechał. Nigdy o nim w okolicy ani słyszano, ani go widziano, mieszkał bowiem kiedyś daleko na Wołyniu czy Podolu, był śliczny i zanadto może tylko na mężczyznę, dbał o tę piękność swoją, lecz, miło nań było popatrzeć. I nie papinkowata to była piękność miękka, biała; ale delikatna, krew z mlekiem, słońcem dobrze opalona, tak że czoło, które osłonięte bywało, samo pierwszą swą białość zachowało—wąsik czarny, oko ciemne, postawa gładka a silna, szykowne ruchy. Przysięgam też staranny dodawał mu wdzięku. Nie nosił się po cudzoziemsku, a mimo to był elegantem.

Na czole mu starodawna wesoła myśl i pogoda jaśniały, śmiały się usta, umiał się bez zbytniej nuiżoności podobać każdemu. Z twarzy zaraz polubiła go pani Szczepanowa i ojciec; pańska Izabella nie śmiało nań okiem rzuciwszy, siedziała wylękła i zmięszana.

W chwili gdy deputat wszedł do salonu z siostrzeńcem, siedział właśnie w nim Czuryło z Podkomorzyną. W czasie powitania, rzuciwszy okiem na młodego Zubkę, wymknął się bocznemi drzwiami—i zniknął jak kamfora.

Z początku nie uważano na to, ale że dla zabawy gości Czuryło bywał potrzebny, posyłano po niego raz i drugi. Podkomorzy chciał go mieć koniecznie. W oficynie nie znaleziono; gdzieś się zapodział.

Mając na pamięci ostatnie zajście z deputatem Podkomorzy do zniknięcia przypisywał chęci unikania p. Ruszki, i miał to za złe Czuryłu. Obaj panowie pod wieczór znajdowali się u Podkomorzego, zabawiając go, a młody Zubko, gadatywus, opowiadał rzeczy zabawne.

Jednym razem deputat się odezwał:

— Cóż to się stało ze Strukeczaszcym, że go tu nie widzę?

— Bóg go wie—posyłałem po niego dwa razy, odezwał się Podkomorzy — suponuję, że unika spotkania z deputatem, z powodu, żeście się ostatnią razą popstrykali.

— Ależ to rzecz załatwiona, skończona i zapomniana! — zawołał deputat. Gdyśmy przyjechali był n Podkomorzyny, widziałem go, a potem zniknął.

— Wuj mówi o tym panu, któregośmy przyjechawszy znaleźli w sali?—wtrącił Zubko.

— A tak—obserwowałeś go?—spytał Ruszko.

— Wpadł mi w oko—odezwał się siostrzeniec—bo—słowo daję żem go gdzieś już spotkał i widział i zdaje mi się, że go znam.

— Ale—gdzie zaś! przerwał Podkomorzy, asindziej w naszych stronach nie bywałeś, a on tu lat, bodaj już dwadzieścia, mieszka, i nigdzie się tak daleko nie ruszał!

— Jednakże, powiadam p. Podkomorzemu—dodał Zubko—pamięć mam doskonałą, mylić się nie mogę, gdzieś go widywałem.

— Może kogoś podobnego!—wtrącił Ruszko.

Siostrzeniec głową pokręcił i zamyślił się mocno.

— Nie mogę sobie uarazie uazwiska przypomnieć—rzekł —ale..., Jakże się on nazywa?

— Sebastian Czuryło — szybko poddał Podkomorzy.

— No, i gdzież ci się zdaje, że go widzieć mogłeś, bo to jednak ciekawa rzecz —pytał Ruszko.

— Gdzie? albo w Kamieńcu Podolskim lub w Żytomierzu, tak mi się zdaje, albo w Łucku na sejmi-ku, lub....

I począł powtarzać:—Czuryło! Czuryło!—nazwisko mi też nie obce, ale Czuryłowcie u nas, jacy są, do rodowego tego starego imienia poprzybierali różne od majętności, i niewiadać prawie Czuryłów za... nazwiskami od wsi i miastek, które mieli w posiadaniu.

Wszyscy słuchali z uwagą, a pan Zubko, któremu znać szło o to, aby pamięci dobrej dał dowód, wciąż się w czoło stukał, jakby z niego chciał coś zapomnianego wywołać.

Wuj się śmiał, a Podkomorzy obserwował ciekawie.

— Gdyby nie to nazwisko—rzekł po chwili wstając nagle z krzesła młody kawaler—to—już wiem! wiem! Przysięgłbym, że to ten sławny Piatnicki, którego mi w Kamieńcu pokazywano, — i historię opowiadano.

— Ale—gdzież Piatnicki?—przerwał stary Podkomorzy—ja u niego widziałem genealogią Czuryłów, prawy Czuryło.

— No — to się może mylę, mówił Zubko — ale z twarzy jak dwie krople wody.

— A cóż to za historia tego Piatnickiego? czy jak tam on się zowie, począł pytać stary, który był niezmiernie zawsze rad zbogacić obfity swój repertuar szlacheckich dziejów familijnych.

Zubko się trochę zawahał.

— Jakiś to dziwak ma być osobliwszego kroju — począł po namyśle, a i cała rodzina nic lepszego od niego. O ile sobie mogę przypomnieć: ojciec dwóch ich, bo są dwaj bracia — miał być okrutny człek, i, mimo ogromnych posiadłości nad Bohem, chłopcom nic nie dawał, dziko im rosnać pozwolił, a potem z domu niemal powypędzał, aby po dworach służyć

sami się chleba dorabiali. Stary ten Piatnicki, o którym teraz jeszcze opowiadają, choć pan wielkich włości,—mieszkał w kurnej chacie, latem i zimą chodził w kożuchu brudnym, i diegiem, jak czumacy, zaprawnej koszuli. Żył zapanbrat ze swoją dwornią, a pieniądze zbierał ogromne. Ożenił się był z prostą dziewczką, która mu rychło zmarła. Synowie pono, gdyby nie litościwy ksiądz, co ich trochę okrzesał, na dzikichby porośli.

„Jeden z Piatnickich, pono właśnie ten, którego mi pokazywano, a który mi się wydał tak podobnym do Czuryły—uciekł z domu w świat i niewiadomo gdzie się podział. Jedni mówili, że gdzieś zginął, drudzy że na dworze jakiegoś magnata przyjął służbę. Drugi syn wałęsał się po okolicy, przesiadywał u jakichś krewnych ojca i babki swej, i tak się doczekał, że stary, który dużo gorzałki pił, wkońcu od niej pono zgorzał. Zaraz po jego śmierci syn nadbiegł i owe skarby i majątki zagarnął sobie. Ponieważ o starszym bracie słychu nie było, miano go za umarłego, gdy, już w rok po śmierci ojca, czy więcej, nagle się zjawił. Brat, czy że go istotnie nie poznał, czy-że mu się dobrami i pieniędzmi dzielić nie chciało, a był człek dziki jak ojciec i gwałtowny—nie przyznał się do brata, uczynił go samozwańcem i pogroził mu wieżą i kryminałem. Mówią, że tamten nie mając po sobie, bo papierów brakło, a ludzie, co mogli świadczyć, powymierali, musiał uciekać i kryć się, aby głową nie przypłacić. Brat w pieniądze ufając, kłął się, że go jako uzurpatora szlacheckiego imienia, prosekrować będzie.

Wszyscy naówczas niezmiernie się zajęli tą sprawą. Piatnickiego nie lubiono, radziby byli bratu

temn dopomódz, ale sposobu nie było. Pokazywał się on to tu, to tam, ukradkiem, szukając pomocy i nigdzie jej znaleźć nie mogąc

Młodszy, w pieniądze ufny, dobrał sobie cygańskich świadków, i niewiem jakie dowody, że ów brat, za którego się ten podawał, dawno zmarł gdzieś, włóczęąc się po świecie. Głośna to była sprawa, choć do sądów nie przyszła. Mówiono, że dwornię swą zuchwałą, pan brat w tropy wyprawił, przykazawszy badać ubić samozwańca.

Tamten więc ledwie się gdzie śmiał okazać, — niewiem ile to lat tak trwało, gdy ów już ubezpieczony na całym majątku się rozsiadł i panował, a życie prowadził mało nie takie jak ojciec, albo w stepie z chartami, albo za stołem przy wódce. Zuchwały strasznie, zwłaszcza gdy się napił, raz pono, starego kozaka, co u ojca jeszcze służył, za małe przewinienie straszliwie osiec kazał. Nazajutrz ów skrzywdzony ze dworu znikł, myślano, że się poszedł utopić z rozpaczcy i wstydu, i, choć go żałowano, zapomniano o nim prędko.

Stało się jednak co innego; mściwy starzec, poszedł w świat szukać owego starszego brata, którego też, po długich śledzeniach i wędrówkach wyszukał. — Z nim rozmówiwszy się i nabrawszy przekonania, iż prawdziwym Piatnickim był, ofiarował się w sądzie to zeznać pod przysięgą, i innych jeszcze szukać świadków. Żył zgrzybiała piastunka panicza.

Nim się młodszy brat czas miał obwarować i zapobiedz, w sądzie już leżały wiarogodne zeznania. Jak piorną padły pozwy... i dowody niezbite. Iż przywłaszczycielem nie był ten, którego samozwańcem niesłusznie nazwano. Stał on przed sądem

wyjaśniły się rzeczy; — skazano na podział majątności i wynagrodzenie za poniesione szkody.

Nie było już środka; musiał upokorzony brat prosić o układy, i zgodzili się, na jakich warunkach — niewiadomo. To pewna, że Piatnicki starszy młodszemu oddawszy zarząd dóbr, rzadko się kiedy pokazuje nawet — i gdzieś podobno w stolicy przebywa. Pomogła, słyszę, nauka młodszemu, który się ożenił, ustatkował, i choć zawsze z chartami jeździ, a od kieliszka nie stroni, przynajmniej do szlachcica się stał podobniejszym.

— Więc widzisz, asindziej — odezwał się Podkomorzy, który z wielką słuchał atencją opowiadania, że to wcale do Czuryły naszego nie pasuje. Tamten wasz Piatnicki po zgodzie z bratem, przecię od niego coś pobierać musi, bo się w prawach swych ubezpieczył, i na łaskę takiego łotra zdać nie mógł. a nasz, poczciwy Czuryło, goły jest jak święty turceki. Może tam gdzie jaki grosz ma, a no chyba niewielki.

Ale to rodzina jakaś — żał się Boże imienia szlacheckiego — dokończył stary.

— Mój mości dobrodzieju — odezwał się Ruszko — nie jest u nas rzadkością widzieć ludzi których, bujna fantazya, gdy jej na dobre zużytkować nie mogli, poprowadziła w wertepy. Małożeśmy ich to podobnych za naszych czasów mieli? Z rycerskich czasów pozostała owa świerzbiączka do roboty, a gdy wojen, siekaniny i w polu wichrzenia nie stało, wicherzyło się doma, bo to we krwi i naturze siedziało.

— I to prawda — rzekł Podkomorzy — spadkiem szły szable, trudno im było dać w pochwach spoczywać. Własneśmy sobie łby niemi kiereszować

musieli. Spadkiem ludzie krew biorą i krewkość; nierychło pradziadowski ogień wystyga — a gdy zgaśnie, najczęściej i ród z nim.

Westchnęli wszyscy, p. Zubko inną jakąś historijkę na poparcie tych twierdzeń przytoczył; nareszcie submitując się, Ruszko siostrzeńca swego łasce i protekcyi państwa Podkomorstwa poleciwszy, odjechał.

Na wieczerzę zostać czy nie mogli czy nie chcieli, bo zwykle pierwsze odwiedziny bywały ceremonialne.

Zaledwie odjechali, przybiegła pani Szczepanowa do starego, przyszedł syn, o niczem nie mówiąc tylko o Zubce. Podobał się wszystkim, ale matka wzdychała—już ją niepokój ogarniał.

— Izabelce się gotów podobać, chłopak ładny, głowa otwarta, do rzeczy, niema co mówić, a no, choć to siostrzan deputata, toż jeszcze na tem nie dość. Ruszko. go może swata, aby posag dla niego zyskać, a co tam za familia, czy mają co, może ich dużo, a jaki ojciec, a matka—kto to może wiedzieć, z tak daleka.

— Gdyby to była dobra partya, to czyby się on w bliskości gdzie u siebie tam nie mógł ożenić; a to jedzie aż tu za żoną

— Jest racya!—rzekł Podkomorzy—jest racya—z tem wszystkiem, zważaj i to asindzka, że on wuj przyjechał poznać; niekoniecznie w widokach matrymonialnych przybył, a Ruszko sam mu chce nastreścić sposobność dobrego ożenienia. I to być może.

— No—a ja Ruszkę bardzo szacuję, ale—to przebiegła sztuka!—odezwiała się uśmiechając p. Szczepanowa.—Ho! ho!

—Tak, ale człek zaczął —dodał stary Podkomorzy.—Przytem, wiadomo to, szydło się w worku nie utai; wydałoby się, gdyby tam co było. W rozmowie zaś wyraźnie słyszałem do tego alluzję, że ojciec mu wioskę puścił.

Wioska ta zamknęła usta p. Szczepanowej — jednak ostrożną być chciała.

— Jeżeli drugi raz przyjadą — dodał pan Szczepan—zobaczemy. Juści, nimby się starać począł, musi wprzód rodziców o konsens prosić.

— A dziś, bez konsensu, z Izabelki oka nie spuszczał—szepnęła pani Szczepanowa. — Biedne dziecko, nieśmiała oczów swych podnieść i ciągle raki piekła.

— Trudno-bo zabronić na gładkie liczko patrzeć—oczy ciągnie!—rozśmiał się stary.

W tem wszedł, zgarbiony czegoś i jakby skonfundowany Czuryło.

— O! o! a gdzieżeś to asindziej bywał? zahalał Podkomorzy, szukają, latają, hukają—asindziej nigdzie nie znaleźć?

Strukczaszyć znać był przygotowany na tłumaczenie.

— Dali mi znać, że się wilk pokazał, około owiec: wziąłem strzelbę i pobiegłem.

— Co? wilk? kiwając głową odparł stary—to coś osobliwego.—Widzieliście go.

— Nie, chodziłem aż w zarośla.

Dziwnie się ten wilk wydał podejrzanym staremu, lecz zmilczał, głową potrząsając.

Pani Szczepanowa wnet przystąpiła doń, mając zaufanie, i poczęła o kawalerze i o córce.

Widać, że to za serce ujęło Czuryłę, bo się jakoś zapomniał, i, z wielkiej usłużności, nieopatrzenie,

gdy o Zubce mówić poczęła, że radaby o rodzinie i sytuacji coś wiedzieć—wyrwało mu się:

— Ja tych Zubków wiem!

Spojrzeli nań wszyscy, mocno zdumieni, bo z kądkę człek od tylu lat przesiadujący w Kurzeliszkach, mógł znać tych Zubków, gdzieś za krajem świata osiadłych.

— A asindziej ich z kądkę znasz? podchwycił stary.

Nastąpiło milczenie, Czuryło się skonfundował, w głowę poskrobał.

— Co ja plotę?—poprawił się—jako żywo, z kądkę bym ich miał znać? To się rzekło z prędkości; chciałem powiedzieć, że się jużci o nich dopytać czegoś będzie można.

— A to chyba—potwierdził stary, bo gdzie, z kądkę, jakby asindziejowi znajomość ich przyszła?

Pani Szczepanowa, która bliżej stała, i, jako kobieta, bystrzejsze miała i przenikliwsze wejrzenie, dostrzegła takiego coś dziwnego w twarzy Czuryły, — iż się mocno zdumiała. Nienaturalna konfuzya, zacięcie ust, jakby się chciał za język ukąsić, mina którą zrobił mimowolnie, pochwycony za słowo niebacznie wymówione — utwierdziły ją w przekonaniu, że Czuryło coś wiedział o tych Zubkach, tylko się na razie przyznać nie chciał.

To też gdy później z mężem poszli do swojego pokoju, Czuryłę zostawiwszy na sepecie, p. Podkomorzyna zwróciła się do męża i szepnęła mu:

-- Wiesz--wiesz, z tym Czuryłą coś się dzieje niezrozumiałego! My go tyle lat widzujemy codzień, kochamy go, szanujemy, a doprawdy nie znamy. Ten człowiek ma jakieś sekreta w życiu.

— Proszę cię, uważałeś jak mu się o Zubkach wypsnęło?

— Uważałem—rzekł p. Szczepan, ale to—z przedkości.

— Ba! ba! patrzałem ja mu w oczy—dodała pani Szczepanowa, żebyś wiedział jak się zmieszał.

Pan Szczepan był człowiek prostoduszny w obejściu z ludźmi, nie umiał i nie chciał posądzać nikogo, rozśmiał się, żonę pocałował, i, choć ona ze swego nie ustępowała — do jej postrzeżenia żadnej nie przywiązywał wagi.

W kilka dni Zubko z deputatem przybyli znowu. To już miało swe znaczenie, na którym omylić się nie było podobna. Matce serce uderzyło mocno; i najprzód się pobiegła pomodlić przed obrazkiem, którego opieka dla domu była wypróbowaną i skuteczną, potem poszła do córki, niewiedząc, czy ją wyprowadzić i jak ubrać. Czuryło, gdy goście nadjeżdżali, był na podwórzu, zobaczywszy ich natychmiast dał nurka i zniknął. Znowu tedy Jarmużkę posłano do oficyny—drzwi zamknięte.—Gdzie p. Czuryło? nikt go nie widział.

Jarmużka, który rad był przy zdarzonej okoliczności, parę ogórków ukraść, popędził niby go szukając — do ogrodu. Tu — nigdzie niewidziano Strukczaszyca. Pobiegł do stajni—niema, do psiarni—ani słychu. Wszyscy mówili, że tyłkoco gdzieś był—a no — przepadł jak w wodę

Podkomorzy, któremu zdyszany chłopak przyszedł o tem oznajmić, wpadł nań, z wielkim hałasem, nazwał go osłem — i zarzucił mu że szukać nie umiał. Co już było robić? Jarmużka w przedpokoju siadł z rezygnacją i z ogórkami, i pocieszał się czystem sumieniem.

A Czuryły jak nie było tak nie było. Deputat zostawiwszy młodzieńca z paniami i gospodarzem,

• sam poszedł do starego, delikatnie go chcąc wyrozumieć, czyby konkury siostrzeńca dobrze były przyjęte.

Człek był nadto wytrawny, aby prosto z mostu rzecz powiedział; zajeżdżał zdaleka, kołował, zawsze rozrachowując się tak, ażeby w przypadku czego złego, nawrócić było można.

Podkomorzy też w takich razach, miał takt wielki, gdy trzeba było czego się nie domyslać,—mógł dwa dni wodzić najwprawniejszego nawet jurystę, i drogę mu na przekór zagradzać. Dobrą godzinę chodzili tak jak zając z chartami, gdy i kot szczwany i sobaki nie w pierwszym polu. Co zajędzie deputat z której strony, to mu się Podkomorzy jakąś dziurą wyśliźnie. Probuje z drugiej, niemożna. Obu pot kroplisty wystąpił na czoło, aż zmęczony deputat odezwał się:

— Panie Podkomorzy dobrodzieju.... ja w łaski pańskie dla mnie i rodziny mej zaufany, z prośbą do niego. Pan masz wnuczkę jak różyczkę, ja mam chłopca jak dąbczak urodliwego — hę? a nie popróbowaliśmy czy się to nie da poswatać...

Dopieroż *ex abrupto* schwycony stary, gdy się z pierwszych obrotów tak rychłego wystrzału nie spodziewał, na chwilę onieміał. Nie było sposobu tylko neutralną rolę grając—*practer propter* w żart to obrócić.

— Otoś strzelił kulą w płot, mój kochany deputacie—począł niby się śmiejąc, albo to do mnie należy? Jest ojciec i matka. Ja stary, niedołęga, tylko, gdy trzeba będzie błogosławić—pobenedykuję, a dawno tu już nie mam głosu. Po chwilce zaś dodał poufnie:

— Z jejmością mówcie. Jabym rad. Czemu nie? Chłopiec śliczny i rezolutny.

Chcąc się wywdzięczyć i deputatowi za takie przyparcie do ściany, już miał nawzajem pytanie na ustach Podkomorzy o rodzeństwo, sytuację i ową wieś puszczoną—gdy wszedł—wilk o którym była mowa, i rewanż staremu odjął. Zamilkli tedy.

Wciągu całej tej bytności. Czuryły nikt nie widział. Podkomorzy był na niego zły, boć przytomnością swą byłby go nieraz salwował.

Deputat, zręczny człek, dotarł do matki i pozwolenie bywania otrzymał. Wieczorem odjechali sąsiedzi, a staruszek niemogąc wytrzymać już z niecierpliwości, kazał kredensowemu chłopcu strząść cały dwór, a znaleźć Czuryłę.

Późno już bardzo, ujrzano Strukeczaszyca, idącego wolnym krokiem z plebanii. Nie dano mu tchnąć, aby zaraz do Podkomorzego śpieszył; poznawszy go po chodzie, pan Kazimierz, nim się zjawił w progu, już począł:

— Ale to, jak mi Bóg miły — niesłychana rzecz! Co się z asindziejem dzieje! Zawsze gdy goście, gdy mi możesz być najpotrzebniejszym, giniesz. Cóż to było?—mów.

— A no—nie, p. Podkomorzy, poszedłem na plebanie, bo miałem interes do ks. Woroszyły, i zagadaliśmy się.

— Do tej pory!—zawołał stary.

Strukeczaszyca przyszedł go w ramię pocałować.

— Panie Podkomorzy dobrodzieju—rzekł—niech mnie pan posłucha—a nie obraża się.

Stary oczy podniósł zdziwiony.

— Służę państwu, jak mogę, z duszy serca—ciągnął dalej Czuryło — Bóg widzi zdrowia i siłbym

nie poskapił—ale są kazusy—że mnie proszę uwolnić.—Ja nowych ludzi syt jestem. Powiem szczerze, uciekam od nich. — Ja —do gości — służyć nie mogę.

Było coś tak nadzwyczajnego w tem oświadczeniu Czuryły, wypowiedzianem niemal błagającym głosem, iż Podkomorzy zmięszał się nagle.

— A któż cię zmusza! — rzekł żywo — zlituj się. Tak się mówi! a no, przecie niewolnikiem nie jesteś, ani ja pretensyj nie roszczę żadnych. Tak się mówiło. Nie bierz mi za złe.

— Panie Podkomorzy!—zawołał gorąco Strukczaszyc. I nie gniewaj się, i serca nie trać do mnie. Nikt państwa tak jak ja nie kocha. Śmiało to powiedzieć mogę—nikt! A nom ja stary dziwak. Sami wiecie, chandry napadają czasem. Bierzcie mnie takim, jakim Bóg stworzył, a życie dorobiło.

Łzy miał na oczach mówiąc, popłakali się obaj zaczęli się ścisnąć, Podkomorzy przeprosił — i Czuryło usiadł na sepecie.

Musiał mu stary natychmiast opowiedzieć wszystko, jak, co, mówili i na czem się skończyło. Wśród rozmowy tej wspomniął i o Piatnickich. Imie to posłyszawszy Czuryło, z sepeta się zerwał jakby go sprężyna ruszyła, ale siadł natychmiast i słuchał spokojnie. Twarzy jego nie widział Podkomorzy. Zapewne skutkiem poprzedzającej rozmowy smutna ona była i zmieniona. Niewiele się nawet odzywał, co dało staremu sposobność obszernego wyłuszczenia wszystkich konsyderacyj, dotyczących się Ruszków, Zubków, kolligacyi, sytuacji i t. p.

Dopiero podana wieczerza i dymiące zrazy, na które zaproszono go, wyrwały Czuryłę z pokoju jęgomości. W jadalni wzięła go na stronę p. Szcze-

panowa i odkryła mu, z przerażeniem i trwogą, że Zubce bywać dozwolono.

— Co to będzie! co to będzie! szeptała.

Nazajutrz rano Czuryło się na parę dni znowu wyprosił, za interesami.

Markotnym był pan Kazimierz, po wyjeździe jego, bo go przypisywał wczorajszej rozmowie. Sam się na siebie gniewał iż tak wystąpił. Myślał tylko czemby się to załatać dało, nieobrażając Czuryły.

Szczęściem dnia tego przyszedł ks. Woroszyło.

— Ty mi pomożesz, ojcuniu—odezwał się stary. Zdaje się, że wczoraj znalazłem głupstwo, bodaj czym tego biedaka Czuryły nie obraził.

Opowiedział jak na spowiedzi wszystko stary i dodał, wzdychając:

— Chciałbym coś zrobić, coś mu ofiarować, czemś sprawę załagodzić, a niewiem czem i jak. Konia ma, kulbaki nie potrzebuje, szablę już odemnie dostał, pas też—niewynawiając.—Co mu tu dać?

— Ale nie! nie! przerwał ks. Woroszyło.

— Dlaczego, nie?

— Bo on niczego nie potrzebuje!—rzekł ks. Woroszyło.

— A dlaczego nie potrzebuje on niczego?—odezwał się Podkomorzy, trochę podrażniony — bo, to mi się podoba — przecie nie ma nic, ino to, co na grzbiecie.

Ksiądz się rozśmiał dobrodusznie, niby z politowaniem, dziwnie jakoś, jak gdyby coś wiedział a mówić mu było—nieraźno.

— Panie Podkomorzy, tak sądzisz?—spytał.

— A dlaczego inaczej mam sądzić? — coraz niecierpliwiej mówił stary. *Unde ratio?*

— Hm — odezwał się proboszcz — ja więcej panu nie powiem nic — tylko, że ten gołysz.... ten gołysz, na ubogich tak pieniędzmi sypie, jakby mu się rozdziły nasiane.

Zdumiał się mocno stary.

— A to — coś nowego! — pierwszy raz słyszę?

Nastąpiło krótkie milczenie. Ks. Woroszyło mówił potem zwolna:

— Nie wiem co i zkąd ma — mnie tam nic do tego, a że świadczy wiele, zawsze pod zaklęciem, żeby o tem nikt na świecie nie wiedział, to ja panu tylko jednemu wyjawiam, i obliguję, proszę, zaklinam, aby to między nami zostało — *Verbum nobile*.

— A no — *verbum, verbum!* — odezwał się Podkomorzy, ciągnąc wąsy. — Dosyć, że — *mirabilis Bombarda Dei!*

Mirabilis Bombarda rzadko się Podkomorzemu wyrывała, i tylko w nadzwyczajnych zdarzeniach, gdy był mocno wzruszony.

— Mój ojciec — dokończył po chwili — w tym człowieku więcej jest tajemnic niżby się patrzeć nań, spodziewać można. Człęk osobliwy, cały w sekretach. No — proszę cię, proszę, na przykład, to siedzenie jego u nas na rezydencyi, gdy, jak się okazuje, pieniądze ma, i mógłby czy dzierżawkę, czy zastawkę sobie wziąć, a toż nie chandra?

Ja za to Panu Bogu dziękuję, bo bym się bez niego nie obszedł — a no tak po ludzku.

Nie dokończył stary, gdy ks. Woroszyło wnet pociął:

— To nie chandra — szanowny kollatorze. Mnie się widzi, że gdy do was przybył, nie musiał mieć

wiele, przyszło mu to pewno później, gdy nawykł, gdy się przywiązał, gdy w nas rodzinę znalazł. Nawczas mu się już nowego życia poczynąć nie chciało—i został na łaskawym chlebie, płacąc ubogim to, co wam był dłużnym.

— Mój ojcie—ślicznieście to powiedzieli i tak ja to chcę rozumieć, ciągnął dalej gospodarz. — Daruję mi jeszcze jedno pytanie.—Grzeszny jestem, ciekawy. Jakież to on tam sumki *sub secreto* na ubogich daje? *practer propter*.... Sto, dwieście złotych rocznie.

Ks. Woroszyło się uśmiechnął.

— *Verbum!*

— *Verbissimum* — zawołał żywo Podkomorzy—ja lubię gadać, ale języka długiego nie mam.

— Daje i po dwa i po trzy tysiące naraz, na ubogich i klasztory.

— A! niechże go kaczki zdepczą!—krzyknął Podkomorzy, ależ ja go widzę, że w przyszwach chodzi i często uiemal wyszarzany. Więc....

— Więc, jakieś rzekł panie Podkomorzy — rozśmiał się ks. Woroszyło—*mirabilis Bombarda Dei!*

Długie nastąpiło milczenie.—Pan Kazimierz był zupełnie zmieszany, i zbity z tropu. Tajemnica każda wydawała mu się podejrzaną — i tu jej w Czuryle nie lubił. *Clara pacta!*—powtarzał często. Zasepiony więc rzekł wzdychając do księdza:

— Wszystko to dobre—ale, mój ojcie, nietoperze tylko latają po nocy—ja sekretów nie lubię. Zważaj, mój ojcie, że kto tak pieniędzmi sypie, a tai się z niemi, kto wie jak je pozyskał.

— Na to, p. Podkomorzemu, nic już odpowiedzieć nie mogę — rzekł ks. Woroszyło, chyba słowami Zbawiciela:—„Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni.“

Stary zamilkł z pokorą.

Dawszy słowo nie wydał się z niczem, to pewna; ale tajemnica go gryzła wewnątrz i jadła.

Znowu Czuryły nie było, sepet stał niezajęty i stary, niemając z kim pobaraszkować, rozgadać się, odmawiał ogromną moc pacierzy, a że miał dawne votum stu tysięcy zdrowasiek na intencją dzieci, w czasie niebytności Czuryły znaczną część z tej liczby odznaczył.

Dwa tygodnie upłynęły, a pan Zubko już razy ze cztery był w Kurzeliszkach, gdy nadjechał Czuryło. Wiedzano, że to sprawi wielką staremu przyjemność; więc p. Szczepanowa posłała, zobaczywszy go, dziewczynę z garderoby, która oznajmiła. Podkomorzy się uradował niezmiernie i pchnął Jarmużkę wnet, aby go prosił, by, jak stał, do niego pospieszył.

Zjawił się też w podróżnym stroju, stary przyjaciel, z twarzą dosyć jasną i wesołą

— Al bodajcież! bodajcież! z temi absentacyami— wołał stary od proga. Chodź, niech cię ucałuję— niech uściskam. Jak się masz?

— A Podkomorzy?

Ściskali się po kilkakroć.

— Ja!— zachciałeś! — stary grzyb gniję powoli. Aleś ty się tam za światem zasiedział.

— Nie bez racyi tym razem—rzekł Czuryło.

— Jakto? i rację tę może nawet nam powiesz! to by było coś osobliwego!—śmiał się p. Kazimierz.

— Jeździłem w interesie państwa—rzekł Czuryło,—nieźle się sprawił i pochwalić się muszę.

Staruszek oczy wielkie wytrzeszczył.

— Enigmatami mówisz—i sam jesteś enigma. No—cóż to jest?

— Prosta rzecz — począł Strukezaszyc, należało dotrzeć do miejsca, i przekonać się o sytuacji Zubków, o familii ich.

— I tyś się tam włókł po to! co! niechże cię jeszcze uściskam! — uradowany i śmiejący się wołał pan Podkomorzy. Mów — cóż nam przywozisz?

— Wszystko jaknajlepiej — rzekł Czuryło. — Ojciec człek godny, w obywatelstwie poważany, majątek dostatni i bez długów, trzy wioski duże, z których jedną istotnie synowi puścił. Kolligacye stare i dobre. Czego chcieć?

Wnet stary na Jarmużkę począł wołać, aby pania Szczepanową proszono. Weszła pośpiesznie, nie myślając się po co była powołaną. Powtórnie i daleko obszerniej musiał tą razą rozpowiadać Czuryło, a że widać dobrze dotarł do gruntu, wiadomości były nieskape. Matki oblicze się śmiało, ścisnęła i całowała starego przyjaciela domu niemogąc słów znaleźć na podziękowanie. A że kołduny lubił Czuryło, wnet, po kobiecemu, na myśl jej przyszło, aby go tegoż dnia niemi utraktować. Czemże mu więcej naprędee, nad uścisk i kołduny zawdzięczyć mogła?

Zubko nabawiał ją niepokoju, bo Izabelka bardzo nań patrzyła łaskawie, serca się nie chciało rozdzierać dziewczęciu — a nuż-by złego się co okazało?

Można sobie wystawić, jak była wdzięczną pocciwemu Czuryłu.

Podkomorzy, acz nie myślał się wydać z tem, iż o jakiejś zamożności rezydenta wiedział, zdradził się mimowolnie w obejściu z nim, okazując więcej pewnych względów, które się pieniądзом należą, i oddają nawet przez tych, co do nich zbytniej nie przywiązują wagi. — Może nie uczuł tego Czuryło —

a jednak pewien odcień nieznaczny w obejściu się Podkomorzego był widocznym.

Tego dnia nierychło stary puścił Czuryłę: najprzód musiał mu szczegółowo opowiedzieć wszystko, co zaszło w jego niebytności; powtórę rozpytać co widział i słyszał. Zbiory siana, pszenice, grochy, orka, wszystko było na placu—deszcze i posuchy, naostatek posłuchy od granicy i domysły czy się nie zanosilo na jakie wypadki.

Było tedy o czem prawić, do późnego wieczora. Podkomorzy spać poszedł w najlepszym humorze.

Tak się tedy życie dalej toczyło, a sekret p. Czuryły pozostawał zawsze sekretem, choć z różnych stron nań podglądano. Pan Zubko coraz częściej bywał u Podkomorstwa, a zawsze się tak jakoś dziwnie składało, że się z Czuryłą nie spotykał.

Ponieważ i syn pana Szczepana, który przebywał w Warszawie, i panna Izabella, prawie na rękach rezydenta się wychowali i byli z nim w najprzyjaźniejszych stosunkach, a panna Izabella nawet faworytką się zwała, nie mogło jej to nie uderzyć, że jej kawalera zdawał się Czuryło unikać. Musiało to jej być w końcu przykrem, gdy się nareszcie odważyła, raz samnasam będąc w ganku ze Strukczaszycem, poufale go o to zagadnęła:

— Proszę też p. Czuryły — rzekła mu przymilając się — czy pan widział tego pana.... co z deputatem tu przyjeżdża?

Zrobiła minkę figlarną.

— Pana Zubkę?

— A tak — pana Zubkę, pan go widział?

— Zdaleka — rzekł Czuryło.

— Dlaczegoż — tak zdaleka tylko? — cicho spytała panna Izabella.

— Tak się jakoś składało — odparł zakłopotany rezydent.

— Ja przed panem sekretów nie mam — dodało dziewczę — pan słyszał, mówią — mówią że:

Trudno jej jakoś było to powiedzieć i Czuryło dokończył:

— Wiem, że to konkurent panny Izabelli.

— A widzi pan, jaki pan niedobry, To pan wie o tem, i nie chciał nawet go zobaczyć? a jabym taka była ciekawa wiedzieć co też pan o nim powie?

— Moja panno Izabello — westchnął stary — na cóżby się to jej przydało! Inaczej sądzą moje oczy, a inaczej młode.

— Ale to tak się wydaje — dodała p. Izabella, jakby pan co do niego miał, i nawet nie chciał się z nim spotkać. Pan Zubko, który o panu wiele ciągle słyszy, sam mi mówił, że mu to przykro, iż pana nie poznał.

— A na co mu się to przyda? — odparł Czuryło, a w chwilę potem dodał: — niech mu to pani wytłómaczy, że ja jestem dziki, nie rad nowe znajomości robię i ludzi unikam. Tak będzie najlepiej.

— Ale nie! nie! — przerwała kaprysząc trochę panna Izabella, która wiedziała, że miała moc wielką nad rezydentem — pan dla mnie to powinien zrobić — przemódz się, być grzecznym i poznać się z p. Zubką.

— Moja p. Izabello — począł się wypraszać stary, do czego się to zdało mnie męczyć?

— Kiedy ja pana tak pięknie proszę? Widzi pan, widzi, żeby takiej małej rzeczy nie chcieć dla mnie uczynić — panie Strukczaszy — czy się to godzi? Zawsze mi pan mówił od dziecka — kocham Izabellkę, kocham, a jak Izabelka o co prosi — to — nie — nic z tego! Widzi pan.

Zmieszany bardzo stał nieszczęśliwy Strukczaszyc; widać było, że to naleganie bolało go mocno, nie umiał nawet już na nie odpowiedzieć.

Panna Izabella spojrzała na chmurną twarz i zmarszczone brwi—żał się go jej zrobiło, lecz widząc, że potrzebowała postawić na swoim, lub nie chciała ustąpić—dodała więc:

— Ja pana o to jeszcze raz mocno proszę—i uciekła.

Czuryło długo stał sparty o poręcz w ganku—i dumął, dumął, głową potrząsał, i poszedł do oficyny. Nazajutrz rano konia sobie osiodłał i pojechał.

Deputat mieszkał niedaleko, a przez las ścieżyną, trochę wilgotną, można się było dostać do niego, prawie w pięć ćwierci godziny.

Tą ścieżką pojechał zrana Czuryło, taki chmurny jak wczoraj; jeśli nie gorzej jeszcze. Znał on całą okolicę doskonale, wszystkie nietylko dwory, ale każdego dworu obejścia, zagrody i furtki; nietrudno mu więc było, podjechawszy od tyłu do dworu, dostać się do drzwiczek od sadu, i siedząc na koniu wołać ogrodniczka, który zaraz wyszedł do niego.

Czuryło, człek praktyczny, zaczął od tego, że mu dał berlinkę w garść.

— Mój kochany—rzekł mu—bądź ty taki dobry, wyszukaj p. Zubkę. znasz go.

— A juści—toć siostrzeniec pański.

— Otóż to—wyszukaj go i tak pociehn mu szepnij, że tu ktoś jest z Kurzeliszek, który ma z nim parę słów do pomówienia.

Chłopak się kopnął żywo, a że znać nazwisko Kurzeliszek miało czarodziejską siłę, młodzieniec nadbiegł prędko, nawet o czapce zapomniawszy. Czu-

ryło już z konia zsiadłszy, czekał trzymając go w rękę.

Zdziwił się pan Zubko zobaczywszy tego posła, a prawdę rzekłszy i uląkł trochę.

Czuryło mu się skłonił, przedstawił krótko i odprowadził go na stronę.

— Niech mi pan przebaczy—rzekł—że go inkomoduję. Wiadomo panu że—że ja oddawna siedzę u Podkomorstwa. Zdaje mi się, że pan dobrodziej, pierwszy raz mnie tam zobaczywszy zdaleka. znalazłeś jakieś podobieństwo między mną, a pewnym Piatnickim? Podkomorzy mi o tem wspominał.

Zubko stał milczący, niemogąc zrozumieć do czego to prowadziło; z niezmierną ciekawością przypatrywał się teraz bliżej panu Czuryło.

— Być może—ciągnął dalej udając wesołość rezydent—że ja nawet bardzo jestem do Piatnickiego podobny. Bardzo być może. Na świecie się trafiają takie nadzwyczajne podobieństwa. Otóż—ja byłem pana kochanego prosić - abyś o tem podobieństwie i o tych Piatnickich, jeśli łaska nie wspominał. Ja się zowie Czuryło, lat kilkadziesiąt mnie tu nim znają, mogliby pomyśleć, że nazwisko usurpował, że się z własnem kryję. Pan rozumie

Gdy to mówił Czuryło, Zubko ciągle mu się z podziwieniem coraz rosnącym przypatrywał.

— Niech mi pan daruje—zawołał wkońcu ale—słowo daję, wszak ja panu w Kamieńcu byłem prezentowany przez mojego drugiego wuja pana Bundrowicza. wszak... Ale bo pan jesteś Piatnickim.

Kończył jeszcze, gdy Strukczaszy chwycił go silnie za rękę, wlepił w niego oczy i wolnym głosem rzekł:

— A kiedy ja panu mówię i słowo daję, że jestem

Czu-ry-ło. W wejrzeniu rezydenta było coś tak zagadkowego, dziwnego, nalegającego zarazem, że Zubko się zachwiał.

— Ja jestem—Czu-ry-ło, powtórzył—jeszcze raz zaręczam to panu, najuroczyściej.

Popatrzyli sobie w oczy milcząc, i Zubko skłonił mu się. Rezydent głos złagodniejszy, począł, zbliżając się do młodzieńca:

— Byłoby mi przykro, w oczach ludzi, z którymi żyłem czas tak długi, uchodzić za jakiegoś podejrzanego samozwańca. Dlatego jedynie pana proszę mocno, nie wspominaj o tych Piatnickich. Nie uwłaczam im; mogą być najzaczniejsi ludzie, wszelako, ja wolę być poprostu—Czuryłą.

Tu się rozśmiał jakoś smutnie i począł zaraz mówić znowu:

— Ja, panu, o ile mogłem w tym domu, w którym bywaśz, być użytecznym—starałem się, niech pan wierzy. Dawnemi czasy znałem waszą rodzinę, ze słyhu, mogłem najpochlebniejsze złożyć świadectwo jej zacności i zamożności. Może się to na co i przyda. Dlaczegożbyś pan miał mnie podawać w jakieś podejrzenie.... i....

— Ale—uchowaj Boże! —przerwał Zubko—wierz mi pan, że w tem najmniejszej intencji złej nie było z mojej strony. Przepraszam pana. Cóżem temu winien? Podobieństwo jest—nadzwyczajne, no—powiedziałbym. niesłychane. W pierwszej chwili tak byłem uderzony.

— Między nami powiedziawszy—dodał Czuryło—nie pan pierwszy. Już mi się trafiało być brany za tego nieszczęśliwego Piatnickiego.... ale, niech już o tem mowy nie będzie.

— Gdy się spotkamy w Kurzeliszkach — co nastąpi wkrótce—daj mi pan pokój z Piatnickim.

Zubko, który ciągle się mu jeszcze przypatrywał, rozśmiał się wkońcu.

— No—zgoda! zgoda!—rzekł—choć—jeszcze raz powiadam, przysięgłbym, że mnie Bundrowicz panu prezentował w Kamieńcu, i żeśmy razem z nim i z panem byli potem na winie u Bałandzicza.

Czuryło ruszył ramionami w osobliwszy sposób, usta oddał—nie odpowiadał nic—długo.

Zubko, który był chłopak żwawy, zakochany i gotów korzystać ze wszystkiego, aby swe sprawy serdeczne na dobrej stopie postawić—podszedł ku niemu, poufale chwytając go pod rękę.

— Więc zgoda! nie gniewaj się pan na mnie, a gdy ten nieszcześny Piatnicki nas zbliżył do siebie, pozwól—że, abym się jego względem polecił. Przy zdarzonej okoliczności, przemów za mną dobre słowo. Mój drogi p. Czuryło!

Chłopeu zdało się, że bardzo rozumnie postąpi, gdy ubogiego rezydenta ujmie sobie jakim podarunkiem. Było to wówczas tak bardzo we zwyczaju, że się tem nikt nie obrażał.

Ciągnął więc dalej—głos zniżywszy:

— Ręką rękę myje—ja pewnie się znać będę na wdzięczności. Słowo daję. Żrobaka czy kilkanaście czątych masz u mnie do dyspozycyi, z duszy serca.

Gdy to mówił, Czuryło, którego był uchwycił pod rękę, wywinał mu się nagle—najprzód się namarszczył, potem pod boki wzięwszy, jak się nie pocznie śmiać: — Zubko osłupiał. Patrzył na niego, a ten boki zrywa: ryhocze, ryhocze a skończyć nie może.

— Co panu takiego? — rzekł wkońcu zmięszany młodzieniec.

— Nic—nic— odparł oczy ocierając Czuryło i podając mu rękę—nic—jak Boga kocham—nie gniewam się, aleś mnie rozśmieszył, kochany panie. Wziąłeś mnie już gorzej niż za Piatnickiego, bo za takiego, który się za żrobaka sprzedać gotów.

Zubko stał zmięszany.

— Wszakżem źleż myśli nie miał, przyjacielski podarek u nas, i wojewodowie przyjmują od brata.

— Tak, odparł Czuryło, gdybym ja wojewodą był, a miałbyś jegomość taranta, którego by mi do czego brakło, a ofiarowałbyś mi go, przyjąłbym da lipan. Lecz chudy pacholek, rezydent, niemający się czem odwdziżyć, to całę co innego.

— Nie miej—że mi za złe—rzekł skonfundowany Zubko.

— Uchowaj Boże — wszak ci to na nieszczęście u nas zwyczajem podarki i gościńce. nie ma urazy, a no—ja, z łaski Bożej i—podkomorstwa, nie potrzebuje nic.

Tu wskazał na starego deresza (numer drugi). którego trzymał na uździe, a który korzystając z czasu trawę skubał.

— Tego deresza mi, bodaj już do śmierci starczy, ale, żebyś był widział jego poprzednika. To był koń! Nie umywał się ten do nieboszczyka.

Naprawiając swą niezręczność, Zubko chciał do dworu poprosić na śniadanie, odmówił Czuryło. Szli więc razem poza ogrodem, a Zubko przeprowadzał.

— Szczerze mi pan powiedz — rzekł po chwili — jak ja tam stoję u was na rejestrach?

— Dobrze—odparł Czuryło.—Stary Podkomorzy

pana lubi, pani Szczepanowa mu sprzyja, a to grunt, bo bez matki córki nie dostać. Poczciwy p. Szczepan jej oczyma widzi, i ma słuszość, bo to kobieta zacna i rozumna.... Co się tyczy pauny, waćpan to najlepiej sam wiedzieć powinienieś.

Zaczerwienił się Zubko z radości, i rękę jego uścisnął.

— Bądź pan otwarty z panią Szczepanową— dodał Czuryło—to najlepszy sposób. Mów z nią o domu, o rodzicach, o stosunkach, o majątku, o wszystkim; a nie kryjąc się z niezem. choćby co i nie pomysli było. Osoba rozumna, a szczerłość nadewszystko ceni. Oto moja rada.

— A gdy stary nasz poczciwy Podkomorzy opowiada dykteryjki, słuchaj dobrze i śmiej się na całe gardło.

Po tej rozmowie rozstali się za ogrodem. Czuryło, choć mu się koń kręcił, ledwie strzemiennia dotknawszy, siadł lekko i zręcznie, cugle ściągnął i pokłusował do Kurzeliszek.

Zubko stał, patrzył długo, ramionami ruszał, głowę kręcił.

— Piatnicki!—mruczał w duchu—niech on sobie gada co chce! Piatnicki, nie kto inny, a mnie co do tego. Chce być Czuryło niech będzie sobie Czuryło.

Po obiedzie przyjechał Zubko. Posłusznyp. Izabelli Czuryło, nie ruszył się kroku, był teraz w pokoju, sam zaprezentował się przybyłemu i pozostał w jego towarzystwie.

Na twarz pięknej dziewczyny wystąpił rumieniec tryumfu, radości i wdzięczności—cieszyła się że dokazała czego chciała; i w pierwszej chwili, gdy mo-

gła niepostrzeżona wykraść się do Czuryły, poszła mu podziękować.

Milcząco przyjął to Strukezaszyc—westchał tylko.

Był to podobno dzień wielce stanowczy, złożyło się jakoś tak, że młodzieniec miał zręczność pannie oświadczyć afekt swój i naturalnie odesłany został do rodziców i dziadunia. To znaczyło, że mógł być przyjętym. Więc, choć tego dnia jeszcze, nie narażwszy się nad formą deklaracyi z deputatem, nie postąpił dalej konkurent—rzeczy były na pół dobite i skończone.

Matka, która mówiąc z innymi, niepatrzając na córkę nawet, przeczuwała a odgadywała co się działo—i tą razą wiedziała napewno co się stało nim panna Izabella jej się z tem odkryła.

W domu całym panowało poruszenie wielkie, a że żadna rzecz nie mogła być zatajoną przed Podkomorzym, wieczorem wiedział już i on, i zwiastował nowinę Czuryle.

Strukezaszyc bodaj się tego wprzódki domyślał.

Spodziewano się wkrótce przybycia deputata i postawienia koni przed gankiem, choć je proszono do stajni. Był bowiem zwyczaj dawny, gdy kawaler przybywał o wyrok ostateczny, iż konie stać musiały w pogotowiu i żadną prośbą do stajni ich zagnać nie było można.

Nadjechał w istocie deputat ubrany nroczyście, Zubko wyświeżony, i trwoga padła na pannę i matkę. Słowo się rzec miało.

Podkomorzy od dwóch dni już zamiast przyodziejka letniego, *in vim* spodziewanych odwiedzin, chodził w starym kontuszu.

Opisywać nie będziemy, jak się to odbyło ze wszystkimi formami przyjętymi, jak się rumieniła

i płakała piękna panna, jak kawaler do nóg padał rodzicom i dziadkowi, jak potem starego przyniesiono węgryna, którym zapieć było potrzeba połączenie dwóch domów; jak zaczęto mówić o terminie wesela, które deputat i narzeczony pragnęli mieć jaknajbliższem, a matka przeciągnąć jaknajbardziej. Trzeba było robić wyprawę, a to nie mała była rzecz, bo się po nią jeździło, dla bielizny do Wrocławia, dla sukien do Warszawy, a wiele dodatków z dalszych miejsc jeszcze sprowadzać przychodziło.

Koniec końców, a było to w lecie jakoś — na zapusty postanowiono weselisko, ojciec narzeczonego miał wprzód sam jeszcze przybyć z dziękczynieniem do Kurzeliszek.

Nie obeszło się i to wesele bez tajemniczego udziału w niem Czuryły, który dał znowu wiele do myślenia. Zachciało się pełnemu fantazyi młodzieńczej panu młodemu, zasłyszawszy że panna Izabella unosiła się nad tarantami, koniecznien sporządzić ich czwórkę i z nią się popisać. Była to zawsze szerść kosztowna, w stadach się pozwodziły one, a pozostałe, rzadkie, skarłały i szczupakowato wyglądały. Gdy przyszło sprzągać z wielką biedą, to wzrostem się nie dochodziły, to odmianami, to szykiem i tuszą. Trzy wreszcie niebrzydkie dostał Zubko, a za czwartego już musiał okrutne dać pieniądze—ale—dla swej niebogil nie żał mu było. Często bywając w Kurzeliszkach, gdy jakoś około Nowego roku przyjechał, a zetknął się z Czuryłą, wzięła się rozmowa o tarantach. Żalił się Zubko, że już trzech faktorów po świecie posyłał za tym czwartym tarantem, i za żadne pieniądze dostać go nie mógł.

— Otóż widzisz panie Starościcu — odezwał się

rezydent, a gdybyś mnie był pisał słówko — jabym ci się taranta postarał.

— Jakim sposobem? czy to być może?

— Tak jest — rzekł Czuryło — mam przyjaciela który mnie od roku nudzi, żebym od niego przyjął taranta, pono właśnie tej miary i wzrostu co wasze, a mnie to—na sto kaduków.

— Ja go u was kupię!—krzyknął Zubko.

— Ale, ba!—odparł Czuryło—ja taranta tego nie sprzedam. Dostał mi się w prezencie, dam wam go za karę, żeście mnie chcieli żrobaka darować. Więc—albo—albo. Weźmiecie go darmo—to przysię—nie—to niech sobie stoi, gdzie jest.

— A gdzież jest?—spytał Zubko.

— Tego nie mogę powiedzieć—odezwał się rezydent.

— A jakże ja mogę od was przyjąć konia, co może sto cząteb być wart, i....

— Dlaczego nie możecie przyjąć? a przecie mnie chcieliście żrobaka dać.

— To co innego.

— Nic innego. Ja nie mam nic—to prawda, ale też nic nie potrzebuje. Widzicie, że mi u Podkomorstwa na niczem nie zbywa.

Zubco się strasznie czwartego taranta chciało, a no, męczył i prosił Czuryłę o jakąś zamianę, facyendę; układu nie mógł wymódz niczem.

— Albo go bierz darmo, albo nie dam. To za karę, za żrobaka.

Kilka dni tak zeszło, naostatek — co było robić? Zubko go nściskał, podziękował i zgodził się na przyjęcie konia i na zachowanie tajemnicy, bo i tej żądał Czuryło.

Ciekawy był zkąd się weźmie ten przyobiecany koń.

— Gdzież go mam dostać?—spytał.

— A—niemasz potrzeby o tem myśleć—odezwał się rezydent. gdy do domu powrócisz, znajdziesz go w stajni u żłobu.

Miało to pozór żartu czy mistyfikacyi, i nie dziw, że gdy po Trzech Królach, wrócił do siebie Zubko, pierwsza rzecz, o którą spytał u progu:— Przyprowadzili tu jakiego konia?

Parfen, chłopak stajenny, który był przytomny, krzyknął na cały głos:

— A! jakiego konia! jakiego konia...

Więc jak stał, pobiegł do stajni Zubko i zdumiał się—tarant był żrebiec, urody cudnej, pasował mu do jego koni doskonale i w licu mógł całą czwórkę ozdobić.

Już w stajni widać było co za koń i jaka to krew, dopieroż gdy go wyprowadzono, a popuszczono mu linki, gdy się na swobodzie poczuł, a ogona odsadziwszy poszedł klusem jak panienka w tańcu—nie było radości końca.

Kto go przyprowadził, ludzie nie umieli powiedzieć. Zrana do dnia, na dziedziniec zajechało dwóch jezdnych na tęgich koniach, wiodąc tego taranta pod piękną deką, oddali go ekonomowi, i—ani odwodnego, ani nawet kieliszka wódki nie przyjąwszy. nie opowiedziawszy się zkąd, co, jak—powtarzając, że pan to już będzie wiedział—odjechali coperędzej.

Tegoż dnia niemogąc się wstrzymać dłużej, obdarowany napisał list do Czuryły, niemając słów na wyrazy wdzięczności swej. Odpowiedzi na to nie miał żadnej.

Wesele odbyło się w zapusty. Choć już stare zwyczaje się naówczas zapominały, choć tych setnych oracyj u każdego progu, przy oddawaniu darów i przy wszelkich obrzędach nie było — bo i mówców sławnych, co by *ex tempore* palnąć umieli mówkę — nie stało — jednak dużo staroświeckiego zachowano na weselu Podkomorzanki, szczególnie dla staruszka, który pomnąc jak to dawniej bywało, nie rad był ażeby co z narodowego rytuału wypuszczono.

Pan Szczepan i pani Szczepanowa, chętnieby go byli zredukowali do nowej mody. Podkomorzy nie dopuszczał.

— Inne narody — mówił — choć im się jaki obyczaj już i śmiesznym i przestarzałym widzi, święcie przy nim stoją, jako przy pamiątce po dziadach. Temi to sznurkami niewidzialnymi łączy się przeszłość z obecnymi czasami — zatem, po staremu! po staremu! Kto chce, niech się śmieje kp. kp.. wszystko wolno, nas to obchodzić nie powinno. Lud, mój panie, dziesięć wieków jak się ochrzczył, a co ze staroego bałwochwalstwa mógł gdzie w węzełek zawinąć, zapazuchę schować, zakonserwować do dziś dnia.... Tak i my róbmy. byśmy dziećmi *bez ojców* nie byli. Wiecie jak się takie dzieci nazywają....

Na takie argumenta, trudna była odpowiedź, musiano więc wesele z całym dawnym ceremoniałem obchodzić, z marcepanami, pochodniami i oddawaniem, panny na ostatku.

Jeżeli kto w czasie tego wrzawliwego, wesołego a żłumnego wesela ucierpiał, to sam stary Podkomorzy, i pocziwy Czuryło. — Ten, dziesięć razy jeden, marszałkiem bodaj, pośtańcem, magistrem ceremonii, wszystko wszystkiem być musiał; ale mu

to na zdrowie szło. Gorzej Podkomorzemu, któremu wiek i choroba, na zbytne wysiłki nie dozwalały. Tymczasem spocząć nie chciał, wdawał się we wszystko, niepokoiła go najmniejsza rzecz, kręcił się częściej niż zwykle; na porę nie bardzo zważając, kazał się prowadzić do pokojów i okrutnie się zameczył. A i wina też się pono więcej wypilo niż popuchłym nogom było potrzeba. Dostyc, że gdy wszystko się szczęśliwie skończyło, skrzypki uci-chły, państwo młodzi odjechali, dwór opustoszał i cisza głucha nastąpiła po wrzawie, a obliczanie strat i wydatków trochę zakwasiło twarz, Czuryło musiał przy chorym Podkomorzym na straży siedzieć i pielegnować go parę tygodni.

Nie było nic strasznego—cierpiał stary, lecz doktor ze Słoniwa przyjeżdżający, niejaki Crusius (który dawniej słyszę był prostym Krausem)—nie znajdował ataku tego groźnym. W istocie przeszło to powoli. Podkomorzy się do krzesła dźwignął znowu, Czuryło na sepet, i dawny porządek powrócił.

W chorobie miał tę pociechę stary, iż mógł się przypomnieniami wesela, jakiego dawno powiat nie widział, o którym ludzie długo potem opowiadać mieli—zabawiać z Czuryłą. Co wina wypito! a jak dowcipne wznoszono toasty! Ile-to się starych odnowiło, a nowych porobiło znajomości, i co się afektów z serc szlacheckich wylało!

W kilka dni po weselu (to jeszcze szczęście, że nie wcześniej) nadeszła wiadomość niespodziana do sąsiedniej rezydencji księcia — ciotecznego brata, iż nagle zmarł on w podróży, w mieście włoskiem Pizie. Ciało jego do grobów rodzinnych aż tu sprowadzić miano.

Z powodu blizkiego pokrewieństwa, kto wie co-
by było z weselem się stało, możeby je odłożyć mu-
siano; lecz posłaniec, który wiozł żałobną tę wiado-
mość, przybył już po wszystkim. Razem ze smu-
tną tą wieścią, nadeszła i druga, że córka księcia,
znudzona trzecim mężem i życiem w stolicy, bodaj
tu na partykularz miała przybyć, do jedynych dóbr,
jakie jej pozostały. Rządca odebrał rozkaz, aby
stary dom urządzono jaknajwytworniej, ogród oczy-
szczono, i przygotowano się na przyjęcie pani.
W sąsiedztwie wiele o tem mówiono; cieszyli się je-
dni, trwożyli drudzy, ciekawi byli inni, bo o Woje-
wodzinie fama wiele rzeczy dziwnych rozповідаła.

Markotnym był z tego powodu Podkomorzy szcze-
gólniej—bo z reputacyi nie lubił tej kobiety, oba-
wiał się jej, a czuł, że stosunki z nią były nieuni-
knione. List, który napisała do starego i do pana
Szczepana, prosząc ich, aby dobra jej wzięli tym-
czasowo w opiekę—zwiastował, że z nią kłopot bę-
dą mieli. A choć sławna owa niegdy piękność,
wcale młodą nie była, p. Szczepan też dobrze ły-
siał, niemniej pani Szczepanowa, nieprzyznając się
do tego, w strachu była, nawet o męża—i na tę in-
tencję, zwykłą koronkę do Przemienienia zaczęła
odmawiać, nie już dwa, ale trzy razy na dzień.

Zaledwie wiadomość przyszła o śmierci księcia,
Kollupajło wpadł też przestraszony do Kurzeliszek,
wołając o ratunek. Miał zastawę w ręku, ale się
lękał, żeby mu jej nie wydarto, i nie skazano go na
dochodzenie swych pretensyj do massy i t. d. Wpadł
z dziegciem i cebulą, które go nigdy nie opuszcza-
ły, do Podkomorzego — i — jak on później sam po-
wiedział: „izbę mu zafetorzył okrutnie.“ Oprócz
tego krzyczał, wołał, hałasował, bijąc się w piersi,

i tak starego zmęczył, że po odjeździe jego ledwie dyszał.

Pieniądze, nieboraczysko. nazywał: — krwawicą, i tak o tej krwawicy prawiąc płakał, jakby mu ją już wydarto.

Ledwie nie ledwie potrafił go uspokoić stary, iż mu się krzywda żadna nie stanie.

Zajeżdżało też o poradę, o protekcyę mnóstwo wierzycieli książęcych do Podkomorstwa, wiedząc o stosunkach i pokrewieństwie. Dopóki książę żył, ludzie jakoś jakoś cierpliwymi byli; teraz wszystkich ogarnęła trwoga, a gdy się policzyli, w istocie mogli się obawiać, iż majątku na opłacenie ich nie starczy. Znać, że ten najazd na Kurzeliszki, bo się teraz drzwi nie zamykały przed wierzycielami książęcymi, i Czuryłę musiał zmęczyć, gdyż wszyscy zauważyli, iż chodził jak przybity, zadumany — nieprzytomny, i był wyraźnie nie swój.

— Co-bo tobie jest? — pytał Podkomorzy.

— Czegoś nie zdrów się czuję — odpowiadał rezydent zwykle.

A że stary miał szczególną predylekcyę do rumianku, pijał go po kilka razy na dzień i wszystkich nim, na wszelkie choroby kurował. Kończyło się zwykle na przymusowym napojeniu Czuryły, któremu jednak to panaceum nie pomagało — i chodził jak struty.

Zdawało się nawet, że ta niedyspozycya i zły humor z każdym dniem rosły, a Strukczaszye już sam przebąkiwać zaczął o tem, iż podobno mu wypadnie na dłuższy czas w drogę się wybrać, przejechać i powietrze zmienić.

Jakkolwiek ta teorya ruchu i świeżego powietrza, była tradycyjonalną u nas, i walczyć z nią nie śmiał

Sekret pana Czuryły.

nikt, Podkomorzy jednak podawał w wątpliwość, czy ota w tym razie posłużyćby mogła.

— Powleciesz się znowu niewiedzieć gdzie—mówił—wygody nie będziesz miał, zakwasisz się gorzej jeszcze, nie dojesz pocziwie, nie dośpisz, niewygody zażyjesz, a pamiętaj że i ty już niemłody jesteś. Co innego tym, którzy piątego krzyżyka nie doszli, ale już po nim, ostrożnym być należy.

Czuryło trwał uparcie przy swoim.

Podkomorzego sama perspektywa dłuższego pozostania bez Strukczaszyca, przerażała. Nasadzał więc na niego z kolei kogo tylko mógł, aby mu tę chandrę wyperswadowali: pana Szczepana, żonę jego i ks. Woroszyłę.

Ksiądz przyrzekł uczynić refleksyę — ale za skutek nie ręczył.

— Mój dobrodzieju—rzekł do starego—trzeba-bo znów wejść i w naturę ludzką. Człowiek czasem potrzebuje ruchu. Czuryło siedzi—może mu się i znudzi, dobrze, żeby się przewietrzył, wróci świeższym.

Tego ani chciał słuchać nawet Podkomorzy:

— Ojczulku, kiedy proszę—rzekł—uczyn-że dla mnie, wybij mu z głowy peregrynacyę; niech sobie codzień się przejeżdża godzinę, dwie: kto mu broni? Weźmie konia jakiego zechce, bodaj mojego stępaka.

Podkomorzy, w którego pokoju widzieliśmy siodło i strzelby, choć z trudnością chodził, trzymał wszakże stępaka, na którym jeszcze kiedyś jeździć się spodziewał. Dziesięć lat on stał i pasał się w stajni darmo, a nikomu go ruszyć nie było wolno. Niekiedy przyprowadzać go kazał stary do okna, albo do ganku, karmił chlebem i łupinami kawono-

wemi i trwał w tej nadziei, że gdy mu nogi odejdą, jeszcze się około synowskiego gospodarstwa przejedzie.

Tęto stopa najdroższego, którego nikomu dosiąść nie było wolno, aby go nie znarowiono, gotów był już Podkomorzy pożyczyć Czuryło, byle się z Kurzeliszek nie ruszał. Była to daleko większa ofiara, niżeli się zdawać mogło.

Ksiądz Woroszyło przyrzekł przemówić do serca Czuryły. Drugiego dnia też wezwał go do siebie na plebanie, gdzie mogli swobodniej pogawędzić.

— Gdzie to się asindziej wybierasz—począł, że Podkomorzy się już zawczasu tak nastraszył?— Dokąd? po co? Chciałeś jechać, jeździłeś razy tyle, po co było zawczasu straszyć.

— Ale—bo—odparł Czuryło—kto wie czy nie przyjdzie ztąd całkiem się wynosić!

— A toż co? to co?—krzyknął ksiądz podnosząc się z siedzenia. Cóż to znowu?

— Hm— okoliczności — bąknął Strukezaszyc zamysłony,

Zafrasował się pocziwy księżyna.

— Dla starego Podkomorzego to prawdziwa-by była kłeska. Starego dobijesz. Nawykł do ciebie. Nie rób tego, z pocziwemi sercami nie godzi się żartować. Tyle czasów przebyliście razem.

— I ja ich kocham jak moich rodzonych — rzekł Czuryło — bo w życiu oni mi jedni byli rodziną prawdziwą—lecz—mój ojciec — są okoliczności.

Przechadzali się obaj długo milcząc po izbie, gdy Czuryło, jakby się namysliwszy—począł:

— Przyznam się księdzu proboszczowi dobrodziejowi, oprócz innych okoliczności, mnie staremu

i to straszno, co się z Kurzeliszkami stanie, gdy do rezydencyi książęcej ten tabor z Warszawy najedzie.

— Myślicie o Wojewodzinie?—spytał ks. Woroszyło.

— A tak — mówił rezydent.

— To właśnie pora i zręczność — przerwał proboszcz, by Podkomorstwu usłużyć, bo sobie rady nie dadzą.

— A i ja im pomódz nie potrafię — począł prędko Czuryło. — Ludzi najedzie z wielkiego świata, z któremi ja i gadać nie potrafię, a zamęt będzie, a rwetes. Wojewodzina tu w całej okolicy nikogo znajomego niema, to niby familia, ona tu jak zasiędzie.

— Hm? toć się jej waszmość zląk? — zapytał ks. Woroszyło — a to dopiero!

— Choćby i tak, nie wypieram się — mówił Czuryło — dla mnie to już zaciężko.

— Nie — nie mogę — nie mogę! — rzekł nagle: — Muszę jechać.

Coś w tem było tak zagadkowego, że ksiądz mu się bacznie zaczął przypatrywać.

— Mów-no prawdę — dodał — mnie ty znasz? Masz jakie powody do unikania tego dworu i ludzi?

Czuryło jakiś czas zmilczał.

— A — mam — rzekł wreszcie — no — mam — nie będę tał.

— I Podkomorzemu ich nie możesz wyjawić.

— Nie mogę — uchowaj Boże! — nie mogę.

Poczęli znowu chodzić milczący.

— Słuchaj-no — rzekł po namyśle ks. Woroszyło: Jak ci też starego nie żał, żebyś ty się dla jego miłości trochę nie poświęcił. Mnie się zdaje, że może być i wilk syty i koza cała. Powiedz wprost, że się wypraszasz, aby gdy ta jejmość przyjedzie, nie ka-

zano ci się stawić, i pozwolono tylko z Podkomorzym przebywać, oto i po wszystkim.

— A jakąż to minę mieć będzie? — odparł Czuryło. Da bez potrzeby do myślenia, ja tego nie chcę.

Narada trwała tak z dobrą godzinę, bo ks. Woroszyło koniecznie chciał na nim wymódz żeby się nie oddalał, a Czuryło jechać się napierał, dowodząc, iż oddalenie jego nie potrwa długo, bo Wojewodzina na tej pustyni nie wytrwa.

Pomimo uporu jego, wziął na siebie proboszcz próbować czyby się jaki układ zręcznie wykonać nie dał. Zgodził się, choć niechętnie, Czuryło.

Tegoż dnia poszedł proboszcz do dworu i zasiadł z Podkomorzym, dowodząc mu, że Czuryło potrzebuje spokoju, i że—jak mu się zdawało—obawia się z przyjazdem Wojewodziny najazdu gości, a zbytku zajęcia, szczególnie przy zabawianiu ludzi innego świata i obyczaju.

— I mnie to nie na rękę, co mnie tu czeka—odezwał się stary—lecz cóż robić? Wierzę, że mu ta baśba straszna jak niemniej nam wszystkim. A i to prawda, że my z obowiązku krwi pokutować musimy i ją znosić—on zaś, do niczego nie obowiązany.

— Więc—o co chodzi?—proponuję taki układ—żeby sobie siedział w oficynie, do gości się nie prezentował, a do mnie tylko na gawędkę incognito przychodził—święcie dotrzymam

Umówiono się tedy, aby i pani Szczepanowa i pan Szczepan, niby *proprio motu* oświadczyli Czuryło, iż się może uwolnić wczasie pobytu Wojewodziny od ukazywania się w domu. Stary też sam miał mu to powtórzyć. Tegoż wieczora, nie zwlekając, odbyło się to, nie bardzo zręcznie może, ale Czuryło, znając ludzi, pewnym być mógł, iż mu słowa dotrzymają.

Milcząco, ukłonem podziękował za tę względność—i już o wyjeździe mowy nie było.

Podkomorzy przez wdzięczność nazajutrz dwie fury owsa posłał dla proboszczowskich koni. Twarz mu się wyjaśniła i sepet znowu zajęty był regularnie, przez dawnego przyjaciela, a anegdutki stare w robocie.

Oczekiwano Wojewodziny w rezydencji. Listy od niej przychodziły nie tylko do rządu, ale dwa do p. Szczepana, jeden po drugim przybyły, proszące go, aby był łaskaw wejść w restaurację i urządzenie domu, o którego opuszczenie i nieporządek w nim, obawiała się Wojewodzina.

Pan Szczepan musiał, rad nie rad, z wielkim niesmakiem żony, która w tem już zamach na pożycie małżeńskie widziała—jechać do rezydencji i gospodarować.

W istocie dla wielkiej pani do wykwinności stolicy nawykłej, stary dom a raczej dwór książęcy, musiał być tylko niewygodną gospodą. Nie było sposobu go w krótkim czasie doprowadzić do takiego stanu, by wymaganiom odpowiedział.

Rządca dóbr, któremu o to szło, aby mu dziedziczka nie wniosła się na długo i nie zasiedziała zbyt mocno, choć napozór restaurował, czynił to tak, aby dwór nazbyt nie wypiękniał i nie stał się miłym a dogodnym. Poznał się na tem p. Szczepan, lecz poradzić nie mógł. Brakło mularzy, stolarzy, materyału—wszystkiego. Trzeba było po to daleko posyłać, robota się ociagała. Wojewodzina wiozła z sobą służbę liczną, a pomieszczenie jej stawało się problematycznym.

Rządca włosy sobie tarł na głowie z rozpacz; mówił, że rad-by z duszy dogodził pani żądaniom—

ale, że to przechodzi ludzkie siły. Można już było przewidzieć zgóry, iż Wojewodzina nie znajdzie tego, czego się spodziewała.

Pan Szczepan odpisał więc natychmiast, nietając rzeczywistości, a wszystkim to było na rękę, bo się spodziewano, iż Wojewodzinie zabraknie odwagi puścić się w tę podróż do dzikich krajów.

Nie znano jednak pani tej, dla której szczególnie nowość wszelka była najponętniejszą.

Tymczasem stary, który w swoim krześle siedząc i niemając nic do czynienia, oprócz odmawiania koronki, różańca, gawędy z Czuryłą i gderania na Jarmużkę—nudził się i potrzebował dystrakcyi—dowiedziawszy się od syna o wszystkim, pocieszał się też z innymi, że owa straszliwa Wojewodzina nie przyjedzie. Przejmowała go ona grozą i strachem. Stary większą część życia spędził na wsi, kędy obyczaj stolicy nie doszedł, gdzie małżeństwa trwałe były i przykładne, — gdzie rzadko wdowa w powtórne wstępowała związki. Dla niego więc rodzajem potworu była ta szalona niewiasta o trzech mężach, co się z żadnym z nich pogodzić nie mogła. Lękał się zetknięcia z nią, jak z istotą zapowietrzoną.

Toż samo wrażenie czyniła jej reputacya na pani Szczepanowej. Młody Podkomorzy więcej otarty ze światem, — nie brał tego tak surowo, ale bronić też nie śmiał.

Samo jednak pobbłażanie żona mu za złe poczytywała. Cieszą się teraz, że Izabella z mężem z tych stron wyjechała, i tym sposobem uniknie zetknięcia z kobietą tak niebezpieczną.

Rozmowy często, ciągle prawie toczyły się o tem tylko, a Czuryło ich słuchał, niedając poznać po

sobie ani oburzenia, ani nawet ciekawości. Jeżeli go stary Podkomorzy przyparł mocno, to ledwie coś bąknął i ramionami poruszył. Opanował go też w tych czasach, jakiś smutek dziwny i zaduma, którą stary melancholią nazywał, usiłując, to tem to owem, zabawiać pocziwego przyjaciela choć jakoś mu się to nie wiodło.

Pan Szczepan, dosyć z natury swej leniwy—parę razy pojechawszy de rezydencyi dla przypatrzenia się robotom około dworu, nie bardzo miał ochotę więcej się w to wdawać. Rad-by był zdać to na Czuryłę—a nie śmiał. Ojcu o tem szepnął, ale Podkomorzy go zreflektował, że biedny Strukczaszc i tak jest czegoś przybity, więc go męczyć nie należy.

W ostatnim liście do Wojewodziny, p. Szczepan nie zataił, że trudno będzie naprędce dom opuszczony wyrestaurować tak, jakby ona pragnęła. Sądził, że się na tem skończy, gdy wprędce nadeszła nagląca odpowiedź, by, bądźco bądź, jakkolwiek ukończono przygotowania, bo Wojewodzina zjechać musi koniecznie, nieodzownie.

Wypadło więc jechać znowu na miejsce. Szczepan nie lubił być sam. Spotkał się w ganku z Czuryłą i nściaskał go.

— Mój drogi przyjacielu! cygan się dla koleżeństwa dał powiesić—jedź ty zemną, bo mi piekielnie nudno samemu. Ty się na wszystkiem lepiej znasz odemnie, pomóż mi. Zachnął się bardzo rezydent, zaczerwienił, ale p. Szczepan nalegał czule.

— Czuryło, duszo moja. niejuści ty mnie nie kochasz? Jedź. Cóż ci się stanie. We dwóch będziemy śmielsi. Namyslał się jakiś czas Strukczaszc, wahał, wymawiał, lecz po rozwadze — zdecydował.

— No—to jadę—rzekł.

Zaprzeżono konie, siedli na bryczkę, a p. Szczepan sam nawet powoził, tak mu się humor poprawił. Książęca rezydencya była niedoszłą pańską fantazyą. Chwilę jakąś zdawało się nieboszczykowi, że tu ufunduje coś wspaniałego, i życie całej okolicy skupi około siebie. Miał stanąć pałac mурowany, lecz że na to dłuższego potrzeba było czasu, wybudowano przy starym dworze dwa skrzydła nową architekturą, oficyny dla dworu, a że książę i wszyscy naówczas na romantyczne ogrody chorowali, przyozdobiono to rodzajem parku, dzikiej promenady i improwizowanemi budowlkami, których książę sam dawał rysunki.

Działo się to mniej więcej owego czasu, gdy księżna generałowa zakładała Powązki, książę ex-Podkomorzy ogrody na Szulcu, a po kraju, co żyło przeobrażało stare sady na promenady, obsadzając je kioskami chińskiem, ruinami, świątyniami, i—jak pisał Krasiński:

„Piramidami z chrustu.“

I tu więc, były kopane sadzawki z prześlicznemi kaskadami; pagórki sypane—pawilony w różnych gustach, ale wszystko to pozaczynane, poklecone naprędce, podziczące, przedstawiało najsmutniejszy w świecie obraz zniszczenia, gdy Wojewodzina nakazała właśnie, aby odżyło i odmłodziło.

Ogrodnicy i budowniczowie, którzy to wszystko stworzyli, rozbiegli się byli po świecie. Rządca nie miał pojęcia o tem jak to być powinno wyrestaurowane. Wycinano chrusty, czyszczono ulice, a co na pół zwalone stało, obalano do szczętu.

Dwór w znacznej części długo niezamieszkiwany, zaciekał, dach trzeba było na gwałt pobijać, sufity

zapadłe tynkować, słupy odrapane wygładzać. Robiło się to wszystko niewprawnymi rękami domorosłych rzemieślników i wyglądało straszliwie.

Gdy Szczepan z Czuryłą wjechali na ogromny podwórzec, znaleźli go kupami cegły, gruzu, stosami drzewa, gontów, słomy, furami pełnymi śmieci zawalonym, tak, że prawie się do środka dostać nie było podobna.

Ludzie jedni siedzieli na dachu, drudzy wisieli przy ścianach. Rządca z wąsem sumiastym hałasował i kłął hetmaniąc niesfornemu tłumowi. Postrzegłszy pana Szczepana podszedł do niego pan Hałandziez (tak się zwał). pokłonił mu się, i wnet począł rozwódzić nad utrapieniem swem.

— Pani wojewodzina nie chce wejść, jaśnie panie, w sytuację moją—rzekł patetycznie. Tu, to, mości dobrodzieju, nie stolica; chamy jak niedźwiedzie niezgrabne, urwij, podaj, człek z apprehensyi na wątrobę choruje, a od krzyku głos traci. Nie śpię, nie jem... Bóg widzi...

Z tem exordium szli do dworu oglądać co się tam działo. Wewnątrz było jako tako, ale, oprócz dwóch pokoi, w których się ramy drewniane obicia zblakłe utrzymały, reszta wybielona była, tarcicami pogniłe zastąpiono posadzki, i nowa restauracya dziwnie od starego odbijała przepychu. Gdzieniegdzie marmurowy komin stał obok pieca nieforemnie ulepionego z gliny... Ściany zachowały zwierciadła, a nie miały obicia, drzwi ze złożonemi listwami wiodły do pokojów, w których okna barbarzyńsko sklecone, nawet pobielonemi nie były.

Pan Szczepan się rozpatrywał milczący.

— Widzi jaśnie pan—robi się co się może, człek by własnego mięsa nie żałował, byle połatać, a no,

na takim partykularzu, gdzie tu kto co umie? Nie-
ma czasu posyłać do Grodna.

— Wiesz pan co — odezwał się Szczepan. staraj
się o to, aby było czysto, sucho, zamczysto i wygo-
dnie. O elegancyę się niema co troszczyć... Wyma-
gać jej nikt nie będzie.

Rządca popatrzał na nieznanego mu Czuryłę—
jakby się wahał mówić przy nim.

— To mój dobry, stary przyjaciel—dodał pan
Szczepan. możesz pan mówić otwarcie.

Skłonił się Haładzicz i chrząknawszy poufnie
zaczął.

— Jaśnie panie—ja—przyznam się nie suponowa-
łem, aby wojewodzina chciała tu—dłużej zamie-
szkać...

— To nie dla niej rezydencya—myślałem, obejrzy,
rozpatrzy się i—uciecze... bo to... ale taki, a dla
niej—nawet o wygody będzie trudno. My tu chle-
bem, serem, a w niedzielę kołdunami żyć nawykli.
A tu—proszę—jaśnie pana—tu się na co innego za-
nosi... Kazano furmanki po meble posyłać.

Rządca ręce rozstawił, głowę spuścił i rozpaczliwą
przybrał postać.

— Jak tu dwór ten Warszawski zjedzie, jak go-
spodarować zacząć... ja—ja nie mogę tu dłużej być.
Ja sobie rady nie dam. Wiem co bywało gdy na
krótki czas zjechał książę, a to przecie mężczyzna.
Co dopiero gdy przybędzie niewiasta...

Nie dokończył. — Ja tu nie wytrzymam, nie! Tu
będzie koniec świata...

Szczepan i Czuryło milczeli, -- Huładzicz był mo-
cno poruszony...

W tej chwili nastąpił mu się człowiek, który
niosąc tarcicę, świeżo wybieloną ścianę oszarpnął.

Pobiegł z nadzwyczajną gorącością i zaaplikował mu w plecy kilka „kijowskich admonicyj“. — Było to jego wyrażenie.

— Ale-bo to, proszę jaśnie pana, z temi łajdakami inaczej nie można, tylko bij, tłucz. a ducha słuchaj — bo nic nie będzie. Wczoraj mi nowiuteńkie okno bestya wybił

Wszystkie te przygotowania nic dobrego nie wróżyły.

— Panie Haładzicz, kiedyż to będzie gotowem? zapytał pan Szczepan.

— Kiedy będzie gotowem! miły Boże. krzyknął rzadca — człowiekby się rozdarł, aby prędzej było, ale co z temi chamami począć? Albo ja mogę powiedzieć co kiedy się zrobi... Kował u mnie za ślusarza służy, cieśla za stolarza — ja sam za wszystkich...

Począł wyrzekać, a w tem wszystkim to było najwidoczniejszem, iż sobie wojewodziny nie życzył i smutnej a nieuniknionej rzeczywistości poddawał się z rozpaczą.

Obejrzawszy dwór, w którego wszystkich jeszcze pokojach coś dosztukowywano, a w ostatnich dziewczęta folwarczne wielką obfitością wody szorowały posadzki, śmiejąc się i śpiewając — pan Haładzicz zaprosił gości do swej „basy“ na kawkę.

Na folwarku było bardzo czysto, ślicznie i tem wyborniej, że wszystek sprzęt dawny ze dworn, powoli się tu poprzenosił. Obok prostych stołków, świeciły lakierowane i złoczone, wiele drobnych fraszek jawnie zdradzało swą genealogię książęcą. Pani Haładziczowa pięknej tuszy, rumiana, biała, okrągła kobiecina, w progu już rozpoczęła narzekania swe na ten kłopot, jaki „mężulko“ miał z panią wojewodzina.

— Na mszę, na motywębym ofiarowała do Ostrej Bramy — dodała, żeby od nas ta burza dała się odżegnać...

— Ino pomyślę, co my tu mieć będziemy z jaśnie panią, to mi włosy na głowie wstają! Mąż mi wychudł, tak się gryzie—a już o sobie nie mówię.

Szczepan jak mógł pocieszał—ale trudno było wlać otuchę w ich serca. Dobre dawne czasy absolutnych rządów kończyły się. Czuli to wszyscy. Państwo Hałandziczowie, myśleli tylko, aby się zabierać i jechać gdzie do spokojniejszego kąta.

Późno w nocy wrócili podróżni do Kurzeliszek.

Przez kilka tygodni listu od wojewodziny nie było. — Przyjedzie — nie przyjedzie? zdania były podzielone.—Odechce się jej—mówił Podkomorzy.— Po co szukać ma biedy? tu jej wierzący nie dadzą technąć, dodawała Szczepanowa.

Tymczasem z rezydencji dano znać, że sprzęty różne, kufry i mnóstwo mebli, obić, materji przywieziono z Warszawy, z kąd i tapicer przybył po francuzku ubrany, w peruce, którego państwo Hałandziczowie z trndnością wykarmić mogli, tak był wymagającym.

Przyjazd więc zdawał się nieuniknionym. O tymczasowem przyrządzeniu dworu rozpowiadano rzeczy bajeczne. Szczepan, który już żadnych poleceń nie miał, nie śpieszył się też mieszać w cudze kłopoty. Żydek, Mortchel, faworyt starego Podkomorzego, który siedział w małej karczemce na trakcie, wysłany był na zwiady, żeby zobaczyć co się tam dzieje. Relacya jego, acz bardzo dokładna, niewiele nauczyć mogła.

Mortchel zdumiewał się tylko nad kosztownością i mnogością przywiezionych rzeczy, i obrachowywał metodą izraelską—ile to i jak niezmierne summy mogło kosztować.

— Proszę, jasnie pana, mówił, ja już nie jeden dwór pański widziałem, co to gadać?—a takich zbytków dla jednej osoby, to chyba w królewskich pałacach—widzieć. Teraz starego budynku i nie poznać. Świeci się wszędzie, błyszczy, oczy bołą, a takie oni rzeczy poprzywozili, co ludzie na wszystkie strony obracają, i nie może wiedzieć nikt, czy to do nabożeństwa, czy do zabawy służy.

Ruszał ramionami, mocnego doznawszy wrażenia Mortchel, a cokilkanaście słów powtarzał, iż życzyłby swoim dzieciom mieć to na majątek, co to wszystko kosztowało.

Przeciagneło się jeszcze dni kilkanaście, gdy... jednego rana, ten sam Mortchel zadyszany, oklep przybiegł na koniu do Kurzeliszek, wpadł wprost do Podkomorzego i zawołał z zapalem ogromnym:

— Przyjechali!

Zrazu jakoś nie opamiętał się stary. Kto — i co? ale Mortchel dodał, że na swoje oczy widział karetę wsześć koni, drugą w cztery konie, bryczkę i furgon.

Po całym domu rozniosła się wiadomość, że wojewodzina przybyła, — a zarazem Czuryło gdzieś zniknął.

Właśnie go nie stało, gdy stary potrzebował się rozgadać o tym wielkim fackie, który z problematycznego stał się dokonanym.

Nierychło, bardzo nierychło przywłókł się Czuryło i usiadł na sepecie.

— Więc tedy jest wojewodzina... no! stało się... zawołał Podkomorzy—co ma być, będzie!

Przez cały dzień nie mówiono o niczem innem. Nazajutrz rano, konny posłaniec przywiózł list do p. Szczepana, w którym znużona droga Wojewodzina prosiła go, aby ją odwiedzić był łaskaw.

To się w najwyższym stopniu p. Szczepanowej nie podobało.

— Co, ona tu nami komenderować myśli i rzucać a to co znowu? Odpisz, żeś chory, i kwita!

Panu Szczepanowi zdawało się, że niewypada; sprawa się wytoczyła do starego. Podkomorzy był między młotem a kowadłem, nie chciał się przeciw synowej, a bardzo pragnął, żeby Szczepan zobaczył na własne oczy tę niebezpieczną Circe, i zdał mu z wrażenia sprawę.

Pani Szczepanowa, zwykle dobra i łagodna, prawie była gniewną, tak się jakoś niepotrzebnie o męża obawiała.

— Ale co-bo asindzka—pani Szczepanowa dobrodziejko — rzekł Podkomorzy — tak źle trzymasz o swym mężu.... Nie jest przecie bałamnt. Cóż mu ma znowu grozić! Wstydziałabyś się. Niech jedzie.

Poczęli się śmiać—ustąpiła p. Szczepanowa, ale poszła płakać i gniewała się. Pan Szczepan ubrał się, pośpieszył żonę przebłagać i pożegnać — i wyruszył.

Czekano go z powrotem do wieczora, Podkomorzy Jarmużkę ciągle posyłał.

— Idź-że jakiś, zobacz! Nie może być, żeby pana Szczepana nie było do tej pory.

— Ale kiedy niema.

— Idź precz, trutniu!

W kwadrans potem zahuczało, i Jarmużka biegł powtórę.

Naostatek, gdy już wieczerzę dawać miano, a pan

Szczepanowa chodziła z wypalonymi na twarzy rumieńcami, od pół godziny po ganku, nadjechała bryczka, wyskoczył z niej mąż, uściskał ją serdecznie i wesoło, a że już Jarmużka stał prosząc do starszego pana—poszli więc razem do niecierpliwego staruszka.

W milczeniu, z natężoną ciekawością, z oczyma wlepionemi, gotowali się wszyscy słuchać opowiadania.

Pan Szczepan, leniwy we wszystkim, daru wielkiego nie miał, gdy mu co opisywać przyszło; musiano mu dopomagać.

— Gadaj-że, zlituj się! jak ją znalazłeś?

— Jak wygląda?

— Jak cię przyjęła?

Zasypano go pytaniami.

Szczepan trochę był zmieszany widocznie, od czego miał począć.

— Al no—rzekł—znać, że była piękną, bo jeszcze i dziś napodziw młodo na swe lata wygląda. Mężkie ma obyczaje, śmiała—widać do rozkazywania przywykła, ale światem i ludźmi i wszystkim znużona, sama nie wie czem się zabawić, rozerwać, aby, jak mówi, o biedzie zapomnieć.

— O jakiej biedzie?—wtrącił stary.

— Znać mąż jej dokuczył, gdy aż tu od niego uciekła. Powiedziała mi, że chce tu pozostać. Pytała mnie o sąsiedztwo—o polowanie.

— Jakto — o polowaniu! — razem zawołał stary i p. Szczepanowa.

— Myśliwa jest i jeździ widać na łowy.

— Tam, do stu katów! Jeszcze czego nie stało? przerwał Podkomorzy — ale asindziej-że mi opisz, jak wygląda?

— Średniego wzrostu, figura dobra.... twarz.... przystojna....

Pan Szczepan mówiąc spojrział na żonę, a że jej się fizyognomia mieniła, uciał nagle.

— Niema nic szczególnego w niej—dodał—tyle tylko, że śmiała bardzo i wygadana; a że wszystkiego niemal żartować sobie przywykła:

— Więc się i nam dostanie — zamruczała Podkomorzyna.

Staruszek zmileczał, p. Szczepan dodał na wpół żartem:

— Lęka się, bo mi to sama mówiła, aby stary, zakochany mąż i tu za nią nie gonił—choć mu powiedziała na wyjezdne, żeby się nie ważył na to.

Niewiele więcej z p. Szczepana dobyć było można; odpowiadał krótko, a zbywał pytania tem, że wkrótce ją wszyscy sami będą mogli oglądać, bo się do Kurzeliszek obiecała.

— Na przyjęcie jejności—wtrąciła p. Szczepanowa, wcale się wysilać nie myślę. Co mi tam! dogadzać jej nie mam ochoty. Niepodoba się jej—z Panem Bogiem!

— A no — a no — szepnął Podkomorzy — tylko zaowu domowi asindzka wstydu nie rób. Można ją lubić, nie lubić, a przyjać po ludzku potrzeba.

Nazajutrz, choć się odwiedzin obawiano, nie pokazała się Wojewodzina. Czuryło pojechał na ryby, i cały dzień go nie było; trzeciego dnia z południa, Jarmużka wpadł do drzemiącego jegomości, i krzyknął:

— Kareta! proszę jaśnie pana.

Zmieszał się strasznie Podkomorzy, ale kazał, na wszelki wypadek podać buty aksamitne i długą kapotę nową. Nieogolony był tego dnia, a że kreden-

cerz, który golił go zwykle, gdzieś się zadział—nie było na to sposobu—a i pora też popołudniowa nie sprzyjała operacyi. Umył się tylko świeżo staruszek, a gdy z bicia trzaskanie dało się słyszeć, posłał Jarmużkę, aby zobaczył jak to tam było.

Czuryły i tego dnia nikt nie mógł nigdzie wyszukać.

Podkomorzy siedział niecierpliwie się, i nie chciał widzieć przybyłej—i ciekawy był. Gdyby mu tusza i nogi pozwalały, byłby niemal zajrzał przez dziurkę od klucza. Upłynęło z pół godziny, gdy p. Szczepan nadbiegł. Wojewodzina pragnęła złożyć uszanowanie wujowi.

— Ale—gdzie zaś—tu— u mnie! ani myśleć, rumianek słyszać, porozrzucane. Prowadźcie mnie, to już pójdę.

Szczepan podał rękę z jednej strony, na plecach Jarmużki oparł się z drugiej pan Podkomorzy, i tak—się do sali wytoczył.

W środku jej stała właśnie owa głośna ze trzech mężów Wojewodzina, cała w czerni ubrana, na której trocha klejnotów świeciło.

Ubiór był smakowny, lecz nie nazbyt wytworny, do pewnego nawet stopnia zaniedbany. — Twarz ubielona i uróżowana, wydawała się dosyć młodą, ale zmęczoną i smutną; w czarnych oczach nie widać było ani ochoty do życia, ani ciekawości jutra. Zdawały się patrzeć tak jakby już wszystko widziały i nie pragnęły niczego więcej oglądać. W ustach też była jakby lekka wzgarda—i szyderstwo... Z tem wszystkiem osoba i twarz nie obudzały wstrętu, nawet w tych, co mieli uprzedzenie i gotowali się Wojewodzinę odepchnąć — raczej litość jakąś i zdumienie.

Z powagą i poszanowaniem zbliżyła się do Podkomorzego, aby go pocałować w ramię.

— Wstyd mi, że tak późno poznaję rodzinę moją—rzekła—jam temu niewinna, tak losy zrzędziły. Rzuciły mną jak łódką po morzu wzburzonym.

Tak śmiało począwszy, dokończyła uśmiechając się:

— Proszę być łaskawym na mnie, p. Podkomorzy—choć—choć wam mnie pewnie ludzie tak odmalowali, że raczej wstręt obudzać muszę—niż sympatyę.

Takie otwarte wynurzenie się od pierwszych niemal słów, które u nas wcale w obyczaju nie było, wszystkim niemal zamknęło usta. Nie pisał nikt.

Posiadali wszyscy; na twarzach malowało się zdumienie, Podkomorzy spoglądał ukradkiem, pani Szczepanowa spuszczała oczy. Wojewodzina, jakby się tego wrażenia spodziewała, uśmiechnąwszy się, ciągnęła dalej:

— Proszę mi wierzyć, że trochę jestem lepszą niż moja reputacya! Tak—tak. Uchodzę za bardzo szaloną babę — a tak znowu złą strasznie się nie czuję.

Podkomorzy stary, ceremonialny zawsze, wążący z obcemi słowa, siedział jak na torturach. — Radby był odwrócić rozmowę, lecz jak tu było przyjsć do słowa?

— Pani Wojewodzina po Warszawie — rzekł wkońcu—bardzo musiała niewygodnym znaleźć dwór swój, od tak dawna niezamieszkały i opuszczony trochę.

— A! w istocie — pocieszenie mi się wydała ta szopa—rzekła Wojewodzina uśmiechając się pogardli-

wie — ale u nas w kraju więcej wymagać pono się nie godzi. Dobry i dach cały nad głową.

Byłam na to przygotowaną.

— Mogę poświadczyć, że p. Hałandzicz. gorliwie czynił co mógł.

— Miałam tego dowody, na przyjęcie mi smółką wykadził! — dodała wojewodzina.

Odwróciła się do p. Szczepana.

— Jesteś pan myśliwy?

— Bardzo mało — odparł zapytany.

— Niech się państwo ze mnie nie śmieją, ja z nudów, lubię polowanie. Jestto zabawa dla kobiety nie bardzo — mówią — przyzwoita. Ale — co mi tam!

Patrzyła chwilę na starego Podkomorzego, który słuchał tak ciekawie, że ust zapomniał zamknąć.

— Całe życie — dodała — lubiłam bardzo swobodę, powinienam się była urodzić mężczyzną.

Wszak p. Podkomorzy musiałeś słyszeć o mojem życiu? Ciekawa to historia.

I nie czekając odpowiedzi, z obojętnością na wrażenie, jakie uczynić mogła, ciągnęła dalej:

— Pierwszego męża dał mi nieboszczyk-papa na to, ażebym się z nim rozwiodła. Był to mąż dla proporecy.

Pani Szczepanowa spuszczała oczy.

— Drugiego ja sama wykradłam u jego matki. i za to mnie Pan Bóg skarał. Ten drugi tak był kubek w kubek do mnie podobnym, że nie mogliśmy się z nim zgodzić na żaden sposób. On chciał żebym ja go słuchała, ja go zmuszałam, żeby on mi był posłusznym; on był samowolny, i ja także. Kochaliśmy się z początku niezmiernie, a potem kłócili nazabój. Było to bardzo pocieszne dla patrzących z boku — ale dla mnie nieznośne. Pocałowałam

go i powiedziałam mu otwarcie: — kochanie moje, idź sobie szukaj żony, którąbyś się mógł bawić jak lalką, ja ci nie służę.

No—i rozstaliśmy się.

W salonie milczenie panowało, bo ton, jaki przybrała Wojewodzina, był tuk niesłychanym, tak przerażająco zuchwałym, iż wszyscy czuli się nim przygnębieni — oniemieli. Wojewodzina ciągnęła dalej:

— Wydano mi wreszcie, czy ja sama się wydałam, to kwestya nierozwiązana, za tego pocziwego Wojewodę, którego imię nosić mam honor Najzaniejszy w świecie człowiek — ależ śmiertelnie nudny—dużo starszy odemnie. Ma syna żonatego i zakochany we mnie, co w mężu jest śmiesznem. Cała Warszawa się wyśmiewa z tego. Wielce go szacuję—ale żyć z nim niepodobieństwo.

Milczano. Wojewodzina szukała wejrzenia oczyma, wszyscy mieli spuszczone wzrok w ziemię. Naostatek stary Podkomorzy zmógł się i odezwał:

— Prawdziwie smutny skład cyrkumstancyj w życiu Wojewodziny—ale są *necessitates* w życiu, z którymi się godzić trzeba. W towarzyszu życia choćby perfekcyi nie było....

— Gdyby choć mierność, panie Podkomorzy, rozśmiała się Wojewodzina—nie wymagałabym więcej. Ale—co tam—dodała żywo—ja to wiem, państwo wszyscy jesteście ludzie starego, pocziwego obyczaju, a ja zepsute dziecko wieku. To też pokutuję, o!—westchnęła—pokutuję za to srodze.

Nie było odpowiedzi, rozmowa w tym sposobie prowadzić się tu nie dawała. Musiała to uznać sama pani przybyła, bo, powiodłszy oczyma po twarzach zafrasowanych — rzekła:

— Przepraszam państwa—mam taki brzydki zwyczaj, mówić co mi na myśl przyjdzie i robić co mi się zachce; a za stara jestem, aby od tego odwyknąć. Muszę się państwu bardzo dziwną wydawać.

— Ja tylko—przerwał Podkomorzy—mogę za to assekurować, iż szczerą kompassą mam nad jej stanem, a przytem i nadzieję, że z czasem wszystko się to zmieni na lepsze.

— Ja już się tego nie spodziewam—westchnęła Wojewodzina. Znudziło mnie życie, i świat i ludzie, wszystko mi obojętne. Iakotako—dożyję do końca.

Najsmutniejsza-to rzecz—dorzuciła poruszając się na kanapie i spierając na dłoni—że—ja nawykłam do rozrzutności, do wygod, do życia pańskiego, a po ojcu, jak widzę—w spadku biorę ruinę. Na interesach się wcale nie znam, nie rozumiem ich. Wiem że pieniądze mieć powinna — a tu— tu ich widzę, braknie. Co tu robić?

Pytanie rzucone było do rozwiązania trudnem. Stary p. Kazimierz głową potrząsał.

— Moja mościa dobrodziejko—rzekł—czasy ciężkie dla wszystkich. W interesach, trzeba kogoś wziąć, coby się dobrze rozpatrzył. długi polikwidować, potrzeby ograniczyć....

— Wiele pan wymagaśz odemnie—odezwała się Wojewodzina—ja—nie mam dzieci. Co się po mnie zostanie, wszystko mi jedno, chciałabym tylko mieć co jeść do końca i głowę spokojną.

Znowu stary głową począł wodzić—i cmokać.

— Człowieka asindzce trzeba—rzekł—a któż-by właściwiej mógł usłużyć nad p. Wojewodę?

Wojewodzina wybuchnęła.

— Daj—że mi pan z tym nudziarzem pokój!

— Ale — mąż! — dodał niewzruszony w zasadaeh staruszek.

— To największy defekt jego—rzuciła Wojewodzina—nie mówmy o tem. Daj mi pan innego człowieka, przyjmę go z jego ręki.

— Trudna to rzecz—odezwał się Podkomorzy—ludzi ze świecą szukać trzeba.

— Zapaliłabym ich sześć!—rozśmiała się Wojewodzina — bylebym znalazła takiego, coby mi dał spokój i pieniądze.

Gdy stary Podkomorzy, ani p. Szczepan, nie jakoś na razie poradzić nie umieli, a rozmowa się ciężką stawała, zwróciła się z nią Wojewodzina do p. Szczepanowej, aby ją trochę ożywić i zmusić do przemówienia. Półśłowami zpoczątku starała się wywinąć z tego zadania gospośia, lecz—zwolna sama niewiedząc jak, nastroiła się trochę do zupełnie sobie obcego tonu, i z równą szczerością ośmieliła się stawić opozycyą.

Wojewodzina mogła się przekonać, jakdalece cały ten dom—do innego świata, nawyknień i pojęć należał. Lecz, czy-że się tego spodziewała, czy-że jej to było obojętnem, nie zdawało się wcale aby to brała do serca. Oswojono się z jej dziwaczną otwartością, pogodzone z nią niemal. Pani Szczepanowa uspokoiła się i przejednała szczególnie tem, iż w niej najmniejszej nie znalazła zalotności, — i że o męża zupełnie mogła być spokojną.

Wojewodzina ani patrzyła na niego, a całe jej obejście się świadczyło o takim zobojętnieniu dla świata, iż Podkomorzynie prawie jej żal być zaczynało.

To uczucie wkońcu wszyscy niemal dzielali, i gdy po długim dosyć pobycie, pożegnała ich, od-

prowadzili na ganek, jeśli nie z sympatyą powziętą ku nieszczęśliwej, to przynajmniej z rodzajem smutnego politowania.

Inaczej wcale ją sobie wyobrażano, a gdy karetą odtoczyła się od ganku, i cała rodzina znalazła się znowu razem w salce, spojrzeli po sobie wszyscy.

— Cóż asindzka teraz o niej powiesz! — spytał Podkomorzy.

— No—dziwna i osobliwa kobieta—odezwała się p. Szczepanowa, ale, dalibóg, mi jej żal.

— I mnie, słowo daję—potwierdził Podkomorzy. Szczepan zmilczał.

— Wiesz, moja dobrodziejko—począł stary—zrazu mnie swoją mową tak zdetonowała. Żem języka w gębie zapomniał. No—ale, gdy się człęk z tem otrząsał—dalipan wolę, że mówi co myśli, choć nie do rzeczy myśli—niżby miała kłamać i grać jak na teatrum.

Po tym sądzie ostatecznym. przeciw któremu nikt nie apelował, rozeszli się wszyscy, dosyć smutni.

Podkomorzy natychmiast buty aksamitne ściągnąć sobie kazał, kontusz ów zdjął, przywdział swe ulubione odzienie powszednie, siadł w krześle i posłał Jarmużkę, aby szukał Czuryły.

Przed nim dopiero miał się dusza w duszę wyświadać z wrażeń swoich.

Strukczaszyca nie było jeszcze.— Powiedziano, że do pasieki gdzieś poszedł, i dopiero w dobre pół godziny się zjawił. Podkomorzy już go o absencyą nie inkomodował.

— Żałuj, mój kochany—rzekł—żeś dzik i żeś nie widział i nie słyszał kobiety, jakiej drugiej wątpię, by kto w życiu spotkał. Powiadam ci — myśleli-

śmy wszyscy, że się w ziemię zapadniemy, jak zaczęła prawić.

— A, snmma summarum—co powiesz na to—szalone babsko, a litość bierze patrzeć i słuchać—bo to nieszczęśliwa kobieta.

—Wypowiadała się nam z całego życia, ale tak—mówię ci—bez ogródki—że uszy wędły.—Długoby o tem było prawić — dosyć, że trzeci mąż, którego ma, stary Wojewoda, tak ją nudzi, iż z nim żyć nie może. Więc tu na wieś uciekła. Myśli—polować na zając! Jak Boga kocham! Powiada, że myśliwa! Plecie i bredzi aż strach. Conajgorsza, że, jak sama powiada—nawykła do zbytków, a tu po nieboszczyku księciu... pono... nierozchodźcie się... nie wiada co zostało, oprócz długów.

Wystaw sobie—prosiła mnie o człowieka do interesów! Gdzie tu jej znaleźć do interesów uczciwego i obrotnego człowieka? gdzie? Albo będzie osioł uczciwy, albo mądry a szelma, a takiego co by razem miał olej i sumienie!... ale ba! ale ba!

Grubo tak, po swojemu wyrażając się, prawił Podkomorzy, a Czuryło z wielką słuchał uwagą.

— Wszyscy my—dokończył Podkomorzy—pani Szczepanowa, ja. p. Szczepan uprzedzeni byliśmy przeciw niej, uo — co powiesz — teraz nam wszystkim jej żal. Prawi nie do rzeczy, a w głosie jej dźwięczy taki jakiś ból, że za serce chwytał!

Mógł się stary wygadać jak chciał, bo Czuryło słuchający z wielką uwagą, ani słowem mu nie przerywał. Stał z głową spuszczoną, niedając znaku życia.

Gdy pokilkakroć już stary powtórzył: biedna kobieta,— i wrócił znowu do tego człowieka do in-

teresów, którego potrzebował — Czuryło naostatek mruknął:

— A juści-by p. Podkomorzy, przez to kuzynowstwo, no—i przez miłosierdzie uareszcie, człowieka mógł nastęrczyć.

— Tęgi ty jesteś—ofuknął Podkomorzy—ale—gdybym ja człowieka znalazł, coby miał olej i sunienie, tobym go sam sobie wziął!

— Czy to już na świecie ludzi niema? — wtrącił pocichu Czuryło.

— A niema—mówił Podkomorzy—niema. Każdy prawie kaleka. Ten chroma na nogę, ów na rękę, inny na głowę: całego nie znajdziesz. Asindziej sam, byłbyś *perfectissimus*, a chaudry masz.... Giez cię ukasi, zadrzesz ogona i.... poleciał w świat, albo się do dziury schował.

— Ja panu człeka znajdę—dodał Czuryło zbliżając się — ja. — I, wie pan co zrobimy — pan mnie znasz, gdy słowo dam, dotrzymam. Człowieka znajdę, za którego rękę, bo ja go sam pilnować będę i na ręce mu patrzeć.

Niezmiernie zdziwiony, prawie zrazu nie rozumiejąc o co chodziło, wysłuchał tej mowy Podkomorzy. Wyrwał się z tem Czuryło, tak nagle, impetycznie, on co się do niczego zwykle mieszać nie lubił — powiedział to takim tonem poruszenie mocne oznajmującym, stanowczym—iż p. Kazimierz uszom nie wierzył.

Nim miał czas się odezwać, Czuryło dodał żywo.

— Rozumie się, że o mnie, o moim dozorze i partycypacyi—nigdy mowy nie będzie.

— A ja asindziej w tej chwili—przyznaję się—rzekł stary—nie rozumiem.—Cóż to jest? Chcesz

na swoje ramiona brać odpowiedzialność taką? na co? po co? gdzie? jak? dlaczego?

Czuryło zmiłkł trochę.

— Hm—albo-to ludzie ludziom nie powinni pomagać?

— Aleś ty jej w życiu nie widział?

— Pan Podkomorzy przecię mówi, że litość go brała?

— Brała— to pewnie—a no, od litości do takiej ofiary jak asindziej, za cudze grzechy—daleko.

Po krótkiem milczeniu, zaintrygowany wielce Podkomorzy spytał:

— Proszę-ż cię—Czuryło—mówiłeś o człowieku? kogo miałeś na myśli?

Zapytanie pozostało bez odpowiedzi, musiał je nawet powtórzyć drugi raz Podkomorzy—aż dopiero, odwróciwszy się doń i zbliżając do krzesła—rzekł Czuryło niby żartobliwie:

— Po co tu panu znać człowieka? Zna pan mnie—ja za nim stoję i za kark go trzymam. Jak się Podkomorzemu zdaje—czy ja mogę zasłużyć uo wiarę?

— Ale tybys się zamęczył!—krzyknął Podkomorzy—toć to gorzej niż pług ciągnąć po kamieniach. Sam, powiadasz, że nie chcesz być na widoku.

— Niech Bóg broni.

— A no widzisz, i myślisz że człowieka sobie dobrawszy na cieniaka, dasz mu rady! To ci się jak węgorz będzie z rąk wyslizgał.

Czuryło nie nalegał—Podkomorzy też zwrócił na co innego rozmowę, bo miał o czem rozprawiać. Dopiero, gdy sobie dobranoc dali i rozstali się, a stary w głowie wszystkie dnia wypadki nanowo zaczął przechodzić, uderzyło go to mocno, że się

Czuryło oświadczył z taką osobliwą gotowością do posługi.

Tylkoco, niedawno, wypraszał się właśnie, ażeby go nie używano do niczego i wymawiał sobie spoczynek, a tu—nagle zapragnął, gorzej niż pracę, bo szaloną odpowiedzialność wziąć na głowę swoją. Podkomorzy tych sprzeczności pogodzić nie umiał, bo w istocie nie były one łatwemi do pogodzenia i musiał przypuszczać, że Czuryło—jak mówił do siebie—w piętę goni.

— Raz tak, drugi raz inaczej! Jedno się drugiego nie trzyma! — mruczał Podkomorzy ległszy do łóżka. I po co mu to, kiedy się czuje starym i znużonym, z kądem nagła ochota być dobroczyńcą tej szalonej baby!

Z tem usnął stary, sądząc że baka uciawszy Czuryło, milczeć będzie, gdy się sam zreflektuje.

Wedle zwyczaju. nazajutrz rano stawił się rezydent. Rozmowa była niemal stereotypową, zawsze jedną.

— Dzień dobry.

— Dobry dzień.

— Jakże p. Podkomorzy spał?

— Niedobrze, wczoraj nadto mnie te odwiedziny poruszyły. Sen miałem niespokojny i przerywany. Co na dworze?

— Pochmurno.

— A Szczepanowe barometrum co mówi?

— Trochę spadł merkuryusz.

— To źle.

— Nie wiesz asindziej, wiele wyszło pługów, a wiele bron?

— Coś tam tego sporo.

— Boto od czasu jakim ja na nich wszystko

zdał, strasznie miękko idzie. Ekonom fafuła, a pan Szczepan nie bierze do serca. Nie słyszałeś tam co?

— Tak dalece nic nowego.

— Wrócił ks. Woroszyło?

— Zdaje się, bom jego konie widział, gdy je poić prowadzili.

— A p. Szczepan?—w polu?

— Zdaje mi się, że jeszcze w domu.

— A! widzisz! a nie mówiłem. Zdaje na ekonoma. Zasypia na dzień, i przez to się nawet roztył bez pory, a to źle dla niego. Bieda!

Ledwie się trochę przerwał wątek, gdy Czuryło, wtrącił.

— Wie p. Podkomorzy, ja mam już człowieka, którego pan może śmiało polecić p. Wojewodzinie.

Usłyszawszy to, Podkomorzy się aż rzucił w krzesło i palnął szeroką dłońią o poręcz.

— Cóż ty znowu tak się gorączujesz!

Czuryło zmilkł i siadł. — Tymczasem Podkomorzego znowu brała ciekawość, co to mógł być za człowiek?

— A kogożeś to chciał rekomendować?

— Kiedy p. Podkomorzy w to się nie myśli wdać?

— Pewnie, że bez potrzeby nie życzyłbym sobie—ale—diskursywe—kogoż miałeś na myśli?

Rezydent jakoś nie miał ochoty wielkiej do rozmowy; długo kazał na odpowiedź czekać.

— A młody Woroszyło! synowiec proboszcza!—rzekł. — Gospodarz dobry i jurysta niepośledni, a, co się tyczy charakteru, dosyć powiedzieć, że go stryj wychował.

Zdumiał się stary.

— Masz asindziej rację! Człęk doskonały, a no—

jest klauzula i tu—Woroszyłowcie tego, stara szlachta, żaden z nich niczym pono plenipotentem nie bywał. Pan Adryan ma mały prawda folwarczek, chat dziesiątek, ale panem jest u siebie; zechceż się on zaprządz do takiej ciężkiej pracy?

— Hm, ozwał się Czuryło—a będziesz go pan rekomendował? No — to ja wezmę na siebie, że się podejmie.

— Ty, weźmiesz to na siebie!

— Zobacz pan, ja go nakłonię—dodał Czuryło. Pomilczeli trochę.

— Wiesz asindziej — rzekł Podkomorzy — iż nigdy go jeszcze takim gorącym nie widział jak oto dziś w interesie p. Wojewodziny.

— Dowód to dobrego serca—nie przeczę, ale—chandra! U asindzieja tak wszystko z gorączki idzie. Niema co się śpieszyć. Będzie na to czas. Gdybyś ty był łaskaw lepiej o to teraz, póki ja nie odmówię pacierzy, trochę się przeszedł koło gospodarstwa.

Posłuszny Czuryło, wziął czapkę i ruszył.

Młody Woroszyło, o którym wspomniał p. Strukczaszy, miał małą wioseczynę, o dwie mile, którą zwano Borki. Po ojcu wziął w niej pięć chat, a drugie pięć stryj, ksiądz proboszcz, mu odstąpił, razem dwie schedy tworzyły folwarczek. na którym się prawdziło przysłowie:—Maciek posiał, Maciek zjadł. Ale p. Adryanowi do szczęścia nie było wiele potrzeba: surowo wychowany przez stryja, nie przywiązywał zbytnej wartości do mienia, zdrowy kawałek chleba był mu wystarczającym. Dodać trzeba do tego, że p. Adryan od dwóch lat się ożenił z miłości, z panienką, która mu wpiosła serce naj-

lepsze, ręce pracowite i myśl wesołą. Mieszkali w domku, w którym trzy izdebki małe cały apartament składały, pod słomą. Naprzeciwko była kuchnia i czeladnia. W kupce postaremu tuż stały w olszynach stajnie, stodoły, szopy, chlewy, wszystko razem. W dziedzińcu całą ozdobą była sadzaweczka dla gęsi i kaczek, osadzona bzami. Za dworciem w ogródku kilkanaście gruszek siedziało i jabłoni.

Wioska przypierała prawie do dworu i stanowiła z nim taką jedność, jak owo młode państwo z wieśniakami, co w niej siedzieli. Młoda pani znała wszystkie wiejskie dzieci po imieniu, ludzie do dworu przychodzili jak do spiżarni i apteki. Było to jeszcze patryarchalne owo gospodarstwo odwieczne, które się później tak nieszczęśliwie zmieniło. Pan Adryan nie trzymał ekonoma, bo nie miał za co, wójt ze wsi razem z nim gospodarował. Chłopi wychodzili na pańskie, ale dwór orał im i zasiewał, gdy było potrzeba. Nie było prawie przykładu sporu i gniewu. Ludzie byli i poczciwi jakoś i znosni razem, a dziedzica uważali niemal za ojca, bo z rodziną jego żyli od wieków. Wiodło się więc tu życie spokojnie, jak u Boga zapiecem, a Woroszyło dotąd chleba nie brakło. Mało miał, ale rządny był. Żona chodziła w perkalikach, on w prostym suknie, jedli krupnik i kasze, chleb razowy i wędliny domowe; z przysmakami widywali się rzadko, a śliwki suszone stały za konfiturę.

Przy łóżku p. Adryanowej stała już jedna kołyszeczka, a drugiej niebawem można się było spodziewać; więc, choć sobie powtarzano: kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył — ale pan Woroszyło się zamyslał i oglądał trochę, jakby się to grosza dorobić.

Nie było to łatwem. Gospodarstwo w Borkach, choć bardzo dobrze prowadzone, nie prawie oszczędzić nie dozwalało. Rzucić je, a jąć się interesów cudzych, było to wyrzec się domu, szczęścia, spokoju, a młode małżeństwo kochało się jak para gołębi. Jedli więc chleb razowy i — patrzeli w niebo! Ksiądz proboszcz stryjaszek, nie wiele mógł im pomóc, bo sam nic nie miał, na probostwie swem nie zbierał, utrzymując, że dochody zbyt ubogim należały. Lecz, ile razy przybył do synowca, przywoził z sobą wesołą myśl, otuchę, przypomnienie o Opatrzności i pochwałą ubóstwa.

Jak św. Franciszek ks. Woroszyło ubóstwo kochał i miał je za stan błogosławiony, utrzymywał że dostatek psuje, serce zatwardza, miłości bliźniego oducza, w pychę wbija i człowieka naraża na pokusy. Nie było to u niego zachętą do próżnowania, bo życia warunkiem głosił pracę — lecz, rozumiał, iż nawet majętni do dobrowolnego ubóstwa chrześcijańskiego w obyczajach obowiązany byli.

W Borkach, proboszczowi wydawało się jak w raju. Bielizna była gruba ale czysta, chleb świeży choć razowy, jadło proste i zdrowe, lecz niewykwintne — a przytem śmiały się twarze i królowała tu miłość, — w izdebkach białe ściany, podłoga nie malowana, stołki i stół sosnowy, ale świeżością pachniało, i brzmiało młodą piosenką.

Misia, żona pana Adryana, była hożą i rumianą kobieciną, a z chłopaczkiem śmiejącym się na ręk — choć ją było malować. — Często gdy w polu robotą była pilna, a p. Adryan odejść nie mógł, ona, tak samo jak wiejskie kobiety, niosła mu w pole obiad i dziecko, za którem więcej tęsknił niż za obiadem. Dopieroż tam była radość, gdy między

kopami lub wśród snopów, ukazał się ten gość, do którego wszystkie kobiety wiejskie i dziewczęta klaskając w ręce przybiegały. Czasem się tak długo śmiano i cacano z jedynakiem, że robota na tem cierpiała—aż p. Adryan, żonę i syna pocałowawszy, musiał do domu przepędzić.

W Borkach, z gości rzadko kto bywał, oprócz proboszcza—nie chciano przerywać pracy gospodarzowi, który do zabawy czasu nie miał; w święta tylko, albo oni do rodziców żony jechali, lub się do nich kto wybrał. Z możniejszemi rodzinami znał się p. Woroszyło, lecz nie zbliżał, bo nie miał, jak one, swobody do hulanek, i wiedział, że stosunki te są kosztowne. Oboje czasem bywali u Podkomorstwa, ale tylko wtedy, gdy roboty w polu i gumnach nie było. Czuryło nawiedzał ich czasem w swoich wędrówkach po sąsiedztwie. Nie zdziwiono się więc, gdy jednego dnia konno u wrót się zjawił i zapukał stojącej u studni dziewczyny: jest pan w domu?

A był p. Adryan przy pługach, które niedawno orały; zamiast więc nudzić gospodynię, ruszył Czuryło przez pola do oraczy.

— Aż mi się za panem stęskniło—zawołał zbliżając się do Woroszyły. Nie będę ci zawadzał, bo jadę dalej, przyjechałem tylko dowiedzieć się czyście zdrowi? co u was słychać?

— Bogu dzięki! Bogu dzięki!—rzekł wesoło młody gospodarz, rękę podając; żona zdrowa, chłopak już parę słów baka, na polach nienajgorzej, za wszystko Boga chwalimy.

— Aż miło—dodał Czuryło—bo drudzy, co stękają, tę tylko mają korzyść z tego, że ludziom i sobie są nieznosni.

— Patrząc na pocziwą waszą pracę, p. Adryanie, Sekret pana Czuryły.

ja tylko jednej rzeczy żałuję, że Pan Bóg nie dał szerszego pola. Szkoda was na te małe Borki.

— No—kiedy dużych niema!—rozśmiał się pan Adryan.

— Hm, wiecie—rzekł Czuryło—Pan Bóg chłopca jednego dał, tylko co drugiego nie widać—wartoby pomyśleć żeby i dla nich, choć po takich Borkach zostawić. Trzebaby się rozpatrzeć w świecie.

Woroszyło słuchał, a Strukeczaszyć powoli zsiadł z konia. Siedli na kamieniu na miedzy, pod gruszą.

— Mnie jedna myśl przychodzi—mówił Czuryło powoli. Pewnieście słyszeli o księciu i o jego córce Wojewodzinie, która oto właśnie do rezydencji zjechała. Była ona u Podkomorstwa, bo to pokrewieństwo; skarżyła się strasznie na utrapione interesy.—Jej potrzebaby pracowitego, obrotnego człowieka, żeby ją z biedy wyprowadził. Nikogo nie widzę do tego, prócz was, panie Adryanie.

— Al zlituj się, Strukeczaszyću—a toż to tam chaos słyszę i długów bez miary! Kołłupajło mi mówił.

— Co? Słuchacie Kołłupajły! On-by rad, aby wszystko runęło, i żeby sam z zastawy z małą dopłatą na dziedzictwo przeszedł. Ja wam mówię, że ratować można. W Borkach gospodarstwo przez toby nie upadło — a wybyście. conajmniej, drugich dziesięciu chat dorobili się w krótkim czasie.

— Ale to marzenia pocziwego serca waszego! uśmiechnął się Adryan. Gdzie to tam o tem mówić?

— Wcale ja nie marzę i nie śnię—rzekł Czuryło. Wojewodzina prosiła, aby jej człowieka nastręczono. Podkomorzy może was zalecić.

— Rady nie dam.

— Dacie—zawołał Strukeczaszyć—ja wam powia-

dam, że dacie. Nie święci garnki lepią—ja też się znam trochę i na prawie i na interesach, będę wam ochotną pomocą.

— Mój dobrodzieju—serdecznie ci za myśl dziękuję—rzekł Woroszyło, ale z tego, co wiem, zdaje mi się, że my we dwóch nawet tego ciężarubyśmy nie dźwignęli. Znam dobrze Hałandzicza, mówiłem z nim nieraz. Dobra są ogromnie odłużone, nieboszezyk był utracysz, a córka pono nie lepsza. Aby dać rady, potrzebabym najprzód pieniędzy, a tych—z kąd wziąć? Czuryło się zadumał.

— Waćpan jesteś zacny człek—i, mogę z nim mówić otwarcie. Ja wam dobrze życzę. Potrzeba będzie pieniędzy—znajdę takiego, co da—z jednym tylko warunkiem, ażeby nikt nie wiedział: z kąd grosz płynie.

Słyszając to Woroszyło, zdziwione podniósł nań oczy.

— Cóż? z kąd? jak? chyba stary Podkomorzy?—zapytał.

— Tego ja nie mogę powiedzieć? może stary Podkomorzy, ale to musi być sekret.

Słuchaj innie jeszcze—dodał—o tem nawet Podkomorzemu ani piśnij! Rzecz moja—dosyć, że ja ci pieniędzy dostanę i dam.—Chcę, ażebyś się waćpan do tego wziął, bo mu wierzę i ufam i życzę dobrze! Namawiam na to, proszę. Okazywa się zdarza jedyna.

Zdumiony wielce tą natarczywością Adryan. siedział na kamieniu niewiedząc co już mówić.

— Dajcie mi się namyśleć—rzekł:—Wojewodzinny nie znam—to, słyszę, baba waryatka.

— Samowolna może, wielka pani, popsuta — a no—niedola ją ściga całe życie, może przyjsć do opamiętania. Nie sędzę, żeby się tam było czego

obawiać. Będiesz jej zbawcą—musi ci być wdzięczną.

— Tak, a wszyscy wierzyciele i zastawnicy, ilu ich jest, — tylu sobie zrobię nieprzyjaciół — dodał p. Adryan—po co mi to?

— Wierzyciele cię w ręce całować będą, bo inaczej groszaby nie widzieli— rzekł Czuryło, znasz mnie—spodziewam się, że mi wierzysz, namawiam cię — zachęcam, proszę, stoję za tobą i przy tobie. Tylko—o mnie nigdzie i nikomu, ani słowa—to warunek. Teraz—masz wóz czy przewóz; dwa dni do namysłu, trzeciego przyjadę—powiesz tak lub nie—jak ci się podoba.

To mówiąc wstał z kamienia Czuryło i dodał:

— Trochę głębiej każ orać—nie zawadzi—do zobaczenia.

Siadł na konia, i nim zdziwiony i poruszony Woroszyło, czas miał odpowiedzieć, miedzą już pokłusował do gościńca...

Nie bardzo tego dnia dobrze pilnował orki gospodarz, bo miał głowę pełną tego, co mu w nią rzucił Czuryło. Wprawdzie do wieczora prze-trwał w polu, lecz do domu wróciwszy, gdzie żona z wieczorą czekała.—niemając dla niej tajemnic nigdy, wypowiadał się zaraz swej Misi, z tego. co mu mówił Czuryło.

Wiedziała ona, że Strukeczaszye był tego dnia, bo go u bramy widziała—zdziwiła się zaś mocno i temu, co przywiózł, i naleganiu i warunkom. Uśmiechało się jej dokupienie kawałka ziemi do Borków; ale jakże ono drogo miało kosztować! Mąż musiałby ciągle być za domem, gryźć się i kłopotać, nieprzyjaciół sobie robić, ją zaniedbać. Szczęście, którego używali, byłoby zatrute. Z drugiej strony,

przyszłość dzieci... Mówiąc o tem do późnej nocy, oboje posmutnieli jakoś. Czuli, że byłby to przełom w ich życiu—i że szczęśliwe chwile spokojne z pod strzechyby uleciały.

Nazajutrz mówili znowu, i cały dzień niemal zszedł na rozważaniu—co lepiej; wkońcu p. Adryan postanowił o radę udać się do proboszcza.

Siadł na koń i ruszył. Zastać go w domu wcale łatwo nie było—tego dnia jakoś trafiło się, że dzieci na katechizm zwołał, i nie ruszał się nigdzie. Adryan mu wytłómaczył i powtórzył wszystko. Zamyślił się proboszcz, długo nie mówił nic. potem zasnuć, widać było, że sam dobrze nie wiedział, co radzić synowcowi, wkońcu rzekł:

— Czuryło znam dobrze, lepiej niż inni. gdyby ci to kto inny proponował, bez namysłu-bym rzekł: odrzuć, — jeżeli on z tobą być przyrzeka, ufam że złego się nic nie stanie. Człęk rozumny i stateczny.

Ja nic nie mam przeciw temu, ty, pomódl się, westchnij do Ducha Świętego i uczyn jak on natchnie.

Rozmawiali długo, i Adryan do domu wrócił, po drodze sobie już powiadając: spróbuję szczęścia.

Gdy o tem żonie oznajmił zapowrotem, płakała się Misia—uściskała, nie powiedziała nic!

Na dzień oznaczony przybył Czuryło, niespokojny i jakby rozgorączkowany. Czekano go we dworze, ale Misia nie chciała wyjść do niego; zdaje się, że żal czuła o to, iż jej męża odbierał.

— No—a zatem co będzie?

W milczeniu rękę mu podał młody Woroszyło.

— Rób zemną co chcesz—rzekł—a no—pamiętaj, drogi panie, ja się na was spuszczam: wam tylko będę posłuszny.

— Bądź spokojny — odparł Czuryło z powagą —

nawet gdybym umarł, nie będziesz w kłopotcie—da się na to rady. Warunek tylko jeden—o mnie nikomu ani słowa—ja muszę pozostać niewidzialnym. Bez tego nie.

Krótko się porozumieli dnia tego. Strukezaszyc wódki się napił, chlebem z solą zakąsił, i z powrotem odjechał.

Przez parę dni w Borkach na wiadomość oczekiwano; nie było żadnej. Już p. Adryan myślał, że się to wszystko rozchwieje — gdy list przywieziono od Podkomorzego, zapraszający go na obiad na jutro.

W dworku Wdroszyły wyjazd na obiad, do Kurzeliszek nawet, był — wypadkiem. Żona musiała powysłać o przystrojeniu męża, który w domu po prostu się nosił. Prasowano więc bieliznę, dobyto suknie z kufra, rękawiczki musiały być uprane, tyśnię drobnych rzeczy. Na pokrycie kałamażki czemś lepszym niż zwykły kilimek podarty, zdjęto kobierczyk z łóżka. Uprząż trzeba było wysmarować, aby się niezbyt zużyta, wydawała. Cały dzień trwały przygotowania. Odjeżdżającego krzyżem świętym przeżegnała Misia; na płacz się jej zbierało.

— Otóż się już zaczyna!—szeptała do siebie.

O kilka staj od Kurzeliszek na gościńcu spotkał p. Adryan Czuryłę, i zsiadł do niego z bryczki.

— Podkomorzy waćpanu proponuje—rzekł—proszę—o mnie jak najmniej lub nie mówić. Da ci list polecający, albo i p. Szczepana z wami wyprawi. Co się tyczy pieniędzy, bądź spokojny—dam ile będzie potrzeba. Tylko śmiało.

Nim do dworu doszli, Czuryło bokiem zwrócił się do oficyny, a Adryan zjechał sam przed ganek. Tu stał Jarmużka—znać mu kazano czatować—i poprowadził do starego pana.

Podkomorzego znamy już,—dawnego autoramentu człowiek, w życiu miał pewne formy, od których nie ustępował nigdy. Szanował każdego szlachcica, lękał się drasnąć, a do interesu nigdy nie przystępował z obcymi wprost—objeżdżał do koła, przygotowywał, próbował, insynuował, naprowadzał, i dopiero gdy pewien był gruntu, rzucił nasienie. Teraz też, poczęto się najprzód od ubolewania, że od takdawną sąsiada nie widział—od zapytań o gospodarstwo, o zdrowie, urodzaje, zasiewy. Rozmowa niemal sama przez się zeszła na Wojewodzinę, na zmarłego księcia, wspomniano o Kołłupajle, o długach; i tak nieznacznie, grzecznie, delikatnie znalazł się p. Adryan wobec propozycji, do której już wprzód był przygotowanym. Rezydent się nie ukazał, aż przed samym obiadem, gdy już Woroszyło oświadczył się skroinnie, że, jakkolwiek nie ufa swym siłom,—rozkazom jednak Podkomorzego będzie posłuszny, spodziewając się, iż mu światłej swej nie odmówi rady, i t. d.

U obiadu mowy o sprawie tej nie było. ale wnet po nim p. Szczepan z Woroszyłą przeszli znów do starego; tu się obszerniej rozgadano i postanowiono, że nazajutrz pojedą do Wojewodziny.

Czuryło wczasie tych pertraktacji, trzymał się milcząco, obojętnie, neutralnie, jakgdyby go to wcale lub mało co obchodziło—unikając mieszania się nawet do rozmowy. Niktby go, zdala patrzący, posadzić nawet nie mógł, że był sprężyną wszystkiego.

Wojewodzina obiecanego zbawcę przyjęła z wielką radością i zwykłą otwartością swoją.

— Interesów nie nie rozumiem, jestem stara kapryśnica — bez pieniędzy obejść się nie mogę. —

Rób pan co chcesz, ale ratuj mnie, a nieskończenie wdzięczną mu będę.

Woroszyło, zachęcony tą otwartością, ośmielił się też odezwać:

— Ja pani proszę o jedno tylko, ażebyś raczyła wszystkich petentów odsyłać do mnie i sama już, zdawszy się na swego sługę, nie mieszała się do niczego. Będą się pani skarżyć może na mnie, odwoływać do niej....

— Zamknę drzwi — odparła Wojewodzina — zatknę uszy, będę posłuszną. Zresztą, ja myślę polować, jeździć; w domu mnie rzadko kto zastanie

Tegoż dnia wszystkie papiery kazano zdać nowemu pełnomocnikowi, który jaknajobszerniejszą otrzymał plenipotencją. Przelekniony Hałandziez przybiegł do niego z poufną przyjacielską radą, aby ręki w guiazdo osie nie sadzał; lecz Woroszyło z zimną krwią mu odpowiedział, że już się cofnąć nie mógł.

Poszła tedy wieść po sąsiedztwie, iż pan Adryan otrzymał plenipotencją. Spokojne Borki do niepoznania się zmieniły. Wrot już zamykać nie było można bo odrana do wieczora nadciągały kałamazki, wózki, wozy, konie, bryczki. Wszyscy wpadali z lamentami, groźbami, narzekaniami, hałasem; i nieszczęśliwa Misia, słuchając zdała tego gwaru, ręce łamała z rozpaczą nad utrapieniem mężowskiem.

Obiecywała też sobie przy pierwszej zrzeczności wpaść zgóry na Czuryłę i wyłajać go nawet za to utrapienie, które na nich ściągnął

Kołłnpajło z innymi zastawnikami, umówiwszy się wprzód, a wiedząc iż pieniędzy w kassie nie było. formalny szturm przypuścili — o wykupno,

lub dopłaty. Ci, co mieli obligi oddawna płatne, grozili procesami i subhastacją.

W pierwszych dniach Woroszyło cierpliwie spisywał tylko pretensye, z krwią zimną odpowiadając wszystkim, iż długi zlikwidowane i opłacone zostaną.

Późnemi wieczorami, gdy się natrętni owi goście porozjeżdżali, przybywał potajemnie Czuryło. Najczęściej, ażeby nie być widzianym, wywoływał gospodarza do sadzawki w podwórzu; i tym sposobem nawet go Misia zbuzować nie mogła, bo go nie schwytała.

Niedosyć na tej biedzie z wierzycielami mnogimi, wprędce bardzo powołano Woroszyłę do Wojewodziny—która już nie miała więcej nad kilkadziesiąt dukatów.

Gdy nadjechał, wyszła do niego, na ręku niosąc tę garstkę złota i rzekła mu:

— Widzisz pan—to mój cały majątek. a ja pieniędzy potrzebuję i żyć bez nich nie mogę. Musisz mi pan dać pieniędzy.

— Jutro—rzekł kłaniając się p. Adryan.

Wojewodzina zadziwiła się mocno.

— Proszę pana—rzekła—wiem od Haładzicza że w kassie nic nie było, że od nikogo wpłynąć nie mogły, że nawet pan już kilku nndziarzy opłaciłeś ale, zkad-że pan bierzesz pieniądze?

— Wszak mi pani słowo dała nie mieszać się do interesów—zapytał uśmiechając się Woroszyło.

— Prawda, ale—pan chyba jesteś czarnoksiężnikiem?

— Wszystko się to później wyjasni, bez szkody dla pani—rzekł nowy pełnomocnik. Ja mam kapi-

talistów, co mi dostarczą pieniędzy, to moja rzecz. Wojewodzina się uśmiechnęła:

— Nie pytam, gdy niewolno—ale niepospolicie jestem ciekawą. Więc mogę rachować na to, że mnie pan zasilisz?

— Jutro—powtórzył Waroszyło.

— I nie będę potrzebowała ani zastawiać moich klejnotów, ani się pozbywać majątków?

— Obejdziemy się bez tego.

— Pan jesteś cudowny człowiek — dodała Wojewodzina—nie rozumiem, ale uwielbiam.

Tegoż dnia pojechała do Podkomorstwa, cała rozpromieniona.—Stary p. Kazimierz kazał się do niej wyprowadzić, bo był zawsze ciekawy tego „Heroda.“

Gdy od pierwszych słów poczęła mu dziękować za plenipotentą, Podkomorzy, który o jego czynnościach wcale nie wiedział, a znał jego ubożuchne położenie, zdumiał się tak, że zamilknąć musiał. Nie mieściło mu się to w głowie.

Chwaliła się nim Wojewodzina — to nic jeszcze, lecz nazajtrrz wpadł Kołłupajło zły i kwaśny jak ocet.

— Przybyłem ja podziękować, jaśnie wielmożnemu Podkomorzemu! a godzi się to nas biednych tak rugować i pędzić! Wojewodzina bezdzietna, co jej po majątku, szlachta-by się była zapomogła, bez krzywdy nieczyjej—a oto nas pędzą precz z zastawów.

Wiedzieliśmy, że pieniędzy nie mają, bośmy się o wykupy prosili—a tu, ni przypiął ni przyłatał, jak piorun z jasnego nieba, i pieniądze nam kładą na stół! Ot, jakeśmy wyszli z łaski Podkomorzego!

— Zlituj się, człeczko! dlaczego z mojej łaski! Co ci w głowie?

— A któż pieniędzy dał?—niby to my nie wiemy?

Któż tu ma pieniądze? Wojewodzina przyjechała, to wiem pod przysięgą od Hałandzicza z pięćdziesiątą czątych, a tu sypią dukatami jak plewą. Wykupili mnie i jeszcze do kalkulacyi ciągną — żeby świata nie oglądali! — Zapłacili Jerzykiewiczowi.

Podkomorzy aż się rozsierdził i pałnął się w pierś z całej siły.

— Słuchaj Kołłupajło — krzyknął, aż Jarmużka się w progu pokazał. Słuchaj — nie bądź, czego nie powiem. Klnę ci się na rany Pańskie, ja jej grosza nie dałem, albo ja głupi!

Kołłupajło niedowierzająco głową potrząsał, lecz po uroczystej przysiędze, już mu nic innego nie pozostawało, jeno żale rozводить okrutne i kłać na czem świat stoi, że go podstępnie z mańki zażyto.

Nadzwyczajnie się tem Podkomorzy poruszył, i zaraz po odjeździe szlacheica, pechnął posłańca do Woroszyły. Nie mógł pojąć zkąd się pieniądze wzięły. Zawołano Czuryłę i przed niego najprzód wytoczyła się sprawa.

Strukczaszye absolutnie nic o niczem nie wiedział. Jakoś mu potem wypadła przechadzka ku gościńcowi, gdzie się znowu spotkał z Woroszyłą. Długo mówili z sobą, i pełnomocnik Wojewodziny stawiał się przed Podkomorzym. Obaczywszy go stary, ręce wyciągnął.

— Oto mrę z niecierpliwości, żeby się z wami rozgadać! Zewsząd mi w uszy kładą, że cudów dokazujesz. Wykupiłeś Kołłupajłę, a ten mnie mało nie zjadł, posadzając, że ja dałem pieniądze. Zkądże te pieniądze wzięłeś dla niego i dla Jerzykiewicza?

Woroszyło tań czuprynę.

— Zachciał pan Podkomorzy — rzekł — ja mam mój system ekwilibryczny.

— Jak! jak! jaki—podechwyił stary.

— Ekwilibryczny — mówił wesoło Woroszyło— u jednego biorę a drugiemu oddaję i tak dalej.

— Ale któż ci daje? kto?

— Tego nie mogę powiedzieć, bom dał słowo. Pożyczam gdzie mogę. Gdy kilku spłacę reszta się uspokoi, a ze spokojnymi sprawa łatwiejsza.

— System... ekwi-li-bryczny! Daj go katu!—powtórzył p. Podkomorzy—ekwi-li-bryczny! Nigdy nie takiego polityka w waćpanu nie spodziewał.... Anim się domyślał tej zgrabności. Waćpana do naszego ministerstwa za podskarbiego wziąć powinni. Zaspakajałbyś dług hollenderski—pożyczając u Prusaka, a Prusaka — biorąc u Hollendrów. System ekwi-li-bryczny, a to mi, chwiał!

Śmiał się Woroszyło, począł się śmiać i stary, uwierzył czy nie, ale że się więcej dowiedzieć nie mógł, na wszystkie strony obracając Woroszyłę, musiał na systemie ekwilibrycznym poprzestać.

Wieczorem późno zjawił się Czuryło i musiał słuchać opowiadania starego, który mu rozmowę z plenipotentem powtórzył. Ciekawie bardzo dowiadywał się o wszystko.

— Widzi p. Podkomorzy—dodał— a nie miałem ja racji ręczyć za niego! To sprytny chłopak, jak ogień, okrutnie obrotny i ma swe stosunki w obywatelstwie!

— Nigdy nie tego po nim nie spodziewał — dobił Podkomorzy.

— A ja zupełną w nim miałem ufność, bo go znam dawno.

Z ukosa, dziwnie staruszek na rezydenta popatrzył; kto wie: jakie mu myśli mogły przychodzić do głowy.

Służba Wojewodziny była bardzo liczna. Kobieta samowolna i dziwaczna, miała szczególne upodobania w ludziach, i przywiązywała się często do takich, którzy najmniej może na to zasługiwali. Jednakże wśród tego dworu, którego połowa niczem się nie zajmowała i darmo chleb jadła, było też dosyć ludzi dla pamięci ojca i przez wdzięczność za długie, wierne służby, utrzymywanych. Między innymi, nigdy w podróżach wszystkich nie opuszczał swej pani stary, krzepki dosyć jeszcze kamierdyner Wałowicz. Ten, jak powiadał, na rękę ją niegdyś nosił — przywiązany był do niej nadzwyczajnie, wszystko, co robiła, tłumaczył i uniewinniał — wielbił ją — i utyskiwał tylko, że była na świecie najnieszczęśliwszą kobietą. Wałowicz świadkiem był całego życia, wszystkich przejść Wojewodziny, począwszy od pierwszego jej małżeństwa, do ostatniego. O ile bronił swej pani, o tyle, z respektem wszakże narzekał na ojca. Niegdyś mówiąc o nim, wyrażał się: — Odpowie przed Panem Bogiem — teraz po zgonie szeptał — niech mn Bóg nie pamięta.

Wojewoda też, mąż terazniejszy, nie miał łaski u niego. Po co się jemu było z nią żenić? po co? — mówił gniewnie temu staremu grzybowi. Powinien był słuchać syna, co mu po nogach pełzał, aby tego nie czynił, a jeśli teraz biedę ma i skowyczy — dobrze mu tak! Po co się stary żenił? po co?

Jadąc na wieś, jak zwykle, bez Wałowicza nie obešla się Wojewodzina; on trzymał kasę, on obraniał ją od napaści, choć najczęściej kończyło się na tem, gdy Wojewodzina nalegała mocno, że jej nietyko grosz, jaki mu powierzono, ale i swój własny oddawał.

— To nieszczęśliwa kobieta, trudno się jej sprze-

ciwić — mówił — tyle jej pociechy w życiu, że tam się tym groszem pobawi.

Stary kamerdyner miał wielką swobodę i nawzajem, gdy on czego żądał, Wojewodzina mu nie umiała odmówić. Choć do postugi się wcale nie zdał, niekiedy narzucał się pani i towarzyszył jej przez ciekawość, gdzie mu się podobało. Jedną razą zachciało mu się jechać do Kurzeliszek.

— Niechże ja też tych pocziwych ludzi zobaczę — rzekł — ta-to przecie oni jedni co Boga w sercu mają, i nad panią się ulitowali. Niech-że się im pokłonię.

Odmówić tej fantazyi starego Wałowicza niemożąc, rozśmiała się Wojewodzina i poklepawszy go po ramieniu, odezwała się: — No — to jedź.

Stary się wystroił pięknie, włożył dwa zegarki, pończochy i trzewiki z klamrami ogromnemi, i na kozioł się wdrapawszy, pojechał. W Kurzeliszkach nie miał co robić, a ciekawy był, poszedł więc do ogrodu, bo wszędzie wszystko widzieć musiał.

Traf chciał, że na końcu alei właśnie, mając wyjść już z ogrodu, natchnął się na niego — Czuryłol! Wałowicz zrazu obojętnie na niego spojrzawszy, potem się aż rzucił niespokojnie, jakgdyby go chciał zaczepić, pochwycić, czy spytać o coś — lecz Czuryłło zaledwie go spostrzegł, odwrócił głowę i zniknął.

Jakie minut dziesięć stał wryty w miejscu stary kamerdyner, z twarzą zmienioną, wylękłą niemal, jakby upiora zobaczył.

Jeszcze stał tak, gdy mu się nawinał ogrodniczek.

— Słuchaj-no — przyjacielu — odezwał się, dobijając parę groszy — widziałeś tego jegomości, co tędy przechodził — kto to taki jest? nie wiesz?

Rozśmiał się ogrodniczek.

— A! jakże, proszę pana-bym nie wiedział—toż—Czuryło.

— Czuryło! jesteś pewny, że Czuryło?— spytał zdziwiony Wałowicz.

— A! juścić, toć on u nas lat nie wiem wiele, ja jeszcze gęsi pasłem, gdy on tu już był. Podkomorzy go bardzo lubi. I to—dobry człowiek. Dobry, a pan go zna?

— Ja? a z kąd-że? Czuryło? — powtarzał Wałowicz.

Ogrodniczek stał długo i śmiał się z tego niezrozumego, który mógł niewiedzieć o Czuryle. Zdawało mu się to dziwaczne. Naokół cały świat znał Czuryłę!

Wałowicz powróciwszy z ogrodu, siadł w ganku zadumany. Tu mu wyniesiono lampkę wina, którą się pokrzepił. — Humor mu jednak nie poprawił. Wrócił do domu zadumany wielce i frasobliwy.

Wieczorem późno, gdy Wojewodzina siedziała w gabinecie zmęczona i znudzona — wszedł Wałowicz, którego twarz, znającej go dobrze paui. ozuajmiła, że coś miał ważnego do powiedzenia.

— Cóż tam. mój Jerzy? z czemś przychodzisz!— spytała.

— E! nic—rzekł kamerdyner—nic.

— Coś jest przecie.

— Mała rzecz.

Chrząknął. — Jak pani kiedy będzie zuowu u Podkomorstwa—proszę zapytać: co-to oni za rezydenta tam mają?

— Jakiego rezydenta? nie widziałam tam żadnego.

— A ja widziałem—rzekł stary. Zbliżył się do stołu.

— Tak mi Boże dopomóż—choć zestarzał—a no-
bym przysiągł, że—Piatnicki.

Nazwisko wymówił pocichu, Wojewodziua zerwa-
ła się z kanapy, oczy jej dziko zaświeciły.

— Co pleciesz! to być nie może! nie może!

— No — to mi się przywidziało — odparł Wało-
wicz.

Wojewodziua po chwili padła na kanapę i kazała
sobie opowiedzieć spotkanie. Kamerdyner był po-
słuszny. Gdy skończył — Wojewodzina spuściła
głowę i milczeniem dała mu poznać, by odszedł.

Niecierpliwa i nieznosząca żadnej przeszkody
w tem, czego pragnęła, Wojewodzina chciała
wyjaśnić natychmiast wątpliwość — i do trzecie-
go dnia nie wytrzymawszy, pod pozorem powro-
tu z polowania, konno, ze strzelbą na plecach, zja-
wiła się w Kurzeliszkach. Ten niezwyčajny strój,
przybór i orszak, który miała z sobą, naprzód z ca-
łej wsi ludność wywołał. Tłumy biegły, aby się
zręcznej i śmiałej amazouce przypatrzeć. Gdy sta-
nęła przed gankiem, p. Szczepanowa nawet wyszła
podziwiać ją. Dano znać staremu Podkomorzemu,
ale ten ciekawego widowiska nie mógł być świad-
kiem. Przybył gdy Wojewodzina siedziała już na
kanapie, a małeńką jej i wielce elegancką fuzyjkę
p. Szczepan oglądał z ciekawością. Było-to arcy-
dzieło w swoim rodzaju; strojna jak cacko, wysa-
dzana, rzeźbiona, leciuchna, a biła kulą o kilkaset
kroków.

Wojewodzina, jak zawsze, siedziała z głową zwie-
szoną, smutna i jakby zmęczona, poglądając dokoła
z roztargnieniem. Przywitała starego usmiechem
trochę żywszym i poczęła z nim rozmowę. Podko-

morzy mówił, patrzył na strój i fuzyjkę z podziwieniem, na właścicielkę obojga z tłumioną grozą.— Kobieta konno i zbrojno wydawała mu się czemś niemal grzesznem i bezbożnem, nawykł kobiety wszystkie był widzieć u krosien i kolebek, posłuszne i ciche. Ta żyła dla siebie i sama w sobie. W jego oczach był to buntowniczy powój, który pozwolił sobie na drzewo wyrosnąć.

W chwili gdy p. Szczepan był się na bok trochę usunął, a żona jego wyszła zając się podwieczorkiem, Wojewodzina wygodnie podparta na kanapie, nagle spojrzała na starego, jakby go wzrokiem chciała wybadać do głębi, i zagadnęła go:

— Co to pan masz za rezydenta u siebie? nie jest to niejaki Piatnicki?

Podkomorzego, już po raz drugi usłyszane imię to, zaaplikowane do Czuryły, niezmiernie uderzyło—na chwilę zmiłkł z podziwienia.

— Nie znam żadnego Piatnickiego—rzekł—nigdy u mnie żaden Piatnicki nie był. Siedzi u mnie niejaki Czuryło—inne rezydenta nie mam.

— Dziwna rzecz—dodała Wojewodzina, mojemu staremu kamerdynerowi zdało się, że go poznał.

Stary ruszył ramionami i w duchu tylko pomyślał:

— A to osobliwsza rzecz z tym jakimś Piatnickim! niepojęta.

Przybyła pani nie nalegała, zadumana, sparta się na rękę i jakiś czas pogrążona w myślach pozostała z oczyma w okno wlepionemi.

Że p. Szczepan był trochę myśliwy, zaczęła się potem rozmowa o polowaniu. Przybyła pani napiła się kawy, siadła na koń i pokłusowała; Podkomorzy patrząc na nią przez okno, zegnał się, jakby odganiał precz siłę nieczystą.

Mniej go jednak może widok ten niewzyczajny poruszył, niż powtórne już wspomnienie owego Piątnickiego. Rodziło się w nim podejrzenie, iż to jednak bez podstawy być nie mogło. Ludzie sobie nieznani, którzy się godzili na to, że w Czuryłe kogoś innego widzieć chcieli—to dawało do myślenia. Nie mógł się stary uspokoić w żaden sposób, i oczekiwał tylko na przybycie rezydenta, ażeby go o to pozwać i rozmówić się z nim otwarcie. Rozmaite tajemnice otaczały tego zagadkowego człowieka, który mógł nie być tym, za kogo się sprzedawał. Przychodziło na myśl i to staremu, co mu wyjawiał proboszcz. Rodziły się podejrzenia, i z tego że się tak dziwnie jął zabiegać około interesów Wojewodziny.

Staruszek modlić się nie mógł, rozpoczynał koronkę coraz nanowo, niepokoił się—czekając na godzinę, o której zwykł był przychodzić Czuryło.

Właśnie, jak na złość, przypóźnił się dnia tego, i nierychło pokazał się w progu ze swem:—Dobry wieczór.

— Gdzieżeś to bywał?... a no już godzina spóźniona—rzekł do wchodzącego Podkomorzy.

— A no—wiem, ale się po lesie trochę włóczył, i zadaleko zabiwszy się, ledwie teraz powróciłem.

Niepodobna było przyjść do tłumaczenia odrazu; stary potrzebował naprowadzić rozmowę zwolna, i—choć się niecierpliwił, gwoli obyczajowi i przyzwoitości, kołował długo.—Czuryło też był dosyć dnia tego milczący.

— Myśmy przecież, kochany Strukczaszy, odezwał się nareszcie—przeżyli z sobą, możemy powiedzieć, kopę lat, zjedliśmy niejedną beczkę soli—no—i ja,

stary twój przyjaciel, nie zasłużyłem sobie na zaufanie. Wiesz, że to mnie boli.

— Jakto? w czym? zlituj się pan? — podchwycił, jakby przestraszony Strukeczaszy, zbliżając się do niego.

— Gadaj sobie asindziej co chcesz—ciągnął dalej staruszek—waćpan dla mnie masz tajemnice—nie jesteś tak zemną jekby ze starym, wypróbowanym przyjacielem być należało.

— Ale w czymże? w czym? nalegał Czuryło, ręce łamiąc.

— Taisz się z wielą rzeczami—bodaj nawet z precedencyą własną,—odważył się nareszcie wypowiedzieć Podkomorzy.—Cóż to ma znaczyć, że już oto drugi głos słyszę, który waćpana miauuje jakimś Piatnickim?

— Kto? kto?—zakrzyknął Czuryło, który się cofnął ręce rozkrzyżowawszy.

— A no—kamerdyner Wojewodziny, powiada, że w was poznał jakiegoś Piatnickiego—i Wojewodzina mnie dziś o to pytała?

Czuryło pobladł, czego o mroku nie postrzegł stary pan.

— Wojewodzina pytała?—powtórzył.

— Ale tak — słowo daję—*Obstupi*. Zubko już raz o tych Piatnickich prawik. Cóż to znaczy? co to ma znaczyć?

Czuryło stał milczący, z głową zwieszoną na piersi — Podkomorzy odchrząkiwał, budząc go do odpowiedzi—namyślał się długo.

— Cóż ja mam na to powiedzieć.—rzekł wreszcie głosem zniżonym i zmienionym, który, zdawało się, wychodzi gdzieś z głębin jakichś, tak był głuchy

i słaby—co ja mam na to powiedzieć, że się tam komu podoba we mnie jakieś widmo upatrywać?

— Ale przecie to rzecz extra-ordynaryjna, gdy się dwie osoby godzą? — podchwycił p. Kazimierz.

— A tak! extra-ordynaryjna—mówił ciągle cicho, w szyderski ton przechodząc powoli, Czuryło — w istocie, gdy ci dwóch powie, żeś pijany—idź spać. Więc i mnie nie pozostaje być nikim innym tylko jakimś Piatnickim? hm? tak pan znajduje?

Mowa Czuryły była tak dziwną i niezwykłą, że się Podkomorzy uląkł i chciał naprawić co popsuł.

— Ale wyexplikuj-że mi to waszeć? — rzekł — ja pytam.

— A cóż tu explikować? — podchwycił rezydent wdychając—trzeba się zdać na wolę Bożką, która człowieka ztąd chce wypędzić—i w świat ruszać.

— Co znowu! cóż zaś! — wykrzyknął Podkomorzy—co ci w głowie Czuryło? oszalałeś czy co?

Rezydent ani słowa nie odpowiedział, stał niepodnosząc nawet wzroku.

— Ja przecie nie chciałem ci przykrości uczynić! tak mi Boże dopomóż! Trudno-ż tać się, nie spytać nawet! Cóż ty dziecko jesteś czy co? mnie, staro masz za jakiegoś dziwaka.

Czuryło zbliżył się wolnym krokiem do niego, z oczyma zażawionemi, i milcząc począł go ścisnąć, a ze łkaniem prawie przemówił:

— Wierz mi pan! że ja jego dobroć i łaskę dla mnie długoletnią, szacować i wdzięcznym za nią być umiem—wierz mi pan! Nieznając mnie przyjąłeś, dałeś przytułek, co więcej — sercaś mi dał trochę. Przywiązałem się do was jak do rodziny, byliscie mi rodziną, niech Bóg płaci! niech Najwyż-

szy zsyła na, was za to swe błogosławieństwa, i cisnął starego w objęcia, a popłakali się oba. Podkomorzy przekonany był, iż na tem się już wszystko skończyło, mruzczał coś, nieśmiejąc wrócić do pierwszego przedmiotu. Dano znać do wieczery i rezydent otarłszy starannie oczy, uspokoiwszy się, przybrawszy powszednią swą postać i twarz, poszedł zwolna do stołu. Tu cały czas mowa była o Wojewodzinie, słuchał więc tylko, nie przerywając. Pani Szczepanowa zauważyła, że był smutny i pogrążony w sobie. Zapytano go co mu jest, przyznał się, że był nie bardzo zdrow. Pan Szczepan śmiejąc się, radził mu trochę spoczynku, i przypomniał, że w starszych latach takie ciągłe jeżdżenie konno, długie przechadzki, niezawsze służą — życzył wyleżeć się, wydychać.... nie tak bardzo ruszać z domu.

Po wieczery, poszedł Czuryło dać jeszcze dobranoc staremu, i prędzej niż zwykle do swej oficyny powrócił.

Drugiego dnia, mimo wczorajszego niezdrowia, wyjechał zrana do Borków, a powracając wstąpił do proboszcza, gdzie dopóżna zabawił. Gdy do dworu przyjechał, Podkomorzy w łóżku już leżał i nie szedł nawet do niego. Jarmużka tylko, wedle dyspozycyi, dał znać panu, że Strukczaszyce nareszcie przybył. Ludzie uważali, jak mówili później, że w oficynie się świeciło bardzo długo. Na brzask się zbierało, gdy niosąc swe juki w rękę, co stróżę widzieli wartujący przy dworze, wyszedł Czuryło z oficyny, udał się do stajni, konia sobie osiodłał, przytroczył do siodła zawiniątko, i cicho z podwórza wyruszył. Lecz, że to się nie jeden raz trafiało — nikt się temu nie dziwował. Rano, gdy na Jar-

mużkę zawołał Podkomorzy, aby okienice otwierał, razem mu dał dyspozycyą, żeby Czuryłę do niego prosił.

W dobry kwadrans powrócił chłopiec, kręcąc palce i wyłamując je, co zawsze zwiastowało, że miał jakieś ciężkie posłannictwo do wytłómaczenia.

— Proszę jaśnie pana—rzekł—nie wiem co się to ma znaczyć—pana Czuryły już niema i—proszę pana, ludzie gadają, że wszystkie swoje rzeczy zabrał. Ja tam nie wiem.

— Idź-że mi zawołaj kogo rozumniejszego od siebie—zahałasował Podkomorzy, - bałwanie jakiś!

Jarmużka wyskoczył, spotkał się z p. Szczepanem, trzymającym jakąś kartkę w rękę, i wytłómaczył mu z czem był posłany. — Pan Szczepan szedł właśnie do ojca.

— No— cóż znowu, słyszę — Czuryło wyjechał? Czy go co opętało!

— A wyjechał— odezwał się p. Szczepan — wyjechał nawet, zdaje się, że na dłużej niż zwykle, bo pismo do nas zostawił.

— Gdzie? jakie? pokaż? Jarmużka, okulary! dawaj tu okulary.... począł, zrywając się Podkomorzy. Otóż tobie masz! otóż masz!

Stary się zmieszał mocno, bo mu zaraz na myśl przyszło, że mógł być przyczyną jakiegoś desperackiego kroku. List Czuryły brzmiał jak następuje:

„Jaśnie Wielmożny Podkomorzy, Dobrodzieju, Jaśnie Wielmożni Państwo Szczepanowstwo.... Jestem zmuszony gościnny, łaskawy dom wasz, który tyle lat mi za przytułek służył—opuścić. Darujcie mi, iż czynię to bez pożegnania, sobie serca nie chcę zakrwawiać, ani wam niedolą się moją naprzykrzać. Bóg jeden wie czy się na tym ziemskim padole pła-

czu zobaczymy jeszcze—ja wątpię. Niegdyś myślałem, że tu złożę głowę i dokończę życia mizernego; okoliczności mi nie dopuściły—święć się wola Boża. Przyjmijcie państwo wyrazy wdzięczności mojej nieograniczonej, za wszystkie lch łaski, i wierzę, że lat spędzonych z Nimi nie zapomnę do zgonu. Niech wam Bóg nagrodzi i t. d.“

Podkomorzy, w którego rękach list drżał, dokończyć go nie mógł; wypadł mu z nich na ziemię, rozpłakał się stary i zamilkł.

— Otóż masz — wybąknął — oto masz, niezręczność moja. — To ja winienem. Ale któż się mógł tego spodziewać! Obraził się nieborak!

Szczepan usiłował dowodzić, że fantazyja ta przejdzie Czuryle i rezydent powróci; że już tyle razy na czas dłuższy wyjeżdżał, i zatęskniwszy zjawiał się znowu. Podkomorzy był niepokieszony. Nikomu pewnie więcej nie mogło braknąć rezydenta niż jemu. Bez niego pusto było i smutno, tracił słuchacza sympatycznego człowieka, do którego był nawykł i przyrósł.

W całym domu zresztą żal po Czuryle był niezmierny. Oprócz listu na stole, znaleziono dosyć znaczny datek dla służby we dworze, na ręce pana Szczepana adresowany, do rozdania według notatki. O Jarmużce nawet rezydent nie zapominał.

Przez cały dzień nie mówiono o niczem, tylko o odjeździe jego, a gdy wieczorem przybył ksiądz Woroszyło, pierwszym słowem, którem go przywitał Podkomorzy, było:

— Wiesz ty o naszym nieszczęściu? wszak to Czuryło nas opuścił!

Proboszcz nie okazał zdziwienia.

— Wczoraj wieczorem jeszcze — odezwał się, wie-

działem o tem jego postanowieniu! Był u mnie dopóżna.

— Jakto! i nie starałeś się go wstrzymać? zreflektować?

— Pracowałem nad tem długo, i wszelkimi siłami, lecz to człowiek twardy w postanowieniach. Nie mogłem wymódz na nim nic. Zostawił w moich rękach papiery jakieś— i — jak mówił—testament. Napróżnom się dowiadywał: gdzie się chce udać, gdzie go szukać mamy? odpowiedział mi, że sam nie wie dobrze, dokąd się schroni.

— Nie mówił co go do tego skłoniło? — spytał Podkomorzy.

— Nie wiem, wyrozumiałem tylko z tego, co kilkakroć powtarzał, że nikomu ciężarem i przyczyną niepokoju być nie chce. Wyjechał z żalem. Kazał mi jeszcze pożegnać państwa.

Cały wieczór mówiono tylko o Czuryły; przyznał się staruszek, do tego, że go niepotrzebnie badał i tem mu przykreść mógł uczynić. Z rodzajem gorączki położył się spać, a nazajutrz, choć zwykle poszukiwania Czuryły, nigdy do żadnego nie doprowadzały skutku, kilku ludzi w różne strony, do miasteczek porozsyłano na zwiady, czy go gdzie nie znajdą. Pan Szczepan widząc ojca tak zalterowanym, sam też się krzątał i robił co mógł.

Proboszcz, który wiedział o stosunkach Czuryły z Adryanem, pojechał w tym celu do Borków. Tu się dowiedział, że Czuryło był dniem wprzód i pod słowem honoru zakławszy Adryana, iż nikomu adresu jego nie da i nie pokaże, na wypadek potrzeby jakiej, dał mu wskazówkę, dokąd ma wysyłać listy. Nie mógł proboszcz wymagać od synowca, aby tajemnicę poręczoną zdradził, lecz polecił mu

mocno, aby pisał natychmiast i starał się go skłonić do powrotu, oznajmując o tem jak go w Kurzeliszkach opłakiwano, jak stary nadewszystko gryzł się i martwił tą myślą, iż był przyczyną odjazdu jego.

W istocie, staruszek ciągle mówił o Czuryle i uspokoić się nie mógł, a gdy w tydzień potem przybyła znowu Wojewodzina, nie mógł wytrzymać, aby i jej się z tem nie wygadał.

— Wie pani, że oto, dziwnym trafem, rozmowa jej ostatnia zemną, była przyczyną niemilego dla nas wypadku.

— Jaka rozmowa?— spytała zdziwiona pani.

— Byłem zapytany przez nią o rezydenta, o tego pocziwego Czuryłę, którego jej kamerdyner nazwał przez omyłkę — Piatnickim. Cóżem miał to przed nim taić? Ponieważ już po raz drugi się trafiło, że go za Piatnickiego wzięto ...

— Jakto? po raz drugi? — wtrąciła niespokojnie Wojewodzina—po raz drugi?

— Tak było w istocie—ciągnął dalej Podkomorzy, i dlatego mu demonstrował, że — coś w tem jednak być musi.

Czy się obraził tem podejrzeniem, czy niewiem co do niego przystąpiło—słowem—uciekł, wyniósł się, ani słychu o nim.

Stary westchnął. Wojewodzina bardzo jakoś żywo wydawała się tem zajęta; obeszło ją to nadzwyczajnie, poczęła się dopytywać, badać, o czas przybycia, o pobyt, o człowieka, i niemal przez cały czas swej bytności w Kurzeliszkach, o tem tylko mówiła.

Dziwił się nawet Podkomorzy, iż ją to zajęło tak mocno, i wziął ztąd assumpt. do pytania Wojewo-

dziny: co-to za jeden był ów Piatnicki, za którego Czuryłę wzięto.

Zarumieniła się nieco Wojewodzina, nśmieszo smutny przebiegł po jej ustach zbladłych—namyślała się trochę nad odpowiedzią, lecz nienawykła do półsłówek i tajenia nawet najdrażliwszych rzeczy, rzekła spokojnie:

— Stare to dzieje, panie Podkomorzy—śmieszno je już dziś, starej, jak ja, kobiecie, wspominać. Piatnicki ten był na dworze ojca mego; ja byłam wówczas młoda, roztrzępana, spragniona życia którego nie znałam. Otwarcie panu powiem, Inbiłam go bardzo, on się kochał we mnie. Naturalnie. ojcu nieboszczykowi stosunki się nasze nie podobały.... Znalazł go raz u nóg moich.... klęczącego.... i srogo się pomścił na nim.... Znałeś pan ojca mego i jego dumę. Mnie wywieziono.

— Piatnicki mszcząc się zniewagi swej, strzelił do księża.

Tu zamilkła Wojewodzina, zacięła usta, łza jej z oczów pociekła. Podkomorzy siedział strapiiony, że wywołał wyznanie tak przykre; lecz wnet wstała Wojewodzina, pożegnała się pośpiesznie i odjechała.

Wszystko razem kombinując później na osobności Podkomorzy, przyszedł do tego przekonania, że w istocie ów Czuryło musiał być Piatnickim. Szczególniej zatem przemawiało jego zajęcie się interesami księżnej, choć, nie wiadano w Knrzeliszkach, z jakimi ono ofarami było połączone.

Uwaga na chwilę od nieszczęsnego rezydenta oderwaną została przybyciem prawdziwie niefortunnnem, samego Wojewody, który, wierny przywiązaniu swojemu do żony, stęskniwszy się za nią, je-

dnego dnia zjechał do rezydencyi. Stała się historia jakaś straszna, bo Wałowicz wyszedł do niego z uszanowaniem, oznajmując, iż jaśnie pani przyjąć go nie może. Wojewoda chciał naturalnie rozłokować się, ale dla niego ani miejsca, ani kątka nigdzie nie było, nawet na folwarku i w oficynie.

Niekazując najmniejszego za to gniewu, ani niecierpliwości, pan Wojewoda, do karczmy odjechać kazał, oznajmiając Wałowiczowi, iż poczeka i codzień się submitować będzie, dopóki pani go przyjmą nie zechce.

Jakoż zawrócono do austeryi na trakcie, służba wyrzuciła żyda precz — z bebeczami — wykadzono, wybito, urządzono Wojewodzie jakotako kwaterę, a dwór jego zajął się akomodowaniem karczmy do dłuższego pobytu.

Wojewodzina zamknęła się hermetycznie. Codzień z austeryi dążył kamerdyner do rezydencyi z zapytaniem: czy jaśnie pani przyjmuje jaśnie pana? i wracał z odpowiedzią, że jaśnie pani jasnego pana przyjąć nie może. Wałowicz z panem Lemoine, kamerdynerem Wojewody odbywali tę ceremonią serio, kłaniali się sobie, i rozchodzili uieśmiejac.

Trzeciego dnia, znudzony Wojewoda, pojechał w odwiedziny do Kurzeliszek, choć Podkomorzego nie znał. Wiedziano tu już o jego przybyciu, lecz się nie spodziewano u Podkomorstwa.

Wojewoda był mężem wielkiej powagi i taktn, zimnym, grzecznym, arystokratycznym w obejściu, i równie zamkniętym, jak Wojewodzina była otwartą. Nie zaczął więc w rozmowie wcale stosunku swojego z żoną, nad której słabem zdrowiem ubolewał właśnie w chwili, gdy ona, korzystając z wy-

jazdu męża do Knrzeliszek, wyruszyła w lasy na polowanie, nieobiecując się prędko z powrotem.

Z panem Podkomorzym mówili *de publicis* tylko, o których wiele się można było w istocie dowiedzieć od wpływowego i czynnego statysty. Codzień przychodziły mu kresy z Warszawy i gazety, nietylko krajowe ale nawet Hamburskie i Lejdejska.

Wojewoda o żonie mówił z rewerencją i przywiązaniem gorącym, wcale niemyśląc obcych wtajemniczać w swe stosunki z nią, ani się na nią uskarżając. Humor nawet umiał przy obcych utrzymać taki, iż go posądzać nie było podobna o żal do niej i nieukontentowanie.

Podkomorzemu nadzwyczaj się podobał, i nie mógł pojąć jak ta kobieta poznać się na nim nie umiała. Wiek dosyć podeszły Wojewody, tak sztuka umiała jakoś zneutralizować, że można go było wziąć za średniego wieku mężczyznę.

O Czuryle odtąd wcale już słyhać nie było.

Młody Woroszyło spełnił polecenie proboszcza: napisał z naleganiem i prośbą, aby powracał, malując mu jak go w Kurzeliszkach żałowano, jak po nim tęskniono. Na list nie odebrał żadnej odpowiedzi.

Później już utrapione interesa Wojewodziny, na które ciężko dać było rady, zmusiły go do odezwania się z prośbą o pomoc pieniężną. Nieznany człowiek w parę tygodni przywiózł mu sumę żadaną, ale bez listu. Czuryło znaku życia nie dawał.

Na sumieniu go miał Podkomorzy i starał się to odpokutować. Niemożna mu było wspomnieć teraz

o ulubionym rezydencie, a gdy przypadkiem imię jego na ustach się znalazło, staruszek się chmurzył, spuszczał oczy i milczał. Na święta Bożego Narodzenia tego roku, zjechała wnuczka z mężem, i była radość wielka w Kurzeliszkach. Stary się ożywił.

Pierwszego dnia zapomniano przestrzedz panią Izabellę, aby nie wspominała o Czuryłe, i ta, bawiąc dziadka, odezwała się znienacka:

— Wie dziadunio, kogo ja widziałam?

— A no? nie wiem.

— Czuryłę, przynajmniejbym na to przysięgła, że to on, przecie ja się omylić nie mogłam. Byliśmy z mężem w Kamieńcu, w kościele u Dominikanów; niespodzianie, patrzę, klęczy ktoś i modli się, widzę najwyraźniej—Czuryło. Takem się ucieszyła, chciałam go złapać zaraz po nabożeństwie, ale mi znikł, nie wiem gdzie i jak, bez śladu. Mój mąż latał za nim. dopytywał się i dopytał tylko Piatnickiego, który już był odjechał.

Podkomorzy znowu się spotkawszy z tem nazwiskiem, ręce aż podniósł do góry z podziwu—ale nie chciał mówić nic.

Nierychło zapytał jak wyglądał ten Czuryło, jak tam było koło niego, czy nie zmizerniał; a p. Izabella zaręczyła, że go wcale nie znalazła zmienionym, tylko odrobinę postarzałym.

Znowu tedy odżyła trochę pamięć rezydenta.

Wojewodzina siedziała ciągle u siebie na wsi, przerabiała dom, bawiła się na różne sposoby, zakładała nowy ogród, urządzała polowania, jeździła konno, zwiedzając okolice. Mąż jej wysiedziawszy napróżno dwa tygodnie, wostatku bilecik do niej posłał, prosząc o posłuchanie pożegnalne, bo był zmuszonym odjechać do Warszawy, a znajdował, że

śmiesznemby było wracać niebędąc przyjętym wcale. Wojewodzina dała się wreszcie ubłagać, i przyjęła męża w salonie, na minut dziesięć. Rozmówili się grzecznie po francuzku, przyczem oświadczyła mu, iż żyć z nim nie będzie, ale każde z nich z osobna, bez rozwodu—dalej może swobodnie się jak dotąd poruszać.

— Rozwodu nie potrzebuję, bo głupstwa tego, bym czwarty raz szła za męża, popełniać nie myślę, a spodziewam się, że i pan o związkach małżeńskich nie marzysz. Siedź więc sobie w Warszawie; ja póki będę mogła wytrwać, zostanę na wsi, lub powlokę się za granicę. Nic od pana nie żądam, o nie nie pytam, do niczego nie zawadzam, nie rozumiem żeby więcej po mnie wymagać można. Jestem najlepszą żoną w świecie.

Wojewoda rachował na ruinę interesów i ofiarował pomoc swą, której nie przyjęto, interesa cudem jakimś poprawiły się. Nawet Hałandzicz, który przepowiadał najokropniejsze następstwa, przyznawał, że takiego człowieka jak ten Woroszyło, drugiego na świecie nie było.

— On, panie, powiadał—on—z próżnego nalewał

W istocie zastawników poskupywano, większą część wierzycieli była spleciona, a reszta uspokojona o swe należności, przyjęła warunki łagodne. Na gospodarstwo zaglądał pilnie młody plenipotent, i Hałandzicz, choć wzdychał do tych czasów, gdy był tn panem wszechwładnym,—musiał go słuchać, a gorliwie chodzić koło roli i ziarna.

Wojewodzina miała na swe potrzeby i fantazyje dosyć pieniędzy, choć niektóre z nich kosztowne bywały, bo czasem po sprawunki najdziwaczniejsze na drugi koniec Europy posyłano, a gdy nadeszły,

Wojewodzina jnż ich nie potrzebowała, i nie chciała na nie patrzeć.

Zawiedli się jednak ci, co się po niej jakiegos skandalu spodziewali. Bawiła się wszystkim, a nie tak dalece nie brała do serca. W zapusty postanowiła bał wydać dla sąsiedztwa; poszły zaproszenia do znajomych i nieznanych. Zbiegło się ludzi mnóstwo, szczególnie młodzieży, która mniej więcej słyszała coś o życiu pani tej—o jej stosunku z mężem i marzyła trochę o pochwyceniu serca i majątku. Klucz był na oko bardzo okazały—dobra książęca, a dziedziczka wcale nie stara, i, choć się nie starała być piękną, jeszcze nią była. Między innymi, niejaki Wągajło, młodzian wychowany zagranicą, daleki nawet kuzyn nieboszczyka księcia, wkręcił się tytułem pokrewieństwa do domu i począł słodkie oczy obracać ku Wojewodzinie.

Być może, iż ją to w początku bawiło; Wągajło śliczny chłopiec, oszlifowany gładko, zręczny, miły — wkrótce powziął jaknajpiękniejsze nadzieje. Sądził się niezwykłym. Wojewodzina puszczała mu cugle śmiejąc się, i nie odbierała złudzeń. Zapraszała go, dawała mu się popisować z dowcipem, przyjmowała go w różnych porach, tak, że adorator już myślał o rozwodzie. Był prawie pewnym swego.

Tymczasem, gdy się tak karcił nadziejami, nie wiedział wcale, że Wojewodzina ile razy była u pani Szczepanowej, ze śmiechem o jego zalotach opowiadała, jak o komedyi, która jej nudy wiejskie przerywała. Zwała go—swoim nieocenionym Wągajłą. — Czasem chód jego, miny i uśmiechy prze-drzeźniała zabawnie.

Jednego wieczora wreszcie, kuzyn przekonany, że stanowcza godzina wybiła—rzucił się do nóg belli

z oświadczeniem afektów gorących. Zgóry patrząc na klęczącego, Wojewodzina poczęła się śmiać niemal do rozpuku. Kazała mu otrzeć kolana i usiąść spokojnie na krześle.

Kuzyn miał imię Józefa, a że Książę synowiec króla, to samo imię pieszczone miał przerobione na Pepi—i on też poufale zwanym był podobnie.

—Widzisz, mój Pepi—jak ty nie kobiet nie znasz, i jak najdroższy swój kapitał sercowy źle umieścić. Czyż tego nie widzisz, że ja jestem zbankrutowaną zupełnie i oddawna, że we mnie niema iskierek uczucia, a nawet ciekawości.

Nie przeczę, że jesteś ładny chłopak i miły—ale jak się tobie mogło zdawać, żebym ja taka już stara, doświadczona, mogła sobie dobrowolnie kupić taką biedę jak miłość? Mój Pepi! sam miarkuj, jakabym ja była nierozsądna i politowania godna!

Prawda, że się czasem nudzę—ale czy ty-byś mnie długo mógł zabawić? Nie—bo ja się niczem długo nie bawię. Byłbyś zemną, kapryśnicą, najnieszczęśliwszym z ludzi: przez samą litość muszę sobie ośmówić tej fantazyi.

Tak, może przez pół godziny, szyderstwem karcąc zuchwałego kuzyna, skończyła Wojewodzina na ten: że się wcale gniewać nie powinien i że może bywać u niej, ale sobie dzieciństwo wybić z głowy.

Potem, ponieważ było późno, a odsadzony galant rad był ze swym wstydem uciekać conajprędzej, zadzwoniła na drzemiącego Wałowicza, kazała ze świecą odprowadzić Wągajkę i dać mu latarnię do domu, bo noc była ciemna.

Sama potem, nielitościwie się śmiejąc, powtórzyła całą historią przed milczącą panią Szczepanową. Młodzieniec, w kilka dni uciekł z okolicy, tak mu

yło wstyd i przykro, iż się na śmieszność naraził. Posuwali się tam i inni, ostrożniejsi—lecz cofali zawczasu, zmiarkowawszy co ich czekało.

Stary Podkomorzy od wyjazdu Czuryły, mocniej jeszcze się posunął, podupadł, i prawie się już nie ruszał, tylko z krzesła do łóżka i odwrotnie. Do salonu i gości nie miał ochoty; rozmowa go nużyła. Modlił się, rozpytywał o barometrum, o gospodarstwo i wpadał w ten stan apatyczny, starcem właściwy, który jest pół-snem, pół-czuwaniem — nieustanną drzemką i marzeniem. W dni świąteczne rozbudzał go gwar, wspomnienie dawnych lat; ożywiał się na chwilę, lecz każdy taki wysiłek później go mocniej jeszcze wycieńczał.

Przybycie wnuka, syna pana Szczepana, który rodziców odwiedzał, działało także na dziadunia w początku, ale Ignaś na wieś przyjechawszy, polował, latał, bawił się, przylatywał na momencik i mało go było widać. Tęsknota po Czuryle zawsze się przypominała. W duszy nazywał go czasem—niewdzięcznikiem, a przed księdzem powtarzał:

— Co tam się z tym nieborakiem dzieje? gdzie się on podziewa. Żeby się też nie odezwać i pary nie puścić!

Następnego roku, na św. Kazimierz, gdy się dużo gości zjechało, których Podkomorzy już w swym pokoju pokolei przyjmował, bo-by się nie pomieścili razem wszyscy—przybył i pan Adryan Woroszyło z wesołą bardzo twarzą.

— Mam dla pana Podkomorzego dobrodzieja wiązanie—rzekł—ale nie od siebie.

— A od kogóż?

— Proszę zgadnąć—od starego, bardzo starego przyjaciela.

Sekret pana Czuryły

— Co u licha? Juścić?

Westchnął i nie dokończył Podkomorzy.

— Od Czuryły—dokończył, dobywając coś zawiniętego w papier starannie, Woroszyło.—Nieznajomy człek przywiózł mi to z karteczką, abym na św. Kazimierz sam wręczył p. Podkomorzemu, z życzeniami zdrowia i pomyślności.

— Et! z pozwoleniem, już nie powiem na jakie imię zasłużył — odezwał się, w drżące ręce biorąc pakiecik, stary—lepiejby był zrobił, żeby zamiast wiązania sam się przystawił.

— Ale—cóż mi on mógł przysłać?

Okazało się, że wiązaniem był różaniec jerozolimski, do którego dołączone było świadectwo pochodzenia i poświęcenia u grobu Pańskiego. Podkomorzy całując go, zapłakał. Chodził potem ten dar, oglądany z rak do rąk, i nadziwować mu się nie mogli wszyscy. Ztąd rozmowa o Czuryle, wspomnienie jego chandr i tajemnic, jakie go otaczały.

Najlepszy w świecie człowiek, mówił stary do gości—ale że kiedyś coś musiał skrewić i że tam w jego życiu zaszły jakieś dziwne okoliczności—to przecie pewne. Taił się zawsze, znikał, jeździł. coś mu dolegało, coś go piekło, nigdy się z tego, co przeżył, nie wypowiadał. Dosyć, że to człek był jakiś zmordowany, biedny, kaleka na sercu i duszy, nieuleczony.

Obecny na imieninach ksiądz Woroszyło, niemal tegoż był zdania, ale dodawał, że widział go zawsze pobożnym, przykładnym w życiu, miłosiernym wielce, wstrzemięźliwym we wszystkim—i jeśli miał za co pokntować — miał też i nadzieję w miłosierdzin Bożem.

Nie mógł się go chwalić i pan Adryan, który

mu już był winien to, że Wojewodzina dożywociem folwark przyległy do Borków dała a drugiego kupno ułatwiła, rozkładając wypłatę na lat wiele. Mógłby był i więcej powiedzieć coś—ale milczeć musiał.

Sąsiedzi, szczególnie przebiegły Kołłupajło, który imienin nigdy nie mijał—zapewniali, że Czuryło tylko przez amatorstwo pełnił obowiązki rezydenta, bo widziano u niego zawsze pełno pieniędzy. Drużdy temu przeczyli, lecz znajdowały się dowody, iż istotnie je miewał, choć dla siebie z nich nie korzystał.

Cieszyli się wszyscy w Kurzeliszkach choć tem, że Czuryło żył i że o nich pamiętał.

Zwabić go jednak już napowrót w te strony nie było sposobu.

Jedną z osób, co się najpilniej dowiadywały o zagadkowego rezydenta — była księżna. Wałowicz zawsze, jak się zdaje, utrzymywał ją w przekonaniu, że nie był to nikt inny jeno ów Piatnicki. Kilka razy Wojewodzina dopytywała pilnie Woroszyłę o Czuryłę, wiedząc, iż z nim był w stosunkach; pan Adryan jednak umiał tajemnicy dotrzymywać i nie wygadał się nigdy z niczem, oprócz rzeczy ogólnie wszystkim wiadomych.

W domu Podkomorstwa żywe zawsze wspomnienia rezydenta Wojewodzina nieznacznie zbierała. Lecz—jak wszystko na świecie, co znika—tak i człowiek, który na długie lata z oczów schodzi, zacierają się w pamięci. Pamięć ma dużo do czynienia i rzuca po drodze, co nie jest do gospodarstwa życia potrzebnem.—Cóż dziwnego, że i o starym Czuryle zapomniano powoli, i że wracał upiorem tylko na chwilę?

Upłynął tak rok, gdy Wałowicz za jakimś interesem pani pojechał do Słonima. Nie było go dni parę, a gdy powrócił, nie miał nic pilniejszego nad oznajmienie Wojewodzinie, iż znowu tego—mniemanego Piatnickiego widział na swe oczy na ulicy, że nieznacznie go śledził,—ale mu znikł potem i już go wyszukać nie było podobna.

Wojewodzina ruszała ramionami; nazwała to przywidzeniem, tak samo jak powieść pani Zubkowej o spotkaniu w Kamieńcu — ale przybywszy do Kurzeliszek, powtórzyła to u Podkomorstwa:

Zrobiło to niezmierne wrażenie, a stary zaklął Szczepana, żeby jechał zaraz sam i starał się dowiedzieć. A nuż go wysznka?!

Pan Szczepan, który ocieężał był teraz i zleniwiał więcej niż dawniej—nie bardzo sobie życzył trzęść się na bryczce—lecz dla ojca gotów był na złamanie karku. Pojechał nazajutrz, oczekiwano nań niecierpliwie.

Jarmużka, nieustannie wysyłany, dowiadywać się czy pan Szczepan nie wrócił—nie rychło oznajmił, iż—przybył nareszcie.

Nie przywiózł jednak nic nad to, iż znajomi żydzi w istocie widzieli tu Czuryłę parę razy. Strzesiono miasteczko i wszystkie zajezdne domy—pan Szczepan czatował po kościołach, ale rezydent znikł. Pamięć tylko znów odżyła.

— Może on kiedy namyslił się i powróci—mówił Podkomorzy—a już mnie nie zastanie, bo mi czas, bo mnie tam wołają!

Nogi puchły coraz bardziej, i Podkomorzy słabł, aż jesienią, gdy mu się nagle pogorszyło, mimo doktora hetmańskiego, którego sprowadzono, mimo starań i zabiegów, przykładnie przygotowany na

śmierć, Bogu ducha oddał. Wspaniały nader pogrzeb sprawiono starcowi, który po sobie pamięć piękną zostawiał. Zjechały wnuki, sproszone obywatelstwo, ściągnęło się duchowieństwo zdaleka.

Tłum był niezmierny przy wyprowadzeniu zwłok i złożeniu ich do grobu. Wojewodzina, jako krewna i obowiązana domowi, który ją przyjaźnie przyjmował, znajdowała się także na żałobnym obřędzie.

Nieodstępny Wałowicz niósł za nią książki i chustki, bo czas był chłodny. W kościele ciżba była wielka. Wojewodzina czuła nagle, że ją ktoś zlekka, jakby umyślnie, potrącił. Odwróciła się—kamerdyner oczyma wskazywał jej w stronę prawą kościoła. Nie mogła go zrozumieć zrazu.

— Niech pani patrzy, oto on.

— Kto?

— Piatnicki.

Żywo obejrzała się Wojewodzina. W istocie, pod ścianą i bocznym ołtarzem stał w czerni ubrany Czuryło; widzieli go i poznali wszyscy. W chwili gdy Wojewodzina utkwiała w nim wzrok, pobladł, drgnął, byłby może uszedł, lecz w kościele ruszyć się nie było można.

Rezydent osłoniwszy się płaszczem, stać był zmuszony na widoku.

Spostrzegli go i inni zdala, lecz nikt się do niego zbliżyć nie mógł dla ścisku w kościele, a gdy później po spuszczeniu zwłok do grobu, obejrzano się za nim i szukać go poczęto, już go nigdzie znaleźć nie było można.

Wprost z pogrzebu, niezajeżdżając nigdzie, Wojewodzina udała się do domu, nie dając po sobie poznać czy w istocie Czuryło się jej wydał Piatnic-

kim owym, lub obcym. Milcząca siadała do powozu, nieodezwawszy się nawet do starego Wałowicza. Kamerdyner ciekawy był bardzo dowiedzieć się od pani cokolwiek; kilkarazy wieczorem przechodził pod rozmaitemi pozorami; znajdował ją zawsze zadumaną w rogu kanapy, spartą na łokciu i wcale do rozmowy nieusposobioną. Dopiero późno w noc, gdy już do swojego pokoju przechodzić miała, spojrzała na Wałowicza, jakby go dopiero po raz pierwszy zobaczyła, zatrzymała się, i rzekła spokojnie:

— Miałeś słuszność—to on.

— Widzi jaśnie pani—odparł kamerdyner—że ja także oczy mam dobre, choć stare. Po tylu latach, poznałem go odrazu, spotkawszy w ogrodzie. Zmienił się bardzo, ale mu ta twarz, jaką miał—przepraszam, że tak powiem—poczciwa, została.

— Tak—to on był, mój Wałowiczu, wzdychając rzekła Wojewodzina, radabym bardzo wiedzieć co się z nim dzieje. Może jest w potrzebie, w niedostatku, należałoby mu zdaleka w jakikolwiek sposób dopomódz.

Kamerdyner, który nadzwyczaj pilnie śledził wszystko, co się w koło działo,—kiwnął głową:

— Kryje się—to jawna rzecz—rzekł—nieboszczyk Podkomorzy męczył się, żeby o nim dostać języka, i nie mógł. Ja też nie wiem czy mi się to uda, ale jedną drogę wiem.

— Jakaż, proszę cię?

— Był w bliskich stosunkach, rezydując we dworze, z naszym plenipotentem. Jeżeli kto o nim wie, to on.

— Myślisz?

— Tak mi się zdaje.

— Powiedźże Hałandziczowi, aby mi jutro posłał po niego.

Skłonił się Wałowicz, a nazajutrz o południu pan Adryan stawiał się na zawołanie. Wojewodzina bardzo go lubiła, choć nie było charakterów na świecie, napozór sprzeczniejszych, nad jej otwarty aż do zuchwalstwa, a jego, pomiarkowania i taktu pełny. Woroszyło też, znając jej wady, nięty był raczej przymiotami, które w niej odkryć nsiłował.

Wojewodzina i teraz nie myślała się wcale tać z powodami, które ją do interesowania się Czuryłą skłaniały. Zgóry zapowiedziała Woroszyło:

— Znałam tego człowieka zamłodu, lubiłam go bardzo, niecierpiał z mojej przyczyny, nie dziw się pan, że mnie on mocno interesuje.

Dla pana Adryana było to wyjaśnieniem, czemu Czuryło tak się gorąco zajmował sprawami majątkowymi Wojewodziny, które mu powierzył. Dawszy jednak słowo, że zachowa tajemnicę, zdradzić jej nie mógł.

— Pan miałeś i masz z nim stosunki—dodała pani Wojewodzina—powiedz mi: co się z nim dzieje?

Zawahał się nieco pełnomocnik, namysławiając, ile i co powiedzieć może.

— Dałem słowo Czuryło, że miejsca jego pobytu ani adresu, który mi dał, nikomu nie powiem. Pani więc wymagać po mnie tego nie będzie. Co się tyczy jego sytuacji, to tylko mogę zaręczyć, że Czuryło zdaje się być w położeniu niezależnem i niczego od nikogo nie potrzebuje.

— Jednakże tak długo był na łasce Podkomorzego?—spytała Wojewodzina.

— Na łasce, nie — odparł Woroszyło — kochał

dom, do którego się przywiązał, siedział w nim nie niepotrzebując od państwa Mingajłów.

— Jesteś pan tego pewnym?

— Jak najpewniejszym—dodał plenipotent, nie mogąc dodać, że Czuryło znaczne summy złożył na interesa tej, która o niego teraz dopytywała.

— Cieszę się z tego—rzekła Wojewodzina uspokojona. Byłoby mi przykro pomyśleć, że ten człowiek niema może przytułku i kawałka chleba.

W tej chwili p. Adryan przypomniał sobie historią tarantowatego konia p. Zubki, o której słyszał od niego, a że do trzymania jej w sekrecie obowiązany nie był, pośpieszył ją opowiedzieć Wojewodzinie, która z zajęciem słuchała.

— Słuchaj pan — dodała wkońcu -- pisujesz do niego, napiszże, iż—go widziałam na pogrzebie, żem go poznała, i że się o niego dopytywałam, a jeśli mogę mu być w czem użyteczną, uczynię to chętnie. Chcę, aby wiedział o tem.

Skłonił się Woroszyło.

Upłynęło potem dosyć czasu, a Wojewodzina na próżno pytała go: czy nie miał jakiej wiadomości; p. Adryan składał się tem, że Czuryło nie pisywał prawie nigdy. W kilka miesięcy dopiero, przybył z podziękowaniem ustnem i zapewnieniem, iż dawny rezydent Podkomorstwa, żadnej pomocy nie potrzebował, znajdując się w dosyć dobrem położeniu.

— I nic więcej? — zapytała Wojewodzina — nic więcej powiedzieć mi nie kazał? nie? nie?

Skłonił się Woroszyło. Wojewodzina ramionami ruszyła, pożegnała go kwaśno i odeszła.

Parę lat upłynęło—bez wieści o Czuryłe, nikt go już ani widział, ani słyszał o nim. Pan Adryan trochę był niespokojny, bo na listy nie odbierał odpowiedzi, a w rękach miał znaczne kapitały, które mu rezydent dostarczył, i rachunek z nich nie wiedział komu miał zdawać.

Pojechał na poradę do stryja, u którego także złożone były papiery i prawdopodobnie testament. Ksiądz proboszcz radził czekać, ażeby się to samo przez się wyjaśniło.

Woroszyłę młodego Wojewodzina bardzo często dopytywała o Czuryłę—odpowiadał otwarcie, że lęka się nawet o niego, gdyż napróżno listami nalegał, żadnej oddawna nieodbierając wiadomości.

Pan Szczepan też, który teraz przy dorastającym synu, niemal rolę starego Podkomorzego odgrywać zaczynał, przeniósłszy się do jego pokoju i często drzemiąc w starem krześle pana Kazimierza,—wzdychał wspominając Czuryłę.

— Takby nam z nim dobrze było, mawiał czasem. Gdzieś przepadł jak kamień w wodę!

Jednego letniego wieczora, właśnie był ks. Woroszyło od chorego powrócić, i uznojony odpoczywał, nie tyle myśląc o sobie, co o swych zmęczonych konikach i chłopaku głodnym, który go powoził—gdy wyrostek w jednej koszuli, krajką przepasanej, letnich spodeńkach, bosy, w odartym kapelusiku słomianym, na małym podjezdku, zjawił się w bramie. A że mu się do otworzenia jej zsiadać nie chciało, siedząc na koniu starał się wrotka posunąć, tak, aby mógł wjechać.

Ksiądz postrzegłszy to z okna, w obawie, aby albo chłopak lub koń nie szwankował, sam wyszedł z plebanii otworzyć wrota:

— Cóż to ci tak pilno—rzekł—żeś się lenił nawet ze szkapy zleźć?

Chłopak skoczył z konia i podszedł naprzód pocałować w rękę proboszcza.

— A! pewnie pilno, proszę dobrodzieja—rzekł—bo do chorego, który bardzo źle.

— Gdzie? jaki?

— El to proszę ojca—począł chłopiec, ja bo i nie wiem jak się on zowie. On w lesie sobie chałupę najał, co stała pustką po Jędruszcze, i tam już siedzi dwa lata może. Już nie młody człek.

— Gdzie?

— A no, na lesie, co do Kołłupajły należy.

— Cóż to za człek?—spytał ksiądz.

— Musi-by szlachcic—bo w kapocie chodził—albo ja wiem.

Niewiele się dowiedziawszy, proboszcz zmiarkował, że pytać nie pora, a nieść pomoc najpilniejsza była, a tu konie jak z wody wyjęte, nie mówiąc o tem, że on sam, stary, ledwie się na nogach trzymał. Co tu począć!

Trzeba było konie najmować. Posłał cożywiej do znajomego chłopka, aby do wozu zaprzął. Wedle opowiadania posłańca, było dobrej półtorej mili do owej chałupy w lesie po Jędruszcze, droga zła i po nocy niebezpieczna; lecz to nigdy ks. Woroszyły nie powstrzymywało.

Żyrgoń zaprzął kobyłę kasztanową w hołoble, wóz sianem wysłano, i staruszek, przodem chłopcu jechać przykazawszy, wybrał się w drogę, odma-
wiając pacierze.

Po skwarnym dniu, chmury się zewsząd ściągaly, i w drodze burzy się jeszcze w dodatku spodziewać było można. Kobyła Żyrgonia nawykła do

flegmatycznej jazdy z sianem lub snopami, żywszym klusem, jeżeli się dała popędzić na chwilę, natychmiast do poważnego stępa wracała. Nie dziw też, że w ciemny świerkowy las wjechawszy, gdy noga za nogą ledwie się posuwać było można, owe półtorej mili, wyszło na dobre dwie godziny.

Noc już była późna, gdy chłopak przodem jadący odwrócił się i oznajmił, że już byli niedaleko chałupy, i że nawróciwszy w prawo, wnet ją zobaczycy mieli. Jakoż zaświeciło coś między gałęziami. Na maluskiej polance, do koła lasem otoczona gęstym, stała chatka biedna i mała, samotna, z jedną studeńką tylko w boku i chlewkiem. Gdy wózek stanął przed nią, nie wyszedł nikt, cicho było do koła, wiatr tylko szumiał w świerkach, i zbliżanie się burzy zapowiadał. Żyrgoń niespokojnie się obejrzał, że kasztanowatej nawet, na wypadek ulewy nie będzie gdzie postawić, a była to zasłużona dobrodziejka i faworyta domu. Pomyślał, że chyba siermiężkę z siebie zdjawszy, ją okryje. Duże krople deszczu już powoli spadać z góry zaczęły.

Ksiądz Woroszyło dostał się pociemku do sionki, i ledwie domysłem drzwi wyszukał. Otworzywszy je, znalazł się w izdebce małej. W kominie jej paliła się resztką świecy. Ciemno było i oko nie dojrzeć nie mogło, oprócz nędznego tarczana w kącie, na którym coś się poruszało. Nawykły do ubogich i nędzy, proboszcz wziął świecę, otulając ją rękami i zwolna, ostrożnie przybliżył się do łóżyska, od którego ciężki oddech i stękanie go dochodziło.

Chory, znać zbudzony szelestem — zdawał się chcieć dzwignąć, a gdy proboszcz podszedł do tarczana, ujrzał na nim, z niewymownem podziwieniem swem, wybladłą i wynędzniałą twarz — Czu-

ryły. Chory, miał oczy otwarte, wargi spalone; ale uśmiech poczynął się na nich rodzić, gdy księdza zobaczył; wyciągnął chude ręce ku niemu, pochwycił dłoń i do ust ją chciwie przycisnął.

— Miły Boże! to wy! tu! ale zkadże? jak? i tak samuteńki jeden.

Czuryło nie mógł mówić, kilkarazy wysilał się na głos, a dobyć go nie miał mocy; trzymał ręce księdza i łyż mu z pod powiek ciekły. Stary Woroszyło skutkiem znużenia dawnego i drogi, ledwie chwiejąc się stał już na nogach, i musiał przysiąść na tarczanie. Czuryło rękę wyciągnął szukając znać napoju, który stać miał obok na stole — ale szklanka dawno była próżną.

Napełnił mu ją przybyły, nienalegając nań, aby mówił, a starając się odgadnąć stan chorego.

Napiwszy się trochę wody, Czuryło orzeźwiał.

— Przypadek — rzekł głosem przerywanym — włóczyłem się czasem po tych stronach, aby was być bliżej wszystkich. Tu mi było najlepiej. Żyłem po pustelniczemu. Niewiem: czy zagrzany napiłem się wody, czy tak, bez przyczyny, przyszła moja godzina, niewiem — źle mi. Dlatego po was posłał.

— Dawnoż ci tak źle?

— Trzeci dzień coraz mi gorzej, czuję gorączkę która mnie rozbiera — rzekł powoli Czuryło — nieprzytomny już byłem. Siły tracę.

Namyślał się proboszcz: czyby po lekarza nie posłać — i wniósł żeby to zrobić.

Czuryło głową trząsał.

— Co lekarz pomoże, gdy przyszła godzina? — rzekł cicho: — Wy wiecie, ja od lat dwudziestu nie

chorowałem nigdy. Choroba pierwsza pewnie będzie ostatnią.

Gdy to mówili, nadchodząca na las burza, zerwała się z całą siłą, jaką wywierać zwykła na puszcze i bory, deszcz lunął strumieniem, błyskawice przez małe okienka wdzierały się, oświecając wnętrze; nieustannie, piorun bił po piorunie, trzask i szum mówić i usłyszeć nie nie dawał. Trzeba więc było przeczekać gwałtowność pierwszą tej ulewy.

Żyrgoń, chłopiec, dwa konie już się jakoś do chlewku wcisnęli. Ksiądz i chory siedzieli sami. Pomimo piorunów i szumu drzew, Czuryło osłabły, chwilami zamykał oczy i drzemał. Ksiądz tymczasem rozglądał się po ubogiej chatce, w której oprócz niewielkich juk, siodła, opończy i uzdy po padłym wierzchowcu, prawie nic nie było. Na stole prosta butelka i szklanka zielona, w kominie garnuszek, okruchy chleba i soli.

Modląc się nad chorym, któremu chwilowego spoczynku przerywać nie chciał—ks. Woroszyło pozostał tak długo zadumany nad losem tego człowieka i ludzi.

Dobrze o północy dopiero burza ustawać zaczęła. Proboszcz sam czuł się znużonym śmiertelnie, a nie było się nawet czem, oprócz wody, pokrzepić. Nie-wiedząc co począć, wysliznął się pocichu starowina do Żyrgonia, który kobyłę zwierzywszy chłopcu, sam w sionce chaty przytułku szukał i znalazłszy tu kul słomy, na nim odpoczywał.

Żyrgoń był człek stateczny i roztropny.

Położył mu ksiądz na ramieniu dłoń i odezwał się pocichu:

— Znałeś przecie i nieraz widziałeś Czuryłę. On to w tej chacie leży biedaczysko. Coś radzić trze-

ba. Możeby doktor go dźwignął, a przynajmniej zładby go wziąć do wygodniejszego gdzie domu. Jedź z tem do Borków, niech mój synowiec przybywa.

Deszcz zaczynał ustawać, posłuszny więc proboszcowi chłopiek, pocałowawszy go w rękę, już nie z wozem ale oklep na kasztanowatej ruszył do Borków; a choć była noc, drogę doskonale znał i zabłądzić się nie lękał.

Nadedniem dostawszy się do p. Adryana, od wartownika dowiedział się, iż w domu go nie było. Co począć? Pocziwy Żyrgoń więcej kasztanowatej żałował niż siebie, czekać nie mógł; powiedziano mu, że Woroszyło był u Wojewodziny — pojechał za nim.

Już na drodze dzień mu się zrobił wielki. Ranek po burzy był tak prześliczny jak zwykle bywa, gdy się natura odżywi, rozbudzi i po spieceniu napojona, rozzieleni i rozwonieje.

Droga do dworu wiodła wzdłuż ogrodu, który niegdyś książę zakładał; a teraz wojewodzina pielęgnowała, zabawiając się nim i przerabiając podług myśli. Żyrgoń właśnie włókł się zwolna, przez parkan zaglądając do cienistych szpalerów, wśród których stały zczerniałe resztki waz kamiennych i posągów, gdy — naprzeciw niego zjawiło się cudowisko: kobieta sama jedna, jadąca na koniu powoli.

Była to Wojewodzina.

Z nndów wszystko ją zajmowało, miała zwyczaj zaczepiać przechodzących wieśniaków i rozmawiać z nimi. Żyrgoń się jej pokłonił nisko.

— A skąd to Pan Bóg prowadzi?

— O! ja z Kurzeliszek aż jestem — rzekł chłopiek — a no jadę nie wprost. Gdzie ja nie był! Szukam p. Woroszyły.

— Cóż chcesz od niego?—spytała Wojewodzina.
— Bo ksiądz proboszcz tam w lesie został sam jeden koło chorego, to sobie rady dać nie może.

— Któż to chory?

— Dziw, proszę pani — a to ten co u nas długi czas był we dworze. Czuryłą go nazywali.

Usłyszawszy nazwisko to, Wojewodzina żywo się zbliżyła z koniem do Żyrгона.

— Gdzie on jest?

— Bardzo chory leży w chacie w lesie, a nikogo koło niego nie było, tylko jeden głupi chłopak, co dopiero po księdza posłał, kiedy już ze wszystkim osłabł.

— Daleko to?—zapytała Wojewodzina.

— A no tędy przez las — pewnie będzie więcej półtorej godziny drogi.

— Możesz tam zaprowadzić? podchwyciła pani. Żyrгон zdziwiony patrzył na nią, widząc jak się rozgorączkowała.

— A—pewnie—odparł—bo ja po pana Adryana przyjechałem, aby on tam corychlej przybywał.

— Jedź zamną? — zawołała żywo kobieta, zwracając konia—pan Adryan nocuje w oficynie. Zbudzić go, jeśli śpi.

Nim się Żyrгон z kasztanową dowlókł do dworu, Wojewodzina kłusem wpadła w dziedziniec, i wywołała sługi. W nagłych razach znać nigdy jej nie opuszczała przytomność; w jednej chwili wózek był przygotowany dla Woroszyły, a co na myśl przyszło, że choremu służyć mogło, włożono weń naprędce.— Żyrгон popasał, Wojewodzina kazała jednemu ze swoich masztalerzy dowiedzieć się o drogę do chaty, i nieczekając na innych towa-

rzyszy, sama z nim puściła się czwałem za przewodnikiem.

Proboszcz, pozostawszy sam z chorym, który to usypiał, to jęczał, to budził się i coś niewyraźnie mówił do niego,—przeczekał tak do dnia, próżno wyglądając na mającego przybyć synowca.

Łatwo mu było odgadnąć, że go zapewne nie znalazł Żyrgoń w domu.

Stan Czuryły był ciągle jednakowy. Powracała mu przytomność, to napadało go marzenie gorączkowe, i sen ciężki; orzeźwiał się wody kropelką, ale to trwało jedno oka mgnienie; osłabienie wracało znowu. W chacie nie było nic, czemby go pokrzepić można—kilka jaj leżało w stoliku, z których jedno ksiądz mu chciał wpuścić w usta, ale chory potrząsł głową: nie czuł pokarmu potrzeby.

Już zadnia, w chwili, gdy Czuryłe przytomność krótką wróciła, ksiądz Woroszyło odbył z nim spowiedź i na drogę go przygotował. — Był więc, choć z tego względu spokojnym. Dziwiło go tylko opóźnienie Adryana; ale miał cierpliwość kapłańską—czekał.

W tem zaszumiało i zatętniało w lesie, zbliżali się jezdni, proboszcz wyszedł na próg sieni, i zdumiony zobaczył nadjeżdżającą—Wojewodzinę.

Skoczyła z konia żywo.

— Żyje on?— zapytała.

— Żyje—rzekł ks. Woroszyło, ale nie bardzo jest przytomny.... senny. Znak to zły.

Nie pytając więcej, odważna pani weszła do chaty — cicho zbliżyła się do łóżka chorego i stanęła nad nim z rękami załamanymi.

Twarcz Czuryły, na której życie trosk, bojów i pracy malowało się dobitnie — w tym śnie gorączko-

wym, okryta była jakby przeczuciem wiekuistego spokoju, który wkrótce starego męczennika być miał udziałem.

Gdy milcząca wpatrywała się tak w niego, wzrok ten może utkwiony w chorego, podziałął nań siłą tajemniczą: otworzył oczy, spojrzenie jego padło na tę postać, która mu się jakby w marzeniu zjawiała nagle — cudownie i — powieki już zamknąć się nie mogły.... Zwolna—próbując życia własnego—chory ręce sparł na pościeli i usiłował się poruszyć, podnieść może, a ksiądz Woroszyło, który się zbliżył, pomógł mu nieco.

Rozbudzony, ciągle ze wzrokiem utopionym w Wojewodzinę, jakby wątpił czy go oczy nie mylą, drżał ze wzruszenia.

Wojewodzina odezwała się cichym głosem:

— Uspokój się—to ja, stara znajoma twoja, przecież choć chorego mi cię nawiedzić los dozwolił; Co ci jest?

Czuryło odpowiedzieć nie umiał. Słuchał głosu jakby napój jakiś po długiem spragnieniu połykał; usta mu się zaczęły uśmiechać.

— To wy—pani moja? —ale jakim cudem?

— Dowiedziałam się, przypadkiem. Jużci-ż to obowiązek chorego nawiedzić. Ty tu leżeć nie możesz, trzeba cię przewieźć do mnie.

To mówiąc i umyślnie chłodną się być starając, Wojewodzina siadła na stołku, który jej podano. W tem nadjechała bryczka z p. Adryanem, a w niej to, co na ślepo z domu dla chorego wzięto, w myśli, że przydać się może.

Wojewodzina zdjęła rękawiczki i sama się zabrała do spełniania obowiązków siostry miłosierdzia. Kazała ogień zapalić na kominku, aby bulion rozpuścić,

Sekret pana Czuryły.

który i księdzu głodnemu był potrzebny, przygotowała limonadę, zaczęła się krzątać żywo, a oczy Czuryły chodziły za nią ciągle.

Patrząc na jej twarz, której starała się nadać wyraz spokojny i łagodny—można jednak było dojrzeć w niej walkę i pasowanie się z sobą. Ta obojętność pozorna, kryła wzruszenie, a ruch i zajęcie były tylko środkiem osłonięcia tego, co się w jej duszy działo.

Czuryło zdawał się tym widokiem jakby przywrócony do życia — nie mówił jednak nic; resztką uczucia skupiła się w jego wzroku. Nie odpoczywając ani chwilę, Wojewodzina, która się nikomu nie dała wyreczać—wyprawiła chłopaka z kartką do doktora, Żyrgonia zaś do dworu, po wszystko, co się jej jeszcze potrzebnem zdawało. Nie widać w niej było tej wielkiej pani, jaką umiała być w salonie, ale kobietę mężną, czynną, nierachującą się wcale z tem jak ludzie jej sprawy oceniają. Ksiądz Woroszyło patrzył na to z niemem uwielbieniem, synowiec jego — z natężoną ciekawością jakby oczekiwał rozwiązania jakiejś zagadki.

Patrząc na twarz zarumienioną Wojewodziny, można było dostrzedz to łzy na powiekach, to smutny jakiś wyraz ust ściągniętych, to irracjonalną boleść wielkiej. Ile razy się odezwała, słowo zdawało się sprzeczać z twarzą—mówiła zimno i mężnie, na pozór obojętnie.

Tak minęło długie pół dnia, a Czuryły przynajmniej gorzej nie było. Doktor, po którego wysyłała Wojewodzina, największy pośpiech zalecała przybył z południa. Był to, obyczajem ówczesnym, Niemiec, który małego i źle się popolsku nauczył.

— Idź waćpan—odezwała się doń pocichu Woje-

wodzina, nakazującym tonem — idź, rozpatrz stan chorego i przyjdź mi powiedzieć, czy go przewieźć ztąd można.

Pan Sennefeld posłuszny rozkazowi, zbliżył się do łoża chorego. Badać go ustnie było trudno, puls i język, wzrok i skóra musiały powiedzieć tajemnicę choroby. Doktor długo i sumiennie starał się ją rozpoznać.

Proboszcz szepnął mu, co się o niej sam w pierwszej chwili od chorego dowiedział. Potem wszystkiem Sennefeld wyszedł z izby zdać sprawę Wojewodzinie, która przed chatą z założonemi na piersi rękami, czekała na niego.

— Można go przewieźć? — spytała.

Odpowiedź była niema, poruszenie głową i rękami.

— Na co się to zda? — rzekł doktor — on dogorywa.

Usłyszawszy to, nie mówiąc uic, wróciła do chaty Wojewodzina i przy chorym usiadła. Sennefeld wszedł za nią, oznajmując, że jeszcze postara się przynieść ulgę choremu.

Nie odpowiedziała mu — dano choremu lekarstwo, przyjął je posłuszny. Stan jednak nie zmienił się wcale. Oczywiście szukał niespokojny to Wojewodziny, to proboszcza. Gdy ks. Woroszyło się zbliżył, ujął go za rękę, głos słaby dobył się z piersi zmęczonej. Wskazywał na niego Wojewodzinie.

— Mój testament, mój testament, u niego.

Adryan stał trochę dalej: powołał go wzrokiem — i znowu popatrzał na Wojewodzinę.

— Służ jej dobrze, broń, proszę.

I znowu na księdza pokazując dodał: — Mój testament.

Dzień się miał ku wieczorowi, gdy oddech zaczął

być śpieszniejszym, życie zdało się walczyć przeciw sile, co je zgnieść miała.

Chory wyciągnął ręce obie ku Wojewodzinie, chwycił dłoń jej, do ust przycisnął i—skonał...

Ona—patrzała nań z zaciętymi wargami i oczyma pełnemi łez, schyliła się, pocałowała czoło zimne, i ręką drżącą przymknęła powieki.

— Śpij— biedny przyjacielu! szepnęła — dobiłeś się do portu szczęśliwie.

To mówiąc wstała i wyszła powoli, ostatnie wejście rzucając jeszcze na zmarłego. Ksiądz Woroszyło patrząc na to nie-niewieście mężstwo, na tę milczącą boleść—sam płakał.

Wyszedłszy za próg chaty, Wojewodzina stanęła w rodzaju osłupienia; długo nie mogła się poruszyć, ni myśli zebrać; p. Adryan stał tuż przy niej. Obróciła się ku niemu.

— Proszę pana, abyś się zajął pogrzebem — rzekła—jestem do tego obowiązana.

— Tak — szepnął Woroszyło przejęty widokiem śmierci, któremu też teraz usta się rozwiązały—tak był to człowiek wielkiego serca i poświęcenia.

On mnie skłonił do podjęcia się interesów pani, ale bez niego, jabym, ani nikt, im nie podołał.

— Jakto?—zawołała Wojewodzina.

— Wszystkie pieniądze, którychśmy użyli na oczyszczenie majątku, miałem z rąk jego!

Wojewodzina uderzyła w dłonie, i chwyciła się za głowę. Strumieniem łzy jej płynęły. Zaczęła się żywo przechadzać przed chatą, niemówiąc nic, jakby się od miejsca tego oderwać nie mogła.

Ksiądz Woroszyło tymczasem sam, z pomocą chłopaka zajmował się umarłym, szukał sukni do ubrania go, przygotowywał rodzaj małego katafal-

ku, dopóki by ztąd ciała nie zabrano. Na przyźbie siedziała Wojewodzina. Noc już była, gdy doktor i ksiądz skłonili ją nareszcie, ażeby wracała do dworu. Na koń już się nie mogła, wózek p. Adryana służył do tej podróży.

Taki był koniec biednego, dziwnego, wielkiego serca człowieka, który umiał długo cierpieć nie narzekając, i uśmiechać się bolejąc.

Nazajutrz dowiedziano się w Kurzeliszkach o śmierci Czuryły, i pan Szczepan ze swej strony natychmiast się oświadczył z gotowością zajęcia się pogrzebem. Ciało przeprowadzono do kościoła.

Z sąsiedztwa, kto tylko znał starego rezydenta, pośpieszył na ten obrzęd żałobny, który się odbył ze staroświeckim przepychem wiejskim, niewytwor-nym ale okazałym, przy tłumach duchowieństwa, ludu, przyjaciół, z mowami i exortami. Wszystkich tych gości na probostwie przyjmował pan Szczepan chlebem żałobnym.

Za trumną szła cała rodzina Mingajłów i pani Wojewodzina, która wprost z cmentarza odjechała do domu.

Ksiądz Woroszyło, w przytomności mnogich świadków i urzędników, dobył powierzone sobie papiery i testament. Już sama wiadomość o nim, powszechną budziła ciekawość. Niewiedzano dotąd, że Czuryło posiadał coś, czemby mógł rozporządzać.

Z aktu tego, do którego dołączona była komplannacya pomiędzy braćmi, pp. Czuryłami-Piatnickimi, pokazało się, że nieboszczyk, odstąpiwszy bratu schodę swą ojczystą i macierzystą, tak w kapitałach gotowych, jak w summach na dobrach opartych, posiadał przeszło trzydzieści tysięcy czerwonych złotych. Z tych znaczna część użyta na

oczyszczenie majątku Wojewodziny, jej była zapisana, dziesięć tysięcy dukatów przekazał Czuryło Podkomorstwu, dla dwojga ich dzieci. Oprócz tego legata były dla Woroszyły, na ubogich, klasztory i żałobne nabożeństwa.

Tego majątku, pózno odziedziczonogo, zmarły wcale prawie nie używał dla siebie. Nawykły do życia ubogiego, nie zmienił go, gdy mu przyszły dostatki.

Czytanie testamentu, którego słuchano w milczeniu, tak, że nikt głośniejszem tchnieniem nawet prze-rywać go nie śmiał—wprawiło wszystkie umysły w nadzwyczajną egzaltacyę. Historia Czuryły zdawała się niemal bajką jakąś niedowiary, lecz papiery urzędowe, skazówki, obligi, kwity ją potwierdzały.—Pan Szczepan spłakany cały, poszedł do zony zwiastować jej osobliwą nowinę, której sam wierzył zaledwie.

Nazajutrz rano pan Adryan spisawszy kopią wierzytelną rozporządzenia, pojechał z nią do Wojewodziny. Wyszła do niego blada, z oczyma zaczerwienionemi, ale siląc się na to mężstwo, które było w jej charakterze.

— Przywożę pani—rzekł—ostatni dowód pamięci tego pocziwego człowieka, którego mało kto znał za życia.

To mówiąc, położył papiery przed nią. Rzuciła na nie okiem roztargnionem.

— Cóż mi po tem?—odezwała się—na co mi się to zdało wszystko—chyba, abym spokojnie usnąć mogła, ani męża ani rodziny o pomoc nie prosząc. Ale to już nie życie, tylko dogorywanie! Życie się zmarnowało całe, jak wiele innych,—dobrze, że ono już za nami niepowrotnie zostało.

Na cmentarzu w Kurzeliszkach staraniem Wojewodziny i Podkomorstwa, wzniesiono pamięci Curyły aż nadto wspaniałe grobowiec. Brat rodzony próbował testament obalić zrazu, lecz, przekonawszy się, że to było niepodobieństwem, wyrzekł się tej myśli.

Wojewodzina pozostała w swej rezydencji, z rezygnacją zabawiając się ogrodem, kwiatami i hodowaniem różnych faworytów w założonej ptaszarni i zwierzyńcu. Polowanie i koń wkrótce zarzuconemi zostały.

Coroku przybywał pan Wojewoda, zawsze żywiąc nadzieję, że żonę skłoni do powrotu i wspólnego pożycia. Wedle raz przyjętej formy, musiał stawać w oberży, gdyż we dworze nigdy dla niego miejsca nie było. Wałowicz i jego następca melowali Wojewodę przez dni kilka, dopóki pożądanego posłuchania nie otrzymał. Czasem razem z innymi gośćmi Wojewodzina na obiad go zapraszała, po którym się rozstawali, zawsze grzeczni i pełni względów dla siebie. Tylko gdy mąż wznawiał rozmowę niemiłą o powrocie do stolicy, cierpliwość tracąc pani, czasem się nieco wyraziła ostro:

— Proszę cię, panie Wojewodo, do czego ci się to zdało? kochać się już nie będziemy—to próżno, nudzić się wygodniej osobno, a możebyśmy jeszcze klócić się musieli? To waćpanu dla jego zdrowia nawet, nie byłoby dobrem. Dajmy już sobie pokój.

W kilka lat, Wojewoda, jak to naówczas delikatnie mówiono, wypłacił dług naturze. Gdy wiadomość o tem doszła do żony, pożałowała go nieco, wdziała żalobę, lecz życia wcale nie zmieniła. Wiek nie złamał jej rychło. Nietroszcząc się wcale

o powierzchowność, długo zachowywała pewną świeżość lica i siły, przytomność umysłu i coraz ostrzejszy dowcip, coraz bezwzględniejsze słowo. Obawiano się jej tak jak owej Kasztelanowej Kamińskiej, która nie szczędziła też nikogo;—była do niej podobną usposobieniem. i losy obu mało się różniły.

Pan Adryan pozostał do końca pełnomocnym w dobrach Wojewodziny, i dorobił się, niechcąc prawie, bardzo znacznego majątku, który legatem testamentowym wdzięcznej mu pani, jeszcze został zwiększony. U niego pamięć Czuryły była zawsze w wielkiej czci, i nie tał tego, że jemu zawdzięczał całą swoją krescytywę.

Jeszcze trawa nie porosła na mogile pocziwego rezydenta, i nim mu pomnik zdołano postawić, stał się już legendową postacią. Do jego imienia i pamięci poprzywiązywano mnóstwo dziwnych gadek, osobliwych wydarzeń, nieprawdopodobnych baśni, które tak się z odrobiną rzeczywistości znięsały, iż trudno dziś je od niej oddzielić. We wszystkich żywotach pisanych po zgonie muszą się łączyć te dwa pierwiastki—prawda i baśń, która po swojemu jest też prawdziwą. W niej człowiek składa to, czego mu żadna rzeczywistość dać nie może.

K O N I E C



92 183
I

01 31 001
2/12/100

~~15~~
~~115~~

Biblioteka Raczyńskich

JK 908



JK0908